

Krzysztof Czabański

Ruska baba

Warszawa 2005 r.

Redakcja i korekta:
Krzysztof Czabański

© Copyright by Krzysztof Czabański, 2005 r.

Wydanie I
Warszawa 2005 r.

ISBN 83-87520-87-X

Skład, druk i oprawa:
Agencja Wydawnicza i Reklamowa
AKCES
e-mail: akces500@interia.pl

SPIS TREŚCI

WSTĘP	
Ruska baba, czyli Polska.....	5
MY I INNI	13
Wstęp.....	15
1. Hałas i samozadowolenie	17
2. Druga Albania, czyli pierwsza Rosja.....	25
3. Czy Kwaśniewski może być zbawiony?.....	29
4. Wszyscy za jednego.....	34
5. Dodatek korespondencyjny: Kaczyński o NATO.....	38
6. Przyjdzie Unia i wyrówna	40
7. Racja III Rzeczypospolitej.....	45
8. Do Europy... i na rentę!	54
9. Do piachu.....	59
10. Szczątki po Europie.....	64
11. Niebezpieczna zmiana	68
12. Plan korzyści	72
13. W jaką stronę zwrot?.....	74
14. Powrót Wielkiego Brata.....	77
MY I MY	79
Wstęp.....	81
1. Zbiorowa skleroza.....	83
2. Dekomunizacja – mimo wszystko.....	87
3. Byczo jest	93
4. Rozwodnicy stanu.....	98

5. Porada starego dziada.....	104
6. Przeciw jawności.....	109
7. Wyssane z palca	114
8. Nic nowego	120
9. Przekładaniec mafijno-państwowy	125
10. Zajrzeć pod atrapę.....	131
11. Obroty ciał politycznych	135
MY, MEDIA	141
Wstęp	143
A. JAK TO SIĘ ROBI	145
1. Małpia złośliwość.....	147
2. Pluralistyczne wodogłowie.....	153
3. Dziś: podróby	158
4. Na pierwszy ząb.....	161
5. Mimo wszystko – dziwne	165
6. Po prostu fakty	169
7. Prasowe chwytty.....	172
8. Posezonowa wyprzedaż.....	176
9. Polityka, polityka.....	181
10. Po roku.....	184
11. Nowalijki i starocie.....	187
12. Równanie w dół.....	191
13. Podróbki i manipulacje	194
14. Media manipulują, co mają robić politycy?.....	197
B. TV I POLITYKA	199
1. Publiczna niczym dziewczka	201
2. To całe medialne zło	205
3. Bój o kasę	210
4. Moja być dobra, czyli precz z politykami.....	212
C. NASZE NAJLEPSZE IMIĘ.....	215
Nasze najlepsze imię.....	217
INDEKS	219
SUPLEMENT NA WYBORY	223
Alfabet polityczny	225

WSTĘP

RUSKA BABA, CZYLI POLSKA

Naczelne instytucje państwa polskiego, rząd, prezydent, marszałkowie Sejmu i Senatu powinni określić interesy i zadania państwa w kluczowych dla przyszłości Polski sprawach, a następnie narzucić swoją wolę realizacji tych zadań administracji rządowej i państwowej. Tak widzę główne zadanie klasy politycznej, szykującej się do najbliższych wyborów. Jest to zadanie trudne ze względu na słabość struktur państwowych, mizerność większości partii politycznych, uwikłania korupcyjne i agenturalne części klasy politycznej, biznesowej (w tym medialnej), brak instytucji opinii publicznej, upolitycznienie służb specjalnych, uzależnienie znacznej części mediów od gier biznesowych i politycznych. Jest to trudne również ze względu na niezbędność przestrzegania procedur prawnych i demokratycznych przy przebudowie naszego państwa. Jednak jest to absolutnie niezbędne, jeśli nie chcemy być terenem łatwych łupów dla obcych i własnych złodziei oraz agentów.

Być może, samorządy są skorumpowane nie w 95, a w 90 procentach? Być może, uczciwy jest co dziesiąty funkcjonariusz rządowy i państwowy, a nie co dwudziesty? Nie jest także wykluczone, że Rosjanie nie mają wpływu na wszystkie decyzje polityczne i gospodarcze w naszym kraju. Być może. Nie warto kruszyć kopii o takie szczegóły. Warto jednak sobie uprzytomnić, że najpierw komisja badająca aferę Rywina, a obecnie komisja do sprawy PKN Orlen i komisja do sprawy PZU, odsłoniły, odsłaniają i będą odsłaniać, rzeczywistość publiczną, przy której błędną powieści sensacyjne Ludluma i najbardziej skrajne wypowiedzi tzw. oszołomów z początku III RP. Sam należałem wówczas – współredagując „Tygodnik Solidarność” – do grupy oszołomów umiarkowanych. A i tak byliśmy pod ostrym ostrzałem politycznym „Gazety

Wyborczej”, środowisk skupionych wokół Bronisława Geremka, Jacka Kuronia i Tadeusza Mazowieckiego. Wtedy to Andrzej Celiński, znany opozycjonista, następnie działacz SLD i SdPI, nazwał nas „grupką spoczonych facetów w pogoni za władzą”. Teraz ten sam Celiński o prawicy, żądającej ukrócenia afer i oczyszczenia państwa, mówi: „Oni chcą wojny domowej”. Może to prawda: wówczas i dzisiaj próba przełamania władztwa dotychczasowych układów to przedsięwzięcie radykalne, wręcz rewolucyjne. Z goryczą muszę stwierdzić: niewiele racji mieli zasłużeni ludzie opozycji demokratycznej, którzy później tworzyli Unię Wolności, więcej racji mieli ludzie skupienie wokół braci Kaczyńskich, w tym ja sam, ale tak naprawdę rację miał kto inny: skrajni oszołomi, ostrzegający, że proces przemian w byłych „demoludach” jest sterowany przez rosyjskie służby specjalne, a rosyjska dominacja będzie się od teraz opierała na instrumentach finansowych i energetycznych. I najpewniej, na archiwach służb specjalnych, których może nie być w IPN-ie, ale nie zabraknie ich na Łubiance.

Fasada i istota

W „ruskiej babie” w lalce zewnętrznej, tej która daje twarz i wygląd ogólny, jest schowana lalka wewnętrzna, i w wewnętrznej jeszcze jedna wewnętrzna, i jeszcze jedna, itd. itd. Nasze państwo wygląda jak „ruska baba” właśnie. Na zewnątrz fasada instytucji demokratycznych, które nadają nam cywilizowany wygląd. Wewnątrz jednak obrazek zmienia swoją treść. Używając terminologii oszołomów, za polskie sznurki pociąga ktoś w Moskwie, Brukseli lub Waszyngtonie, albo – w jakichś anonimowych instytucjach finansowych.

To m.in. cena globalizacji. I na to rady nie znajdziemy, chyba, że za cenę dołączenia do Białorusi. Ale to wcale nie znaczy, że rząd polski i kierownictwo państwowe Polski są tylko wydmuszkami bez prawa do decydowania o czymkolwiek istotnym dla naszego kraju. Każdy, kto przyjdzie teraz do władzy w Warszawie stoi przed wyborem: sznurki przeciąć czy nasmarować wazeliną, żeby łatwiej dały się pociągać? Można to też określić inaczej: kontynuacja czy zmiana? Nie ulega dla mnie wątpliwości, że kierownictwo państwa polskiego może i powinno samo zdecydować w kilku sprawach strategicznych. Jak zapewnić Polsce bezpieczeństwo militarne i energetyczne, surowcowe, w jaki sposób chcemy wykorzystać korzyści, płynące z przynależności do UE, jak przygotować Polskę do uczestnictwa w tych korzyściach, w jaki sposób roz-

winąc edukację, która jest przecież kluczem do przyszłości naszego kraju w świecie, jak ograniczyć patologię niszczącą nasze państwo, jak wzmocnić państwo i demokrację (w tym partie polityczne), jak ułożyć stosunki partnerskie z USA, Niemcami i Francją, jak wzmocnić więzy z Ukrainą i budować z Białorusią, jak układać się z Rosją.

Żeby jednak tak się stało, trzeba mieć kierownictwo, które myśli w kategoriach dobra państwa, nie uwikłane w zależności od pieniądza lub obcej władzy. Kierownictwo, które zechce przejąć faktyczną władzę w kraju, a nie fasadę w postaci stanowisk o szumnie brzmiących nazwach: marszałek, przewodniczący, prezes najwyższy itp. itd.

Ekonomia sprzyja powstaniu takiego ośrodka władzy. Gospodarka polska rozwija się w tempie ok. 6-7% rocznie, z UE możemy od 2007r. liczyć na wpływy netto wielkości ok. 4% naszego PKB. To oznacza – jeśli zostanie wykorzystane – olśniewające powodzenie, przekładające się na znaczący wzrost zamożności obywateli. Odnoszę wrażenie, że na to liczył prezydent Kwaśniewski, gdy powoływał rząd Marka Belki. Politycy ci mogli zakładać, iż dzięki już rozruszanej polskiej gospodarce oraz pieniądzom z Brukseli i Waszyngtonu uda się poprawić warunki życia obywateli oraz dokonać ograniczonych, ale pożytecznych reform w państwie (wzmocnienie służby cywilnej, uporządkowanie prywatyzacji) i na tym sukcesie odbudować silną lewicę. Dziś jest jednak oczywiste, że tak pomyślany plan spalił na orlenowskiej panewce. PZU, pomyślany jako propagandowy ratunek dla lewicy, też ma jednak dwa końce i może się dla Kwaśniewskiego okazać mało strawny.

Moim zdaniem, największym kłopotem w polskiej polityce nie jest korupcja – złodzieje byli i będą zawsze, i to przecież zawsze w miejscach, gdzie można dużo ukraść, a nie na bezludnej wyspie – ale brak zaufania obywateli do polityków i polityków do siebie nawzajem. PO i PiS mają szansę utworzyć wspólnie rząd zasadniczej zmiany w Polsce. Jednak PO podejrzewa PiS o chęć etatyzacji, nacjonalizacji i drakońskiego zaostrzenia prawa, z kolei PiS podejrzewa PO o nieczyste związki z biznesem, korupcję i uwikłania agenturalne. Czy w tej sytuacji mogą obie te partie doprowadzić do przełomu w Polsce, czy raczej – po utworzeniu rządu – będą się nawzajem blokować? Problem w tym, że – jak wynika z sondaży przedwyborczych – bez PO i PiS nie ma szans na jakąkolwiek, choćby najmniejszą, ale pożyteczną dla ogółu, zmianę w państwie. Nie chcę jednak wchodzić tu w szczegóły ponieważ do wyborów wiele jeszcze może ulec zmianie. Po lewej stronie i w centrum następuje gwałtowne przegrupowanie sił, także na prawicy nic nie jest dane raz na

zawsze. Lewica gwałtownie poszukuje szalupy ratunkowej. Kwaśniewski testuje różne warianty i czeka, z którego wyłoni się ziemia obiecana. Czy to będzie Belka na spółkę z Unią Wolności, czyli Partia Demokratyczna? A może jednak Janik, Borowski i Oleksy zlepią coś jednoznacznie lewicowego?

Przed wyborami takich ruchów będzie o wiele więcej. Towarzyszyć temu będzie głośny propagandowy jazgot. O obronie wartości, o grożącym faszyzmie, o dorobku i marnotrawstwie, o rujnowaniu III RP i o budowie IV RP. Ale mimo wielu zaklęć wielu polityków, nie słowa lecz wyniki wyborów rozstrzygną ostatecznie o możliwej koalicji rządowej. A przede wszystkim o tym, czy będą możliwe zmiany w naszym państwie.

Nowa agentura, stare problemy

III RP, jak sądzę, musi uwolnić się z pętli rosyjskiej agentury. Badaczom z komisji orlenowskiej zostawmy ustalenie, czy ta pętla to bardziej Yukos czy Łukoil, czy trwa teraz w Polsce wojna wewnątrzrosyjska, czy rozgrywka Putina z oligarchami sięgnęła też pośrednictwa w dostawach ropy dla Polski, czy konflikt między rosyjskimi służbami specjalnymi wojskowymi i cywilnymi zaowocował u nas wojną między WSI a ABW, dlaczego Kaczmarek odpalił orlenowską minę?

Sprawa jest bardziej skomplikowana. Sowiecka (obecnie rosyjska) agentura zwykła i wpływu była w PRL-u dobrze osadzona. Kontrolowała życie partyjne, resorty siłowe i inne struktury zarządzania państwem i gospodarką, w tym bankami. Po „okrągłym stole”, a zwłaszcza w czasie wstępowania III RP do NATO agentura ta uległa dekompozycji. Silną pozycję zachowała w instytucjach finansowych i bankach. Brała bowiem udział w prywatyzacji tego sektora i mogła wpływać na jej kształt. W służbach specjalnych, cywilnych i wojskowych, obok orientacji prorosyjskiej pojawiła się proamerykańska, proniemiecka, i w mniejszym stopniu profrancuska i proizraelska. Wpływy rosyjskie zostały ograniczone. Jak to jednak bywa z „odwróconymi agentami”, mogą oni „odwracać się” po kilka razy i wreszcie już sam diabeł nie rozezna komu służyć.

W sposób naturalny, również w wyniku ciągłości organizacyjnej i finansowej (słynna pożyczka moskiewska) między PZPR, KPZR i SdRP, lewica związana z Kwaśniewskim, Millerem, Oleksym i Borowskim, ma dużą podatność na rosyjskich łączników. Również część ugrupowań

opozycyjnych (np. LPR i Samoobrona) zerka na Rosję. Jednocześnie w partiach politycznych, zwłaszcza w tych sprawujących władzę, powstały silne grupy proamerykańskie czy proeuropejskie (co czasem może być de facto kursem na Rosję).

Odnoszę jednak wrażenie – a przykładem jest dla mnie ociąganie się z offsetem przy F16 oraz lekceważenie Polski jako sojusznika w Iraku – że Amerykanie po wciągnięciu Polski do NATO przestali się nami interesować. Dla Waszyngtonu stało się ważne południe Europy oraz rejonny ze złożami ropy naftowej, jak również Daleki Wschód, głównie Chiny, Indie i Pakistan. Zostaliśmy mało ważnym kraikiem, w którym to, co się dzieje nie ma większego znaczenia. Naszymi kłopotami może martwić się Bruksela. Ale dla Brukseli ważna jest gospodarka, księgowość i regulacje prawne. Niemcy, ani Francja nie będą walczyć z Rosją o Polskę. A Waszyngton ma już inne zmartwienia. Choć, być może, wydarzenia na Ukrainie znowu przyciągną USA do Europy? Gdyby tak się stało, zyskujemy dodatkową szansę na reformowanie III RP. Obecność amerykańska może nam pomóc w uwalnianiu od rosyjskiej dominacji, jak kiedyś, gdy Waszyngton otworzył nam drzwi do NATO. Jednak główną robotę musimy zrobić sami.

Co musimy

Z obawy, że nie będziemy do tego zdolni, pojawiła się sugestia – najwyraźniej sformułowana przez Jadwigę Staniszkis – że najkorzystniejsze byłoby dla Polski rozplątać się w Unii Europejskiej, co dałoby nam podobny status cywilizacyjny, kulturę polityczną i prawną. Też się obawiam, że III RP nie znajdzie w sobie sił i sposobów praktycznych do samooczyszczenia, gruntownej przebudowy. Ale są pewne przesłanki, żeby sądzić inaczej. Hasła sanacji życia publicznego, konsekwentnie od lat formułowane przez Kaczyńskich – ostatnio także przez Rokitę, Tuska i Giertycha – zyskały żywy oddźwięk obywatelski, czego widowym dowodem jest szerokie wsparcie dla wywołanej przez Bronisława Wildsteina akcji odtajnienia materiałów zgromadzonych w Instytucie Pamięci Narodowej i sporządzenia jawnej listy tajnych agentów (służb specjalnych PRL). Ludzie świetnie wiedzą, że wszelkie niejasne interesy, matactwa, zerowanie na majątku publicznym, są nieraz możliwe tylko dzięki temu, że nasze życie publiczne zamiast przy pełnym świetle i podniesionej kurtynie odbywa się w półmroku i za różnym zasłonami. Byłoby dobrze, gdybyśmy znaleźli w sobie siły do budowy przyzwoitego państwa!

Obawiam się przecież, że oddanie się w „niewolę brukselską” – być może, nieuniknione? – skończyłoby się mało przyjemnym przebudzeniem. Zza kamieniczek starej Brukseli wyłoniłyby się kremlowskie wieżyczki. Nie bez kozery sowieckie służby specjalne transferowały olbrzymie pieniądze na Zachód, korzystając zapewne z wielu takich kanałów przerzutowych jak FOZZ, a następnie ściągały te pieniądze do Europy środkowej i wschodniej już pod szyldami firm zachodnich, kapitalistycznych. O tym zresztą też wiele lat temu pisała J. Staniszkis.

Prezydent Putin cementuje Rosję metodami niedemokratycznymi. Podporządkował sobie struktury państwowe, ukrócił samowolę oligarchów i wprząął wszystkich do swojego rydwanu pod hasłem odbudowy pozycji międzynarodowej Rosji. Jego polityka jest korzystna dla interesów mocarstwowych tego państwa. W przeciwieństwie do Rosji, naprawa III RP musi odbyć się metodami demokratycznymi. O sukcesie zdecyduje wola polityków dokonania zasadniczych i korzystnych dla Polski zmian w naszym państwie. Ich umiejętność przechwycenia prawdziwych sznurków władzy.

W takich działaniach polityków powinna wesprzeć opinia publiczna. Temu też może służyć debata publiczna. Niestety, mimo wysiłku wielu dziennikarzy, publicystów, obywateli i mimo pożytecznych działań niektórych mass mediów, debata ta jest anemiczna, nijaka, powierzchowna. To główny grzech mediów publicznych, radia i telewizji. O ile jeszcze bieżące relacjonowanie wydarzeń politycznych, tzw. newsy, jest na w miarę przyzwoitym poziomie – widać tu korzystny wpływ konkurencji między poszczególnymi stacjami – debata obywatelska kuleje. Mówiąc wprost: dominacja w telewizji i radiu polityków i ich propagandowych tyrad nad rozumem i troską o dobro publiczne, zabija misję edukacyjną i formacyjną mass mediów. Ale dla właścicieli i dysponentów mass mediów widocznie korzystniej jest zapraszać przed kamery i mikrofony liderów życia politycznego, zamiast ekspertów i niezależnych komentatorów, którzy mogliby objaśnić sens dziejących się wydarzeń, powody decyzji itd. itp. Mass media odkryły wiele afer i zła w III RP. Chwała im za to. Źle by się stało, gdyby zamknęły się na obywatelską dyskusję. A w dyskusji tej oprócz oczywistych tematów politycznych należałoby poddać ocenie również same mass media, prywatne i publiczne. Ich interesy ekonomiczne i polityczne.

W demokracji, która nie bez racji nosi nazwę medialnej, wszystkie władze – także czwartą, mass medialną – trzeba poddawać wnikliwej, systematycznej kontroli, oglądowi obywatelskiemu. Służyć temu

mogłyby instytucje, organizacje niezależne od rządu, wyrosłe z ruchów samorządowych (zawodowych, lokalnych, twórczych, celowościowych), czy innych form aktywności obywatelskiej. Nie jest bowiem zadowalający stan, kiedy władza ustawodawcza, wykonawcza, sądownicza są poddane tzw. kontroli ze strony mediów, a tak naprawdę trudno nieraz rozeznaczyć, czym różnią się te władze i mass media między sobą. Władza wykonawcza i ustawodawcza jest w Polsce nieomal tym samym i taka sama. Władza sądownicza dopiero próbuje się dobić niezależności. Właściciel lub dysponent potężnego mass medium, jak na przykład wielka stacja telewizyjna, ma zwykle znaczne wpływy we władzach wszelkich, także też interesy, prośby i groźby. Z czasów, gdy Monteskiusz formułował swoją koncepcję trójpodziału władz, nie pozostało nic poza wspomnieniami. To zaś oznacza, de facto, że obywatele nie mają możliwości kontroli władzy. Swoboda, jaką daje internet i ten sposób komunikowania się obywateli może okazać się ułudą. Korzystamy z niego zawsze za pośrednictwem operatora czy innego nadawcy. To on ma klucz do naszej swobody wypowiedzi. I były już wypadki, kiedy pod różnymi pretekstami, odcinano nam tę możliwość komunikowania się, ostatnio np. gdy pojawiła się w internecie tzw. lista Wildsteina. Nie ma zatem mechanizmu autoregulacji w funkcjonowaniu parlamentu, rządu, sądownictwa i mass mediów. Najpewniej jest to przyczyną wielu patologii, występujących dziś w Polsce.

Ale tu jest podobnie jak we wszystkim, nikt przecież za nas nie stworzy w Polsce opinii publicznej! Nikt za nas nie wymyśli, nie zbuduje i nie tchnie ducha w instytucje tej opinii! Nikt!

To może czas wziąć się do roboty?

Marzec 2005 r.

MY I INNI

WSTĘP

Pierwsze teksty pomieszczone w tej części książki pochodzą z połowy lat 90-tych lat, ostatnie z roku 2004. Są one wynikiem sporów politycznych o przynależność Polski do struktur świata zachodniego: NATO i UE. Dziś, na szczęście, należymy do obu tych organizacji. III RP przebyła długą drogę od czasów, gdy Lech Wałęsa wyprowadzał wojska sowieckie z naszego kraju, a większość establishmentu politycznego (poza Porozumieniem Centrum braci Kaczyńskich) opowiadała się za kolejnością: najpierw przygotowujemy się (może i 20 lat, jak będzie trzeba) do wstąpienia do UE, a później pomyślimy o NATO, czyli na Święty Nigdy. Lewica postkomunistyczna niczym lew broniła wówczas ścisłych związków z Rosją i sugerowała, że dla Polski najlepsza byłaby „trzecia droga” – między Wschodem i Zachodem. Dopiero związanie się części liderów lewicy z Waszyngtonem, a części z Berlinem i Paryżem, zmieniło tę sytuację. Warto zresztą zauważyć, że przeorientowanie się byłych komunistów na Zachód nie musiało oznaczać zerwanie z Moskwą i jej frakcją w Polsce. Dowodnie świadczy o tym tzw. afera Orłenu. Fakt, że III RP nie zdołała się przez 15 lat dobić niezależności energetycznej od Rosji potwierdza podejrzenia, że partia moskiewska jest u nas bardzo silna i ma znaczące wpływy w wielu gremiach politycznych, po lewej i prawej stronie sceny publicznej.

Przypominam o tym nie gwoli zadośćuczynienia prawdzie historycznej, ale głównie dlatego, że III RP nadal musi wytrwale, zdecydowanie i mądrze zabiegać o swoje bezpieczeństwo międzynarodowe. Naszą racją stanu jest obecnie ścisły sojusz z USA. Ale sam ten sojusz nie wystarczy. Istotne jest racjonalne wykorzystanie możliwości finansowych i gospodarczych, jakie niesie za sobą członkostwo w UE. Tylko

sprawność ekonomiczna naszego kraju pozwoli nam zbudować trwałe fundamenty bezpieczeństwa na wiele, wiele lat. Z punktu widzenia zaś przejrzystości władzy, jej skuteczności i suwerenności, najpilniejszym zadaniem polskich elit jest zepchnięcie na margines partii moskiewskiej. Znowu, tym razem dzięki Ukrainie, zyskaliśmy szansę na skuteczność takiej operacji. Pomarańczowa rewolucja spowodowała bowiem, że USA z impetem wróciły do polityki europejskiej, stawiając Rosji twardsze niż to było ostatnio warunki. Powinniśmy mądrze wykorzystać ten moment.

1

HAŁAS I SAMOZADOWOLENIE

(grudzień 1995 r.)

Tak naprawdę obecnie w Polsce jest tylko jedno ważne pytanie: jak wyrwać się spod dominacji Rosji? Nasi dziadowie potrafili w 1918 r. zbudować państwo silne, suwerenne, które odparło zbrojną napaść sowieckiej armii. My ciągle – mimo odzyskanej wolności – nie potrafimy zapewnić własnemu państwu trwałego bezpieczeństwa militarnego i ekonomicznego. Dlaczego tak się dzieje?

SLD i PSL, swój rodowód wywodzą z namiestnictwa sowieckiego. Nic więc dziwnego, że podkreślają dzisiaj „wagę i potrzebę” dobrych kontaktów politycznych i gospodarczych Warszawy z Moskwą. Te dobre kontakty mają nam – ich zdaniem – dopomóc w dostaniu się do NATO i innych zachodnich wspólnot. Zza zasłony frazesów o miłości do demokracji i cywilizacji Zachodu prześwieca jednak prawdziwa orientacja koalicji rządzącej wyrażona w sławnym „prywatnym liście z Moskwy”, kolportowanym w Klubie Parlamentarnym SLD kilka miesięcy temu. Oprzeć – według tego listu – powinniśmy się o Moskwę, a nie o Waszyngton

Spadkobiercy polityczni funkcjonariuszy PRL, w wielu wypadkach wręcz oni sami, tworzący obecnie koalicyjny obóz władzy SLD-PSL, służyli niegdyś ZSRR – w służbach specjalnych, na stanowiskach partyjnych, państwowych, gospodarczych. A dzisiaj prowadzą ze swoimi przyjaciółmi z Moskwy rozliczne interesy. W tym biznesie zysk jest murowany dla obu stron. Rząd polski udziela gwarancji na handel z Rosją: w razie „krachu”, firma rosyjska ma towar, polska – pieniądze. Od polskiego podatnika. Proste to, jak konstrukcja cepa.

W Rosji za biznesem często stoi mafia. Dla niej, jeśli chodzi o Polskę, główne znaczenie ma tranzyt „trefnego” towaru na Zachód. Spe-

cjaliści twierdzą, że dzieje się to dzięki wykorzystaniu logistyki armii rosyjskiej. To tłumaczy, dlaczego Rosjanie upierali się przy zachowaniu baz na terenie Polski już po wycofaniu swoich wojsk. Chodziło przecież nie tylko o politykę, ale również o pieniądze. Bardzo duże pieniądze. Nie tłumaczy to jednak, dlaczego polscy urzędnicy państwowi przygotowali traktat w tej sprawie o treści, odpowiadającej interesom Rosji. Trzeba było dopiero publicznego sprzeciwu premiera Olszewskiego, żeby bazy po wycofanych wojskach rosyjskich stały się własnością Polski, a nie jakichś „przedsiębiorstw polsko-rosyjskich”.

Powrót gazzurki

Kreml musi kontrolować politycznie Polskę, jeśli chce mieć coś do powiedzenia w Europie. Pieniądze z biznesów legalnych lub nie są tu jakże miłym dodatkiem. Instrumentem takiej kontroli było kiedyś po prostu wojsko. Teraz używa się służb specjalnych, agentury rozlokowanej w strategicznych miejscach publicznych, ugrupowań politycznych o orientacji prorosyjskiej oraz powiązań gospodarczych. Armia rosyjska też jest „argumentem”, zwłaszcza gdy w rejonie Kaliningradu znajduje się największe zgrupowanie wojskowe w całej Europie; jednak jest to argument na razie wycofany na drugi plan. Na plan pierwszy wysunęła się zależność energetyczna Polski od Rosji. Kiedyś, w latach 50., jeden z dygnitarzy komunistycznych nosił obiegowe przezwisko „towarzysz gazzurka”, ponieważ za pomocą tego prostego przedmiotu chciał w Polakach budzić miłość do Stalina, ZSRR i komunizmu. Dzisiaj gazzurka wraca, choć w jakże cywilizowanej formie.

Rurociąg już jest. Na budowie zaplanowanego gazociągu, polska i rosyjska nomenklatura zarobiła olbrzymie pieniądze. Moskwa zaś utwierdzi swoją kontrolę nad naszą gospodarką, a co za tym idzie nad postępowaniem rządu w Warszawie. Szantaż z przykręceniem kurka był stosowany nawet za komunizmu, cóż przeszkodzi Kremlowi w wykorzystywaniu tej broni i dzisiaj? Dla polskich pogrobowców PRL zaś ta kontrola Moskwy stanie się dodatkową gwarancją, że żadne „zawirowania demokratyczne” nie odsuną ich od wpływu na życie publiczne, od władzy.

Kontroli nad Polską służą również inne decyzje, ukrywane przed opinią publiczną. Wojewodowie suwalski i białostocki udzielili formalnego zezwolenia na wojskowy tranzyt kolejowy między Kaliningradem a Białorusią. I pomyśleć, że niegdyś o tzw. korytarz wybuchła II wojna światowa!

Ludzka twarz stalinizmu

Wpływowa część opozycji jest lewicowa, socjaldemokratyczna. W początkach walki z komunizmem działacze tej opozycji liczyli na reformy wewnątrz ZSRR i partii komunistycznych; liczyli na socjalizm „z ludzką twarzą”. Wszystko rozpatrywano pod kątem, czy to pomoże, czy też zaszkodzi tzw. liberałom w KPZR. Ba, wysunięto wręcz tezę, że przemiany demokratyczne w Polsce nie powinny iść zbyt szybko, gdyż może to zaszkodzić gorbaczowskiej pierestrojce.

Upadek ZSRR i powstanie Rosji wzmocniło miłość tych polityków do Moskwy. Fundamentem tej miłości jest przekonanie, że bez zgody Rosji Polska nie może istnieć. Przypomnijmy sobie, jak to premier Mazowiecki w momencie jednoczenia się Niemiec, odwołał się do Moskwy jako gwaranta polskiej granicy zachodniej. Tak zatryumfował stereotyp ukuty przez komunistyczną propagandę, jakoby Pax Sovietica w Europie gwarantował Polsce bezpieczne granice i chronił nas przed rewanżyzmem niemieckim.

Prawda o Rosji i stosunkach polsko-rosyjskich jest natomiast inna, niż usiłowali nam wmówić komuniści i część lewicowej opozycji. Otóż, cały establishment rosyjski przeciwny jest przyjęciu Polski do NATO, gdyż sprzeciwia się Polsce niezależnej od Rosji, suwerennej, bezpiecznej. Gdy władzę na Kremlu sprawują twardogłowi, sytuacja jest prosta i Zachód nie ma wątpliwości. Tak jak popierał „Solidarność” w czasach Breżniewa, tak teraz przyspieszyłby przyjęcie nas do NATO, gdyby Janajewowi udał się pucz i Rosją zawładnąłby autokratyzm czy dyktatura. Dopóki jednak Kreml jest o milimetr bardziej liberalny niż opozycja wobec niego, Zachód, dla dobra rosyjskiej demokracji – obecnie, na przykład, dla wsparcia Jelcyna przeciw neokomunistom – poświęci polskie interesy. Żeby nie drażnić...

Gdy rozeszły się pogłoski, że Andrzej Drawicz ma być ambasadorem Polski w Moskwie, złośliwi mówili, że nie warto go wysłać, gdyż jest sto razy lepszym ambasadorem Rosji w Warszawie. Drawicz i jego poglądy, to przykład degeneracji słusznej myśli, że Rosja jest zbyt ważnym dla nas państwem, żebyśmy mogli sobie pozwolić na zaniedbania polityczne wobec niej. Niekorzystne dla polskiej racji stanu były również wypowiedzi ministra Bartoszewskiego w Moskwie, jakoby Polska nie była przywiązana do NATO, gdyż może należeć do dowolnej struktury bezpieczeństwa europejskiego, a najważniejsze dla nas są dobre stosunki z Rosją.

Oczywiście, nie znaczy to, że trzeba szukać zwady z tym potężnym militarnie państwem. Ale jest różnica między polityką racjonalną a polityką wasalną. Powiedzmy zatem brutalnie szczerze: nasze stosunki z Rosją wcale nie muszą być dobre. Nikt nikogo nie może zmusić do przyjaźni, a co dopiero do miłości. Skoro Rosja nie chce wypuścić nas ze swojej strefy wpływów, mamy tylko jedna odpowiedź: robić swoje, bez przejmowania się ewentualnym krzykiem. Jeżeli dla bezpieczeństwa Polski potrzebne będzie pogorszenie stosunków z Rosją, to należy to zrobić nie oglądając się na straty w gospodarce. I nie oglądając się na biednych rosyjskich demokratów. Dla wzmocnienia zaś naszej polityki powinniśmy budować sojusze z Niemcami, Ukrainą i państwami bałtyckimi. Jest to nadal możliwe, mimo wieloletnich zaniedbań i błędów kolejnych rządów III RP.

Nie będzie to jednak łatwe, ponieważ również nielewicowa część opozycji jest pod wpływem prorosyjskiego lobby.

Ni to, ni sio

Oczywiście, nikt nie opowiada się za Rosją wprost, ale... prawica nie ma jednolitej polityki pro zachodniej. Najbardziej znacząca była tu polityka Lecha Wałęsy, jako prezydenta III RP.

Raz mówił on, że Polska musi być w NATO jak najszybciej, że nie ma mowy o podporządkowaniu się Moskwie, że już teraz jest nam niezbędnie potrzebny natowski parasol ochronny. Ale innym razem zgłaszał postulat powołania NATO-bis z Rosją włącznie, albo mówił, że Zachód jeszcze nie dojrzał do przyjęcia nas do NATO, że jest zbyt konfrontacyjnie nastawiony wobec Rosji, że Rosja też potrzebuje czasu, by się z taką perspektywą oswoić; więc poczekajmy cierpliwie. Opinia publiczna jest wprawdzie przekonana, iż to Wałęsa zdecydowanie steruje naszym państwem do NATO, ale fakty o tym wcale nie świadczą. Przeciw naszym związkom z sojuszem północnoatlantyckim działają pomysły w rodzaju NATO-bis, i sprzeciw wobec cywilnej kontroli nad armią, utrzymywanie kooperacji przemysłów zbrojeniowych byłej RWPG i nieprzeprowadzenie dekomunizacji państwa.

Wałęsa de facto utrzymał Polskę w „szarej strefie” – ani na Zachodzie, ani na wschodzie. Politycznie było to dla niego wygodne, gdyż pozwalało nie stosować się do twardych reguł demokratycznych (cywilna kontrola nad armią, status prezydenta wobec rządu i parlamentu itp. itd.). Było to i jest śmiertelnie niebezpieczne dla państwa, gdyż przy

możliwej przecież zmianie sytuacji międzynarodowej grozi nam wchłonięcie przez Rosję.

Także w szarej strefie sytuuje nas prawica spod znaku Unii Wolności (gdyż ogląda się na Moskwę, kontynuując politykę premiera Mazowieckiego w tym względzie, rozpoczętą niezwykle pomysłowo, że najpierw powinniśmy wstąpić do EWG, a dopiero później do NATO, co faktycznie oznaczałoby święty Nigdy), spod znaku ZChN (gdyż ostrzega przed „zgniłym Zachodem”, a zarazem boi się Moskwy), spod znaku Kościoła (gdyż nie spieszy się do Zachodu, ponieważ zagraża to wyjątkowej pozycji Kościoła w Polsce).

Tylko niewielka część prawicy jest obecnie zdecydowanie proatlantycka. Ale jej nieliczni przedstawiciele, gdy mieli władzę – jak Jan Olszewski i Jarosław Kaczyński – nie osiągnęli dla III RP nic decydującego.

Ważnym elementem prozachodności w polityce zagranicznej jest postulat wzmocnienia polskiej armii. Niemal wszyscy nasi sąsiedzi ze wschodu mają broń atomową. Jeżeli nie będziemy w stanie obronić się metodami konwencjonalnymi przed ewentualną agresją ze strony Rosji (Kaliningrad!), Ukrainy lub Białorusi, to Zachód – w obawie przed głowicami atomowymi – nie przyjdzie nam z pomocą. Ale równowaga konwencjonalna powinna zapewnić nam spokój, aż do chwili przyjęcia do NATO. Wówczas zaś demokracje zachodnie znowu znajdą się w sytuacji, kiedy – chcąc nie chcąc – będą zmuszone umierać za Gdańsk. Do czego zresztą nie dojdzie, gdyż Rosja czuje respekt dla siły.

Łopot listków figowych

Aleksander Kwaśniewski postara się teraz ustroić swój prezydencki fotel listkami figowymi. Do Drawicza, Labudy, Milewskiego, Koniecznego, doszłusują inni byli opozycjoniści. Niektórzy z tych „bezpartyjnych fachowców” obejmą ważne urzędy, zasiądą w ministerstwach, telewizji publicznej. Mają oni przesłonić zbliżenie do Moskwy, a w konsekwencji podporządkowanie nas Kremlowi. Może nie w sensie jawnie namiestniczym, ale na pewno politycznym. Komuniści zechcą też ograniczyć wolności obywatelskie przez zapanowanie nad mass mediami i kontrolę obiegu informacji w społeczeństwie i państwie. Jeszcze szerzej uwłaszczą też nomenklaturę kosztem majątku państwowego.

Łopot listków figowych nie będzie zatem trwał długo. Zwyczajcom należą się łupy i zadośćuczynienie za „przecierpiane” lata. Służby spe-

cialne i niektóre inne strategiczne miejsca w państwie można objąć po cichu, ale w województwach i mass mediach zmiana warty będzie widoczna gołym okiem. Telewizję i radio publiczne okiełznać jest łatwo. Minister finansów i rady nadzorcze wykonają odpowiednią robotę do końca marca przyszłego roku, gdy przyjdzie czas rozliczeń, określony przez kodeks handlowy. Inne media, a zwłaszcza gazety, ograniczy się odpowiednim prawem prasowym i ustawą o tajemnicy państwowej – sprawdzone projekty czekają już w szufladach. Gospodarka stanie się prywatnym folwarkiem nomenklatury, jak zawsze była w PRL. Sposobów na przepompowywanie pieniędzy podatnika do kieszeni prywatnych jest bez liku, i mechanizm zastosowany w przypadku „Polisy” to tylko jeden z nich. Urzędy państwowe, sądownictwo, prokuratura i policja szybko się upartyjnią na dawną komunistyczną modłę. Minister Jaskiernia swoim postępowaniem jasno wytyczył kierunek zmian i oczekiwań władzy.

Zbliżanie się do Moskwy zostanie osłonięte niechęcią Zachodu przyjęcia nas do NATO. Polskie struktury państwowe, służby specjalne i wojsko odtworzą teraz swoje dawne powiązania z rosyjskimi służbami specjalnymi. Kto by zatem się spieszył z przyjęciem konia trojańskiego pod swój dach?

A przecież posiadanie przez Rosję rakiet balistycznych z głowicami atomowymi i tak czyni Zachód podatnymi na argumenty Kremla. Amerykanie wiele zrobią dla ratowania Jelcyna przed neokomunistami. Moneta może stać się również i Polska.

W najlepszym razie, z naszymi aspiracjami do NATO trafimy do zamrażarki pt. wieczne partnerstwo dla wiecznego pokoju. Tymczasem w NATO już są byłe Niemcy Wschodnie, zostaną przyjęci Czesi i Węgrzy (ci ostatni właśnie zakładają na swoim terytorium bazy wojsk nатовskich). Będzie to widomy dowód, że Zachód nie zasypia gruszek w popiele i dba o rozszerzenie NATO oraz demokratyczny rozwój Europy Środkowej. To miła wiadomość dla zachodniej opinii publicznej.

Agenci ponad wszystko

Przez lata Sowieci oplatali zdobyczne kraje siecią zależności. Infiltrowali różne środowiska, werbowali swoich współpracowników niezależnie od lokalnych służb specjalnych. Jak daleko sięgała infiltracja, ilustruje wypowiedź generała Jaruzelskiego, że drażni go czasami, iż w sejmowej Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej przesłuchują go,

bywa, byli agenci PRL-owskich służb specjalnych. Jaruzelski podkreśla jednocześnie, że wiedza jego i generała Kiszczaka o współpracownikach SB wśród dawnej opozycji jest znaczna.

Po runięciu muru berlińskiego, zjednoczeniu Niemiec i rozpadzie ZSRR, rosyjskie służby specjalne i zagraniczne próbowały ograniczyć straty. W Europie najważniejsze było utrzymać Polskę w strefie neutralnej, nie dopuścić do przesunięcia granicy NATO i EWG z Odry na Bug.

Oczywiście, Rosja w tej grze uzyskała duże zrozumienie ze strony samego Zachodu. Ale nie bez znaczenia była również polityka państwa polskiego po 1989 r. Najważniejsze dla Kremla w tej grze było utrzymanie niejasnego statusu III RP, czy to jest nowe państwo, czy kontynuacja PRL, czy hybryda wymyślona przy „okrągłym stole”? Żeby państwo o nazwie III Rzeczypospolita nie wymknęło się spod kontroli, nie mogło nastąpić oczyszczenie jego struktur i w ogóle życia publicznego z dawnych PRL-owskich agentów służb specjalnych i agentów sowieckich oraz z komunistów. Dekomunizacja państwa i lustracja pozwoliłyby na budowę państwa suwerennego, nie infiltrowanego w znacznym stopniu przez Kreml, jak jest teraz. Lustracja zresztą, o czym się często zapomina, miałyby na celu eliminację ze struktur państwowych nie tylko agentów komunistycznych, ale w ogóle agentów obcych państw.

Do dekomunizacji i lustracji nie doszło. Rząd Jana Olszewskiego, który próbował – dzięki inicjatywie posła Janusza Korwin-Mikkego – postawić pierwszy krok na tej drodze, został obalony wspólnym wysiłkiem komunistów, PSL, Unii Wolności, KPN i Wałęsy. Warto pamiętać o osobistej roli Leszka Moczulskiego w tej sprawie, ze względu na wysuwane przez jego ugrupowanie frazesy antykomunistyczne.

W konsekwencji, każde pytanie o to, co się w Polsce wydarzyło się po 1989 r. – jest podszyte nieufnością. Trudno przecież, na zdrowy rozum, pojąć, dlaczego – na przykład – nadal nie mamy konstytucji, dlaczego nie zapewniamy III RP rurociągu gazowego i dostaw ropy z Zachodu i Północy, tylko uzależniamy nas od Wschodu, dlaczego nie skonfiskowano majątku PZPR i pozwolono uwłaszczyć się PRL-owskiej nomenklaturze?

Czyny i frazesy

I tak, wracam do pytania wyjściowego: jak zapobiec wasalizacji Polski przez Rosję? Najpierw trzeba wykonać zadanie domowe, na temat

przyczyn klęski wyborczej jesienią 1993 r. i w listopadzie 1995 r. Niestety, taką pracą mało kto jest zainteresowany. Komuniści nie są zainteresowani ujawnieniem wyników takiej analizy. Nie jest też tym zainteresowany najbardziej przegrany Lech Wałęsa, gdyż chce być dziś liderem opozycji, a nie rozliczać się z własnymi błędami (zwłaszcza, gdyby w wyniku tego rozliczenia groziło mu zejście ze sceny politycznej). Kościół zbyt się zaangażował w wybory, żeby mógł dokonać rachunku sumienia. Biskupi patrzą teraz, jak ocalić swój mocno nadwątlony autorytet, a nie – jak dojść do przyczyn listopadowego niepowodzenia. Unia Wolności nigdy nie była zdolna do pojęcia, że to jej własne błędy przyczyniają jej kłopotów, a nawet klęsk – dlatego też nadal będzie w nich tkwić i nie może niczego dobrego oczekiwać poza zadowoleniem.

Innymi słowy – analizy nie będzie. Skoro zaś nie będzie analizy, to nie będzie też diagnozy i nie będzie propozycji terapii. Nic nie ulegnie zmianie w obozie przegranych.

Tymczasem, żeby wyrwać Polskę z rosyjskiej dominacji, potrzebna jest wielka praca polityczna, wysiłek gospodarczy, samozaparcie elit i narodu, a także dużo szczęścia i odwagi. Warunkiem wstępnym jest przeprowadzenie dekomunizacji i deagenturyzacji na stanowiskach państwowych, w administracji samorządowej, funkcjach wybieralnych, w mediach publicznych (telewizja, radio, gazety z większościovym udziałem Skarbu Państwa). Jest to możliwe, ponieważ są archiwa. Nie ma jednak woli elit politycznych, ani wystarczających sił społecznych, które zechciałyby to poprzeć – zwłaszcza dzisiaj po listopadowej klęsce, mimo że badania opinii publicznej pokazują, iż obywatele w większości opowiadają się za lustracją.

To, na co cierpimy naprawdę i najbardziej, to uwiad myśli i postawy patriotycznej. Polska klasa polityczna wykazała całkowitą bezradność, a nawet niechęć do budowy silnego, praworządneho, bezpiecznego państwa. Jest to zrozumiałe u zdrajców, agentów. Ale u innych polityków? Głupota i prywata są najłagodniejszymi możliwymi wytłumaczeniami tej postawy. Jeśli chodzi o działanie na dobro państwa, politycy polscy ani be, ani me – umieją tylko krzyčeć patriotyczne „kukuryku”. Nic z tego nie wynika poza hałasem i samozadowoleniem.

2

DRUGA ALBANIA, CZYLI PIERWSZA ROSJA

(marzec 1997 r.)

Premier Cimoszewicz powiedział w Sejmie 20 marca: „jest więc realizowany swoisty scenariusz. Scenariusz jątżenia i eskalacji napięć, szczucia ludzi przeciw sobie. Scenariusz pisany nienawiścią i ślełą rządzą odwetu. Złowieszczy scenariusz. (...) zwracam się do polityków „Solidarności” o spokój i powstrzymanie się od działań szkodzących Polsce. Kiedyś mieliście naiwne, ale szlachetne marzenie budowy w Polsce drugiej Japonii. Nie próbujcie dzisiaj budować w Polsce drugiej Albanii”.

Mocne słowa. Dopowiedzmy zatem, jaki to scenariusz jest rzeczywiście obecnie realizowany w Polsce.

W gotowości

Jelcyn nie jest Gorbaczowem i dobrze wie, że może utrzymać władzę tylko pod warunkiem twardej obrony imperialnych interesów Rosji. A że jest to człowiek zdecydowany, dobrze przekonał się i sam Gorbaczow, i spiskowcy Janajewa, i parlament z Chasbułatowem na czele. Jelcyn wie też doskonale – gdyż wypróbował to w praktyce – że nawet ostrzeliwanie parlamentu nie może mu zaszkodzić w oczach Zachodu. Innymi słowy, Jelcyn wie, że może sobie pozwolić na bardzo dużo na zachodzie i na bardzo mało w Rosji. Jego głównym atutem wobec Waszyngtonu są rakiety atomowe, a właściwie groźba dostania się ich w ręce nie znane Amerykanom.

Dlatego też Jelcyn może czynić pozornie groteskowe zabiegi o wcpchnięcie państwa o upadającej gospodarce i społeczeństwie ubogim aż do granic nieprzyzwoitości, do grupy państw najbogatszych (G-7, a od

lata, już z Rosją, G-8) i do innych struktur najwyższej rozwiniętych państw świata, domagając się głosu decydującego, z prawem weta własnie. Szantażuje zaś nie tylko raketami, ale również perspektywą sojuszu z dyktatorskimi Chinami i z liderami biednego południa, jak Indie, które to Południe stale ma chęć wybrać się na krucjatę przeciw sytej Północy.

W swojej grze Jelcyn stosuje wiele chwytów, a jednym z nich jest, oczywiście, użycie agentów wpływu w poszczególnych krajach zachodnich, a i w Polsce. Ci polscy chłopcy Jelcyna, to nie są bezradne przedszkolaki, tylko ludzie usadowieni przez lata PRL-u w różnych strategicznych miejscach w gospodarce, w aparacie państwowym, w służbach specjalnych, w mass mediach w wojsku, w służbie dyplomatycznej itd. To oni np. uniemożliwili zawarcie przez Polskę kontraktów na dostawy gazu i ropy spoza Rosji. To oni ze wszech sił pracują teraz nad tym, żeby ułatwić Moskwie zablokowanie naszego przyjęcia do NATO. Pamiętajmy bowiem, że Rosja może pogodzić się z odejściem Czech, Węgier, Słowenii, ale nie Polski. Polska na Zachodzie oznacza Rosję w Azji. To jest dla Rosji sprawa fundamentalna. Ugnie się tylko przed siłą, ale nie pogodzi nigdy. Chłopcy Jelcyna są zatem w gotowości. Działają i będą działać bardzo aktywnie. W Polsce mieliśmy tego już wiele przykładów. I ważne przypomnienie: agenci rosyjscy byli lokowani również po prawej stronie sceny politycznej. Warto o tym pamiętać, obserwując kariery różnych radykałów ostatniej godziny.

Teraz nie ma co rozpaczać nad rozlanym mlekiem jak część prawicy lub łać krokodyle łyż jak np. działacze Unii Wolności (!). Dekomunizację Polski trzeba było przeprowadzić parę lat temu, dzisiaj trzeba do tej operacji użyć postkomunistów, a i – bywa – agentów Rosji, co przecież musi zmienić charakter operacji i płaconą za nią cenę. Ale nie ma wyboru.

Zły? Dobry? – skuteczny!

Oni to bowiem – funkcjonariusze PRL, postkomuniści i agenci sowieccy, rosyjscy – podejmują w naszym państwie wiele ważnych decyzji. Jak im wyrwać państwo i wprowadzić je do NATO? Najprościej byłoby wygrać wybory. Ale to może być nierealne, niestety, i spóźnione. To przecież w najbliższych miesiącach, tygodniach zdecyduje się strategiczne położenie Polski, czy będziemy wreszcie bezpieczni militarnie, czy nadal poddani presji rosyjskiej.

Sądzę, że polska prawica nie ma wyboru. Do NATO może nasze

państwo być wciągnięte za uszy, na siłę i wbrew niemal wszystkim, przez Amerykanów. Ale za bardzo bym na to nie liczył. O wiele pewniejszym sposobem jest współdziałanie z Amerykanami w tej sprawie wszystkich polskich ośrodków władzy państwowej i ważnych ugrupowań politycznych. Kwaśniewski jeszcze ponad trzy lata, albo i dłużej, będzie prezydentem RP. Prawica powinna, myślę, wyciągnąć z tych przesłanek wnioski polityczne i zaproponować postkomunistom nowy Okrągły Stół. Z jednym przesłaniem: kto teraz potrafi wyrwać się z orbity wpływów moskiewskich, zostanie zbawiony. Macie, zatem panowie, szansę ostatnią – odkupić swoje grzechy i uzyskać rozgrzeszenie. Pod jednym wszak warunkiem, uczciwego, rzetelnego działania na rzecz przystąpienia Polski do NATO. Polska racja stanu warta jest abolicji. Ci, którzy jednak nie odstąpią od Moskwy w tej godzinie próby, niech się nie zdziwią, jeśli któregoś dnia trafią pod sąd za zdradę, za działanie przeciw interesowi państwa.

Wystąpienie Cimoszewicza, który w przeddzień spotkania Jelcyn – Clinton w Helsinkach stwierdził, że w Polsce może dojść do drugiej Albanii, pozwala jaśniej zobaczyć obóz postkomunistyczny. I zrozumieć, że większość tych ludzi tylko gada o wstąpieniu Polski do NATO i Europy, a naprawdę działa na rzecz rosyjskiego interesu. To, że w grupie rosyjskiej jest obecny premier, nie dziwi mnie, gdyż pamiętam rodowód tego człowieka, popieranego przez najbardziej sowiecką część aparatu PZPR-owskiego („twardogłowi” z białostoczczyzny) i figurującego na liście Macierewicza jako agent „Carex” (archiwum Zarządu Wywiadu, data rejestracji 25.09.80).

Ale postkomuniści nie są monolitem. Jeżeli Adam Michnik i jego gazeta nadal prowadzą grę na „wyluskanie” spośród postkomunistów „liberałów” i tworzenie z nimi oświeconej lewicy, to powinni razem z Kwaśniewskim uciec od Cimoszewicza i Millera. Podobnie jak Krzaklewski i Olszewski muszą jak od zarazy uciec od Wrzodaka i związkowych (?) pomysłodawców okupowania urzędów publicznych.

Układ jest prosty: kto z jakichkolwiek powodów, również dla pieniędzy, korzyści własnej, ze strachu i przekupstwa, będzie działał na rzecz NATO, a nawet z agenta rosyjskiego stanie się agentem amerykańskim, jest tysiąc razy cenniejszy dla polskiej racji stanu niż szlachetny entuzjasta, który z głupoty lub braku wyobraźni przyczynia się do sukcesów Moskwy. A zresztą, co przecież jest oczywiste dla każdego, agenci rosyjscy są nie tylko na liście Macierewicza, ale i wśród jego gromko krzyczących zwolenników.

Apel o otrzeźwienie

Obawiam się, że emocje i wymogi propagandy wyborczej zakłócają dzisiaj normalną wymianę myśli. Gdyby taka wymiana była jednak możliwa, to poradziłbym czołowym politykom podjęcie następujących działań.

Aleksandrowi Kwaśniewskiemu zainicjowanie konsultacji politycznych wszystkich ważnych ugrupowań, parlamentarnych i poza, w sprawie przystąpienia Polski do NATO i sprzeciwu Rosji w tej kwestii. Tak, żeby nasze państwo mówiło jednym głosem i działało w jednaki sposób w obu tych sprawach.

Janowi Olszewskiemu naleganie na wspólne listy AWS do Sejmu i odsunięcie ludzi, wypowiadających się tak jak Wrzodak.

Marianowi Krzaklewskiemu kontynuację polityki zawartej w sformułowaniu „naszym strajkiem generalnym będą wygrane wybory” ze świadomością jednak, że AWS nie wygra tych wyborów bez wspólnych list poselskich z ROP-em Jana Olszewskiego i bez okiełznania działaczy związkowych. Wyborcy bardzo cenią sobie spokój i poczucie stabilności, bezpieczeństwa.

Lechowi Wałęsie wyraźne poparcie dla AWS i jego sojuszu z ROP-em, a także zawieszenia broni między tymi ugrupowaniami a UW. Adamowi Michnikowi pogodzenie się z tym, że najpierw trzeba wprowadzić Polskę do NATO, a dopiero później można cywilizować lewicę, prawicę i co tam jeszcze istnieje. A w związku z tym nie wolno popierać ludzi takich, jak Cimoszewicz, gdy zaczynają oni szkodzić polskiej racji stanu.

Leszkowi Balcerowiczowi, żeby nie uwiarygodniał przyjaciół Moskwy w rodzaju Oleksego poprzez debaty z nimi, ale jasno powiedział, że postkomuniści mogą być zbawieni tylko pod warunkiem lojalnego działania na rzecz NATO. I że jest to jednocześnie podstawowy warunek ewentualnego historycznego kompromisu w Polsce, tak pożądanego w środowiskach unijnych mimo używanej obecnie przez polityków tej formacji frazeologii antykomunistycznej.

Włodzimierzowi Cimoszewiczowi uznanie szkodliwości dla interesu III RP własnego wystąpienia sejmowego z 20 marca i podanie się do dymisji. Inaczej bowiem opinia publiczna będzie mogła sądzić, że działania i wystąpienie premiera nie było błędem, a prowokacją na miarę tej z marca 1981 r. w Bydgoszczy, która miała – jak i wówczas, tak i dzisiaj – doprowadzić do strajku generalnego w Polsce. W interesie Moskwy. Wtedy, żeby dać pretekst do interwencji wojskowej, teraz, żeby odepchnąć nas od NATO.

3

CZY KWAŚNIEWSKI MOŻE BYĆ ZBAWIONY?

(kwiecień 1997 r.)

Na szczęście, wydaje się – przynajmniej taki sąd bym zaryzykował – że przyjęcie Polski do NATO jest sprawą zdecydowaną przez USA. Świadczy o tym dowodnie europejska podróż pani sekretarz Madeleine Albright. Oczywiście, nadal nie wiadomo, jakie przekształcenia samego Sojuszu Północnoatlantyckiego wymuszą Rosjanie. W sensie strategicznym losy Europy zostały rozstrzygnięte na dziesiątki lat, a naszemu państwu, odpukać, udało się uciec ze Wschodu na Zachód, z cywilizacji śmierci do cywilizacji życia. Samo to wystarczyłoby na wzniesienie pomnika narodowej wdzięczności dla ruchu „Solidarność”, opozycji demokratycznej i niepodległościowej, naziemnej i podziemnej i dla Lecha Wałęsy jako symbolu walki z komunizmem, w czasach, gdy tenże komunizm sprawował pełnię władzy w Europie na wschód od Łaby. Bez tego, co stało się w Polsce, Amerykanie byłiby bezradni, a porządek jałtański trwałby w najgorsze.

Mimo wszystko, za wcześniej jeszcze na triumfalne fanfary. Rosjanie niemal codziennie demonstrują swoją wrogość do suwerennej Polski i do demokratycznej Europy. I zapowiadają odwetowe kroki (!). Dlatego też minister Siemiątkowski, ostrzegając przed działaniami rosyjskiej (czytaj: postsowieckiej) agentury powiedział rzecz banalną. A jednak jego wypowiedź spotkała się z zadziwiającymi reakcjami polskich polityków.

Uderz w stół ...

Oczywiście, nie zaskakuje niechęć Józefa Oleksego i jego niemal nie skrywane pogróżki pod adresem koordynatora służb specjalnych i jed-

nego z najbardziej zaufanych ludzi prezydenta, zwłaszcza że minister Siemiatkowski użył popularnego od pewnego czasu w polskim establiśmencie słowa „biesiadowanie”. Nie zaskakuje także, że SdRP-owski minister gospodarki, Kaczmarek, nie widzi zagrożeń, jakie są oczywiste dla służb i każdego średnio rozwiniętego przedszkolaka. Ciekawe jednak, że inni czołowi działacze SdRP byli o wiele bardziej wstrzemięźliwi w reakcjach. Miller stwierdził oschle, że Siemiatkowski widocznie wiedział, co mówi, a Szmajdziński i Borowski też nie robili wrażenia zaniepokojonych.

O ile w wypadku Józefa O., odezwały się nożyce, o tyle w wypadku niektórych polityków opozycyjnych bezmyślność. I nie chodzi mi tutaj o marginesy czy wręcz folklor polityczny w rodzaju publikacji spotykanych w piśmie „Radia Maryja” czy też wypowiedzi z grupy skupionej wokół Zygmunta Wrzodaka, ale polityków traktowanych poważnie. Andrzej Milczanowski zauważył, że minister, jeśli o czymś wie, to powinien zawiadomić prokuratora; rozumiem rozzalenie osobiste, ale nie rozumiem, że ktoś, kto z upodobaniem nazywa siebie propaństwowcem, nie potrafi wznieść się ponad uwikłania osobiste. Bogdan Borusewicz srogo zapowiedział, że Unia Wolności zażąda w parlamencie wyjaśnień ze strony ministra, a tak w ogóle odpowiedniejszym forum dla rewelacji ministra jest komisja do spraw służb specjalnych, nie mass media. Lech Wałęsa od razu zadekretował, iż cała ta wypowiedź to cyniczna gra koalicji, oczywiście w celu politycznym, bo niby jaki inny mógłby to być cel? Różni politycy wypatrywali pułapek i zagrożeń w wypowiedzi człowieka prezydenta, oddelegowanego do nadzoru nad służbami specjalnymi.

Jeden Jan Olszewski zgodził się z meritum przesłania ministra – koordynatora. Ale nawet lider Ruchu Odbudowy Polski nie zauważył w wypowiedzi Siemiatkowskiego propozycji gry politycznej. Tymczasem, moim zdaniem, to, co powiedział minister Siemiatkowski, a co spisała dziennikarka o dobrych kontaktach z UOP-em, Anna Marszałek z „Rzeczpospolitej”, nie było żadnym alarmem dla opinii publicznej czy też głosem zatroskanego polityka. Była to oferta. Oferta skierowana do wszystkich liczących się sił politycznych. Nawet jeśli nie do końca przemyślana, może wstępna i sondażowa, mogła jednak z woli prezydenta i opozycji stać się faktem politycznym.

Rydwan zwycięzcy i racja stanu

W historii Polski tak było do tej pory, że kto stawał po stronie zwycięzcy w europejskich zmaganiach, stawał się niemal automatycznie zdrajcą narodu, może z wyjątkiem epoki sukcesów Napoleona. I oto w chwili, gdy upada porządek jałtański, a Ameryka tworzy zjednoczoną i demokratyczną Europę, praktycznie już tylko z Rosją na marginesie – choć pamiętamy przecież o Litwie, Ukrainie, Łotwie, Estonii, Bułgarii, Rumunii i Białorusi – powstaje sytuacja luksusowa pod względem moralnym i każdym innym: można spokojnie zaprzedać się silniejszemu i jeszcze dzięki temu chodzić w glorii zasłużonego patrioty, zbawcy Ojczyzny. To, co bowiem dzieje się na mapie politycznej naszego kontynentu, to nie jest chwilowa fluktuacja, czas do przeczekania, ale trwała zmiana. Rosja przegrała. USA wygrały. Każdy, kto myśli i chce działać politycznie, musi z tego wyciągnąć wnioski praktyczne.

Zwycięstwo Ameryki to wielkie szczęście dla Europy i innych części świata. Pragmatycy zaś, którzy dostosowywali się do realiów geopolityki za czasów ZSRR i układu warszawskiego, łatwo rozumieją konieczności historyczne. Zaprząć się do rydwanu zwycięzcy to rzecz korzystna, a w tym wypadku również godziwa. Czegóż chcieć więcej?

Nie dziwi mnie zatem, że prezydent Kwaśniewski i jego grupa tak zdecydowanie wypowiadają się w sprawie NATO i integracji europejskiej. Ba, prezydent pozwolił sobie na rzecz niesłychaną i polemizował publicznie, na forum międzynarodowym w Lizbonie z premierem Czernomyrdinem i wiernym sługą ZSRR Łukaszenką, na temat NATO właśnie. Niektórzy obserwatorzy sceny politycznej sądzą, że był to pierwszy sygnał, iż Kwaśniewski „urwał się ze smyczy”. Ponieważ jednak nic się nie dzieje bez przyczyny, skłonny jestem przypuszczać, że prezydent dobrze sobie wykalkulował dalszą grę polityczną. Może wyobraził sobie coś następującego: USA i NATO obejmują swoim panowaniem Polskę, Amerykanie muszą dogadać się z polskimi centrami decyzyjnymi, żeby dostosować struktury państwowe, zwłaszcza pod względem personalnym, do wymagań i bezpieczeństwa i skuteczności NATO, i muszą to praktycznie zrobić już teraz, bowiem np. proces wymiany dowódców i szefów ważnych ogniw musi potrwać. Żeby zaś w ogóle mógł się taki proces zacząć i toczyć, potrzebna jest aprobaty i współdziałanie zwierzchnika ił zbrojnych i osoby odpowiedzialnej konstytucyjnie za bezpieczeństwo państwa, czyli Prezydenta RP. Można zlekceważyć rząd i obecną koalicję wyborczą, spodziewając się nowych i innych rozstrzy-

gnięć w trakcie jesiennych wyborów do parlamentu – choć jest to ryzykowne założenie – ale prezydent Kwaśniewski będzie urzędował jeszcze ponad trzy lata. Z nim trzeba się dogadać. A zatem, mógł sobie wyobrazić Kwaśniewski w wieczornej ciszy Pałacu Prezydenckiego, to ja właśnie, prezydent ekskomunista, wprowadzę Polskę do Europy, i wszystko, co robiłem wcześniej, stanie się nieistotne.

Gra z obecnym prezydentem?

Wizja Kwaśniewskiego, strojącego się w piórka Zbawcy Ojczyzny, niesłuchanie drażni Wałęsę. Ba, drażni ona wiele osób w Polsce, gdyż jest to wizja sprzeczna z elementarnym porządkiem moralnym. Mnie też robi się niedobrze, gdy o niej pomyślę. Pamiętam, jak jeszcze nie tak dawno, w trakcie wyborczej kampanii prezydenckiej jesienią 1995 r., mówiłem prosto w oczy kandydatowi Kwaśniewskiemu podczas telewizyjnej dyskusji, że jego ewentualne zwycięstwo w wyborach prezydenckich będzie śmiertelnym zagrożeniem dla polskiej racji stanu, dla bezpieczeństwa państwa, dla wstąpienia do NATO... Widziałem, jak zaciskały mu się szczęki ze złości, gdy słuchał moich słów. Sprawilo mi to nawet satysfakcję... A teraz przyjdzie mi chyba wszystko odszczekać?

Kwaśniewski, zaprzędany funkcjonariusz PRL-u, i to w jego wersji agenturalnej i typowo sowieckiej, gdyż tylko tacy ludzie mogli być szefami polskiego sportu? Tak, oczywiście!

Kwaśniewski kłamca, nie potrafiący po męsku wybrnąć z kłopotliwej sytuacji? Tak, po stokroć tak!

Kwaśniewski, łasy na korzyści materialne zdobywane przy pomocy własnej władzy politycznej, państwowej? Tak, rzecz jasna, że tak!

No, dobrze, więc chyba nie odszczekam. Ale jestem zwykłym publicystą, wolno mi mieć swoje sympatie i antypatie, swoje miłości i nienawiści. Na szczęście, nie jestem politykiem – i nie muszę współdziałać z ludźmi, których nie szanuję. Gdybym jednak był politykiem, i to politykiem bardzo opozycyjnym i prawicowym, to po wypowiedzi ministra Siemiątkowskiego zacząłbym rozmyślać nad możliwością całkiem nowej, dziwnej może, ale obiecującej gry politycznej w Polsce.

Agentura i NATO

Oczywiście, gdyby Kwaśniewski był poważnym politykiem, to po wypowiedzi Siemiątkowskiego, uruchomiłby kanały do kontaktów dys-

krecjonalnych między sobą, a różnymi grupami opozycyjnymi. Z bardzo prostym przesłaniem: dzieli Polskę konstytucja, dzieli aborcja, dzieli konkordat, że nie wspomnę o normalnej walce międzypartyjnej, i na to nic nie można poradzić, przynajmniej prezydent, nie może, gdyż jest stroną a nie arbitrem. Jednak w sprawie NATO naród jest właściwie jednomyślny, w klasie politycznej zaś wypowiedzi antynatowskie same się marginalizują, wystarczy wspomnieć, jak szybko SdRP, niczym pies z podkulonym ogonem, ucieka od własnej zapowiedzi urządzenia referendum, czy Polacy chcą amerykańskich czołgów. Dlatego można utworzyć jednolity front polityczny pod patronatem prezydenta RP na rzecz przystąpienia Polski do NATO.

Broń Boże, żaden tam Front Jedności Narodu czy Rada Konsultacyjna przy prezydencie: nic sformalizowanego. Raczej rodzaj niepisanego porozumienia czy też konsensus dorozumiany, ale o twardej regule nieatakowania prezydenta RP w sprawie jego polityki zagranicznej, zmierzającej do przyjęcia Polski do NATO i Unii Europejskiej. Byłoby to działanie de facto paraliżujące agencję rosyjską w Polsce. To korzyść oczywista z punktu widzenia naszej racji stanu. Dla Kwaśniewskiego zaś szansa niebываła narodzenia się politycznie na nowo. No, ale Siemiatkowski wyraźnie nie został zrozumiany... Może i sam prezydent nie do końca wiedział, o co mu chodzi.

Nie wszystko jest jednak jeszcze stracone. Amerykanie muszą dogadać się z ludźmi sprawującymi władzę realną w Polsce. I myślę, że to robią od dawna; wielokrotne wizyty ministra Millera w Waszyngtonie nie są chyba przypadkowe? Muszą zatem Amerykanie w znacznie mierze „odwrócić agencję”, z ludzi Moskwy zrobić ludzi Waszyngtonu, albo ich usunąć. Myślę, że starają się o jedno i drugie. W tych staraniach zyskali już chyba pomoc grupy prezydenckiej. Przy współdziałaniu środowisk opozycyjnych łatwiej byłoby część agencji rosyjskiej „zakończyć” na wieczne nieistnienie, a część asymilować na zasadzie radości z nawróconego grzesznika. Gdyby jeszcze opozycja zechciała pomyśleć...

Ja wiem, że jest sprawiedliwość dziejowa, ja wiem, że jest sprawiedliwość ludzka. Słyszałem też coś o moralności. Mnie też denerwuje, że Kwaśniewski może być zbawiony. Ale czymże jest moje zdenerwowanie, a nawet zdenerwowanie milionów ludzi, wobec perspektywy bezpiecznej i demokratycznej Polski. Leżącej w Europie, nie w Azji. Nareszcie.

4

WSZYSCY ZA JEDNEGO

(maj 1998 r.)

Po długim i nerwowym oczekiwaniu usłyszeliśmy wreszcie amerykańskie „tak” dla naszych aspiracji natowskich. W polskich kręgach politycznych zapanowała euforia. To zrozumiałe, gdyż jest się z czego cieszyć. To najradośniejsza wiadomość dla Polski od 1939 r. i paktu Ribbentrop-Mołotow. Chodzi jednak o to, żeby radość nie przesłoniła przeszkód i zasadzek nadal czyhających na III RP w jej dramatycznej ucieczce spod dominacji rosyjskiej. Po pierwsze, nie jest bowiem tak, że nasze przyjęcie do NATO zostało już ostatecznie przesądzone. Po drugie, nadal nie mamy pewności, do jakiego sojuszu i na jakich warunkach wstąpimy.

Od formalnego przyjęcia Polski do NATO dzieli nas jedenaście miesięcy. Ponowienie przez rosyjski MSZ sprzeciwu wobec rozszerzenia sojuszu uświadamia, że Moskwa jeszcze nie złożyła broni.

Niestety, wcale nie jest tak, że zgoda amerykańskiego Senatu na rozszerzenie NATO „przesądza – jak pisze Jan Nowak-Jeziorański („Rzeczpospolita” z 19 marca 1998 r.) – o ratyfikacji traktatu przez parlamenty wszystkich pozostałych członków sojuszu”. Wprawdzie pozycja USA w NATO jest silna, jednak jest również co pewien czas kwestionowana, głównie przez Francję. Także Grecja i Turcja jako kraje należące do NATO, a jednocześnie znajdujące się od dawna w konflikcie (Turcja na dodatek ma nie zaspokojone roszczenia wobec Unii Europejskiej) – mogą skorzystać z okazji i potraktować ratyfikację rozszerzenia NATO jako element przetargowy. Prorosyjskie lobby w wielu krajach może zresztą oddziaływać w tym kierunku. W pewnym sensie jest to wygodniejsze dla Rosjan pole gry, ponieważ amerykańska racja stanu wymaga przyjęcia Polski do NATO i w związku z tym blokowanie tej decyzji w USA jest działaniem ryzykownym i mało skutecznym,

choć hałaśliwym. Ale ani Turcja, ani Grecja nie są przecież zobligowane własnym interesem narodowym w tej kwestii. Ma za to swój interes Izrael, któremu zależy na tym, żeby Rosja nie dostarczała rakiet na Cypr. Także sytuacja na Bliskim Wschodzie jest bardzo niestabilna, a Moskwa odgrywa tam ponownie dużą rolę.

To tylko przykładowe obszary potencjalnych konfliktów międzynarodowych, mogących zmienić stosunek USA i innych krajów członkowskich do rozszerzenia Paktu Północnoatlantyckiego.

Warto zatem o tych potencjalnych przeszkodach pamiętać przy planowaniu działań polskiego MSZ. Sam Nowak-Jeziorański ostrzegał zresztą wielokrotnie przed możliwością rosyjskiej prowokacji utrudniającej nasz marsz do NATO. Pole do takich prowokacji rozpościera się nie tylko w Polsce czy USA. Z wrodzonego optymizmu zakładam jednak, że w kwietniu przyszłego roku zostaniemy członkami NATO. Nie oznacza to jednak końca naszych geopolitycznych kłopotów. Nadal przecież – powtórzę – nie mamy pewności do jakiego sojuszu i na jakich warunkach wstąpimy. Jaka będzie faktyczna rola rady stworzonej przez NATO i Rosję? Czy w NATO nadal będzie obowiązywała zasada „wszyscy za jednego”?

Politycy różnych krajów w wypowiedziach na temat NATO formułują nieraz sądy bardzo groźne dla naszej racji stanu. Zgłaszane są postulaty, aby wyznaczyć czas dochodzenia nowo przyjmowanych państw do natowskich standardów, aby najpierw przekształcić armie nowych członków, dostosować ich łączność, logistykę, uzbrojenie do armii sojuszu. Czy w tym „czasie dochodzenia”, określanym nieraz na 5-10 lat, będziemy objęci takimi samymi gwarancjami bezpieczeństwa jak inni?

Grozi nam zatem w najbliższych latach zachowanie statusu państwa, będącego przedmiotem gry między USA a Francją, Niemcami i Rosją. Taki status zawsze jest bardzo groźny dla bezpieczeństwa narodowego. Oczywiście, członkostwo w NATO wyprowadza nas z europejskiej szarej strefy. W tym sensie poglądy Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Zbigniewa Brzezińskiego czy Ryszarda Kuklińskiego o historycznym zwrocie w losie Polski są trafne. Problem polega jednak na tym, żeby w NATO nie doszło do podziału na „równych i równiejszych”, żeby nie było państw lepiej i gorzej bronionych. Oficjalne opinie kierownictwa polskiej armii, traktowane jako wytyczna dla polskiej polityki na najbliższe lata, mogą sprzyjać utrzymaniu nas w takiej swoistej II lidze. Generałowie twierdzą bowiem, że „skuteczne uruchomienie obronnego sojuszu wojskowego wymaga czasu”, to oznacza, iż Polska powinna mieć silną armię,

której podstawowym zadaniem będzie powstrzymanie ofensywy agresora do czasu nadejścia pomocy NATO (czy ma to trwać 17 dni – jak w 1939 r. – czy może mniej albo więcej?).

Moim zdaniem, to rozumowanie błędne. Jest to kopia rozumowania polityków polskich przed 1939 r. i sprowadza nasze członkostwo w NATO do gwarancji brytyjskich i francuskich sprzed II wojny światowej, kiedy też mieliśmy się bronić kilka tygodni do czasu nadejścia wojsk sojuszniczych. Owszem, agresor niemiecki ostatecznie przegrał wojnę, ale Polska też ją przegrała i zapłaciła straszliwą cenę. Bezpieczeństwo Zachodu, gwarantowane przez USA, opierało się na doktrynie, że każdy skrawek terytorium państw NATO jest chroniony z taką samą siłą i determinacją. Rosjanie doskonale wiedzieli, że atak na przykład na Berlin Zachodni oznacza automatycznie kontratak sił całego NATO i atomowe uderzenie w kraje Układu Warszawskiego, że nie ma mowy o żadnej dramatycznej obronie garnizonu berlińskiego do czasu nadejścia posiłków. Ta doktryna nie powinna się zmienić. Gdybyśmy bowiem zgodzili się na zwłokę w zakresie „skutecznego uruchomienia sojuszu”, to zgodzilibyśmy się jednocześnie na uruchomienie w tym czasie przetargów politycznych, na debaty i rokowania pod hasłem „czy warto umierać za Suwałki?”.

Rosjanie, grając o utrzymanie Polski w II lidze sojuszu, będą próbowali wszystkich sposobów. Szczelina w postaci tezy o „bardziej i mniej cennych” terytoriach natowskich może być przez nich wykorzystana. Nie zapominajmy o planowanej budowie wielkiego gazociągu jamalskiego i o ciągle postulowanym przez Moskwę „korytarzu suwalskim”, łączącym Kaliningrad (nadal największy garnizon wojskowy w Europie) z Białorusią. Jest też plan budowy autostrady łączącej Kaliningrad z Berlinem. Czy trudno sobie wyobrazić sytuację, kiedy to „dla zabezpieczenia” którejs z tych ważnych inwestycji Rosjanie „będą zmuszeni” ... itp.?

Myślę, że im mniej wątpliwości w tak istotnej kwestii jak bezpieczeństwo państwa, tym lepiej. Klarowność sytuacji jest także bardzo korzystna dla atmosfery międzynarodowej. Dlatego tak ważne jest, żeby Rosja wiedziała, iż nie jesteśmy już szarą strefą. To zresztą warunek budowy nowych, równoprawnych relacji między Warszawą a Moskwą. Gdy zatem Zbigniew Brzeziński i Ryszard Kukliński jednocześnie apelują o dobrosąsiedzkie stosunki z Rosją, to wiedzą doskonale, że będą one możliwe dopiero w stanie pełnego bezpieczeństwa, jakie stworzy Polsce NATO. Państwa spoza sojuszu muszą mieć jasność, iż

Polska jest takim samym członkiem jak Niemcy i USA, a jej armia działa w ramach całego sojuszu i wyłącznie razem z nim. „Wszyscy za jednego” – i od razu. Idealem zaś byłoby, gdyby tworzone właśnie wspólne oddziały niemiecko-polsko-duńskie stacjonowały choćby we wspomnianych Suwałkach, a nie koło Szczecina. I miały wsparcie w amerykańskich bazach rakiet atomowych, ulokowanych w pobliżu polskich granic wschodnich. Dopiero wówczas Rosjanie uwierzą, że są to jednocześnie wschodnie granice NATO.

Oczywiście, silna polska armia nam nie zaszkodzi. Pod warunkiem, że pierwszego dnia naszego członkostwa w NATO stanie się częścią jego systemu obronnego i będzie działać tylko i wyłącznie jako fragment większej całości. „Wszyscy za jednego”. Od razu i razem. Inne myślenie może na nasz kraj sprowadzić nieszczęście, a na pewno przenosi nas w świat papierowych gwarancji.

Może to być groźne, ponieważ z różnych powodów polscy politycy są zainteresowani, żeby wszem i wobec głosić, iż w kwestii NATO wszystko jest załatwione. Nic dziwnego, jeśli robił to poprzedni rząd i robi prezydent, gdyż ich akurat polska racja stanu interesuje mniej niż zobowiązania wobec możnych tego świata. Ale podobnym naciskom podlegają też politycy obecnej koalicji rządzącej. To zresztą (żeby było zabawniej) mogą być naciski zarówno rosyjskie, jak i amerykańskie, francuskie czy niemieckie. Gdyby Zachód był zainteresowany utworzeniem natowskiej II ligi, wolałby niewątpliwie, żeby o tym głośno nie gadać. Dlatego warto, aby opinia publiczna śledziła losy naszego wstępowania do NATO i stale domagała się od rządzących składania jasnych, merytorycznych sprawozdań w tej sprawie.

5

DODATEK KORESPONDENCYJNY: KACZYŃSKI O NATO

(marzec 1999 r.)

„Kameleoni i niezłomni” – „Gazeta Polska” nr 12 z 24 marca 1999:

W związku z artykułem „Kameleoni i niezłomni” opublikowanym na łamach „Gazety Polskiej” (nr 10/99), pozwałam sobie przekazać następujące sprostowanie. Według autora artykułu, G. Kostrzewy-Zorbasa, uchwała I Kongresu PC (który odbył się w zimie, a nie na wiosnę 1991 r.), postulująca wejście Polski do NATO, była pierwszym posunięciem w tej kwestii. W istocie sprawa ta miała nieco dłuższą historię, którą, jak sądzę, należy przypomnieć. Sprawę wejścia Polski do NATO, jako pierwszy postawił publicznie Krzysztof Czabański na łamach „Tygodnika Solidarność”. Było to na przełomie 1989/1990 roku. On też zainicjował dyskusję na ten temat w kręgu ludzi, którzy rozpoczynali wtedy tworzenie PC. Kwestia ta była więc obecna od początku istnienia partii. Także K. Czabański był inicjatorem postawienia sprawy NATO przed sprawą wejścia do EWG, co tymczasowe wtedy władze PC zaakceptowały na jesieni 1990 roku. Trzeba też tutaj wspomnieć, że równoległe podobne poglądy głosił Zdzisław Najder, z którym pozostawaliśmy wtedy w kontakcie. Zaraz po przejściu kierownictwa Kancelarii Prezydenta RP sprawa ta stała się przedmiotem stałego zainteresowania tej instytucji. Zajął się nią także BBN od momentu, gdy jego szefem został L. Kaczyński. Jednym z przedsięwzięć było postawienie sprawy wejścia do NATO przez S. Siwka w trakcie rozmów w Waszyngtonie. Doprowadziło to do konfliktu z ministrem Skubiszewskim. Równoległe podejmowano działania zmierzające do powołania i umocnienia Trójkąta Wyszehradzkiego, trakto-

wanego także jako element naszych zabiegów o wejście do struktur euroatlantyckich. Działania te napotykały na opory, a ich praktyczne efekty nie były wielkie. Niemniej dziś, kiedy jesteśmy już w NATO, a laury zbierają ci, którzy długo byli sceptyczni, warto i o nich przypomnieć.

Jarosław Kaczyński

6

PRZYJDZIE UNIA I WYRÓWNA

(marzec 2002 r.)

Bank Handlowy uznał polityków, a zwłaszcza ministrów i posłów, za osoby wysoce podejrzone i zarządził skrupulatne sprawdzanie ich kont w poszukiwaniu tzw. brudnych pieniędzy. Po tej słusznej decyzji, odezwały się głosy oburzenia polityków, prezes BH zaś podwinął ogon pod siebie i zrejterował kajając się publicznie. Ktoś może powiedzieć, że bank nie jest od wystawiania świadectw moralności. Ciekawe jednak, że na BH oburzyły się również mass-media, na co dzień aż pękające z przepełnienia od informacji o kolejnych aferach i „przekrętach” z udziałem osób publicznych. Każdy, kto ma oczy widzi – jak tego konia z encyklopedii Benedykta Chmielowskiego – że choć nie wszyscy, to jednak posłowie, senatorowie, ministrowie, wysocy urzędnicy państwowi, radni, urzędnicy samorządowi są do cna skorumpowani, aż szkoda atramentu na przytaczanie przykładów.

Traf jednak chce, że ci właśnie politycy mają dokonać czynów o wadze wręcz historycznej dla Polski. Chwila dziejowa jednak nie wybiera i przypadła na Polskę 13 lat temu, a teraz jej łabędzim śpiewem, a naszą szansą jest rozszerzenie Unii Europejskiej m.in. o Polskę. Po zaciągnięciu Polski przez Amerykanów do NATO – a wielu polskich polityków bardzo się zapierało! – brakuje nam już tylko członkostwa w Unii Europejskiej, żeby na wiele lat oddalić od siebie nasze stare geopolityczne zmary.

Rzecz jasna, można być łapówkarzem i mieć wizję polityczną korzystną dla ogółu. Jedno z drugim nie musi stać ani w sprzeczności, ani wzajem na siebie oddziaływać. Dlatego mnie nie tyle razi brud naszej polityki, ile brak w niej myśli szerszej, wykraczającej poza granice dojrztowania. W warunkach braku suwerenności, czy wręcz niepodle-

głości, uwiad myśli politycznej nie dziwi. Po 1989 r. ta jałowość, niestety, nie ustąpiła wiele pola. Trochę próbował Wałęsa, trochę rząd Mazowieckiego, trochę Jarosław Kaczyński i jego Porozumienie Centrum, dopóki wszyscy nawzajem nie wykrwawili się w bratobójczych walkach. Ostatnie lata nic nie zmieniły w tej materii. Widocznie nie zasłużyliśmy jako obywatele na polityków, mających wizję – i moc sprawczą! – powstania Polski silnej, praworządnie skonstruowanej i porządnie pracującej, a jednocześnie dążącej do partnerskiego zjednoczenia z Europą. Dlaczego tak się stało, to inny temat, ale nie zasłużyliśmy. Mamy więc polityków, jakich mamy. Mamy też partie, grupy polityczne, a ich często jedynymi zajęciami są: zwalczanie konkurencji do władzy i rwanie, tego co tylko się da z publicznego sukna.

Czy jednak z tego wynika – jak dowcipkowano kiedyś w PRL-u z nowomowy partyjnej – że sytuacja jest dobra, ale nie beznadziejna? Moim zdaniem, nie. Sytuacja jest beznadziejna, ale to wcale nie musi dać Polsce złych owoców w sprawie członkostwa Polski w Unii Europejskiej. Bój o to członkostwo jest bojem o spełnienie się snu o Polsce bezpiecznej i zasobnej.

Ten bój mamy szansę wygrać nie tylko wbrew, ale i dzięki sprzedajnym politykom. W tym boju przegramy też suwerenność, żeby wygrać życie. I w ten dziwny sposób – za przyczyną sprzedajnych polityków i za cenę odstąpienia od imponderabiliów – znajdziemy się w grupie państw uprzywilejowanych. Podczas, gdy większość świata będzie żyła w nędzy, wojenkach i niewolnictwie, my będziemy pławić się w dobrostanie.

Pytanie o rację

Najpierw trzeba sobie zadać pytanie, co jest obecnie i w możliwej do przewidzenia przyszłości najważniejsze dla naszego kraju?

Skoro następuje tzw. globalizacja, najsilniejsi i najbogatsi na świecie przodują w tych procesach, są ich siłą sprawczą, to nasz wybór jest następujący: albo będziemy z tymi państwami, albo po drugiej stronie barykady, z nędzą, autokracją, przemocą (dla nas, oznacza to wasalizacja przez Rosję; status Białorusi). Czyli wyboru praktycznie nie mamy. Polską racją stanu jest członkostwo w Unii Europejskiej. To i tylko to, gdyż w NATO już jesteśmy.

Z tym członkostwem w NATO to zresztą jeden z największych cudów w historii Polski. Przecież tłum polityków, oszalałych głupców

i sprzedawczyków, wykrzykiwał, a to o rzekomo najważniejszych dla Polski interesach z Rosją (typowy w ostatnich wiekach związek dupy z batem!), a to o logicznej kolejności przemian, najpierw dojrzejemy gospodarczo, zintegrujemy się z Unią Europejską, a ukoronowaniem będzie sojusz wojskowy, a to o wynarodowieniu, które ponoć grozi nam z Zachodu, gdy Wschód jak każdemu dziecku wiadomo sprzyja „narodowieniu”. Na szczęście, Amerykanie mieli inne zdanie, i dopięli swego. Warto jednak pamiętać, że polscy politycy zrobili wiele, żeby zamknąć naszemu krajowi wejście do NATO.

Teraz też zrobią wiele, żeby zepsuć, co się da i nie da. Argumentów będą mieli więcej niż w sprawie NATO i będą one chętniej słuchane przez wielu obywateli. Furorę już robi biadolenie nad nierównym traktowaniem polskich rolników przez brukselskich biurokratów. Nie ukrywam wprawdzie, że z pewną sympatią popatruję na polityków chłopskich, gdyż niczego nie udają i mówią wprost, iż chodzi im o pieniądze (dla nich, dla urzędników partyjnych, dla elektoratu), ale dziwię się innym partiom, które wcale nie mają interesu w utrwalaniu zacofania wsi polskiej, a robią dziś wrażenie jakby na ołtarzu chłopskiej pazerności chciały złożyć polski interes narodowy. Kto dziś dokłada do rolnictwa polskiego, do wsi? Kto chce dać choćby złamanego euro na rzecz tej naszej wsi? Łukaszenko z Putinem odmienią ciężką dolę naszego chłopca?

Nie chodzi wyłącznie o rolnictwo. Polska jest zacofana, nie ma dróg, ani porządnego transportu, duże miasta umierają z bałaganu, złodziejstwa i braku infrastruktury (vide Warszawa! obsiadła przez samorządowych i partyjnych pasożytów), gospodarka ulega recesji, na wszystko i wszędzie brak pieniędzy... A mimo tego, państwa zamożne chcą nas przyjąć do wspólnego gospodarstwa, wspomóc. Owszem – kontynuując metaforę – nie staniemy się panami domu, raczej ubogimi krewnymi, ale z szansami wybicia się „na swoje”. No, ale nie! Tak nie można! Honor na to Polakom nie pozwala!

Honor pozwala na lenistwo, niedbalstwo, złodziejstwo, głupotę polityczną, pozwala na to wszystko, co spowodowało, że czas po 1989 r. nie przyniósł obfitych plonów.

Umysłowy stan rzeczy

Zadziwia mnie, choć starego, siwego łysonia doprawdy nie powinno!, że w życiu publicznym tak rzadko zadaje się pytanie: dla czyjego

dobra? Dla czyjego dobra dokonano reformy służby zdrowia i dla czyjego dobra planuje się teraz tę reformę zastąpić czymś innym? Dla czyjego dobra utworzono narodowe fundusze inwestycyjne? Dla czyjego dobra szykowano reformę oświatową i dla czyjego dobra teraz wszystko w tej reformie się zmienia?

To doprawdy dobre ćwiczenie, proszę państwa, zadać takie pytanie. Proszę to zrobić na swój użytek. Z mojej analizy wynika jeden wniosek: poza próbą nowego systemu ocen w szkołach, co służyłoby uczniom i powodowało m.in. poprawę poziomu nauczania, wszystkie działania miały i mają służyć jedynie interesom wąskich grup (politycznych, urzędniczych, zawodowych). Czy to kasy chorych, czy to samodzielnemu ministrowi zdrowia, pacjent w ogóle się nie liczy, jak zawsze zresztą. Projekt sprzed paru lat reformy służby zdrowia przygotowany przez ówczesny rząd SLD-PSL różnił się od projektu „Solidarności” jedynie tym, kto ma obsadzać kasy chorych: władza rządowa czy związki zawodowe?!

Otóż to! To jest nasze przekleństwo, że życie publiczne traktowane jest jako „tort”, „postaw sukna”, „konfityry”, czy jak kto chce to jeszcze nazwać. Liczy się, ile pieniędzy można „skręcić” dla siebie i swoich.

Między pocziwe opowiadki rodem z bajek należy włożyć wyobrażenie, że politycy, osoby publiczne łamią sobie głowy jak rozwiązać problem np. bezrobocia, budownictwa mieszkaniowego, katastrofy urbanistycznej w Warszawie? Nie, proszę państwa, tok rozumowania (bo trudno nazwać to myśleniem) jest inny: większość myśli jaki szyld wymyślić, pod którym najefektywniej da się ukraść jak najwięcej pieniędzy. Prostackie rozumowanie? No, dobrze, rozumowanie jest następujące: musimy zapłacić naszym ludziom, naszym strukturom, naszemu aktywowi, podzielić się ze sprzymierzeńcami, sojusznikami, kupić ekspertów, wzmocnić partię, przywalić konkurencji. Wiadukt to wiadukt, most to most, droga to droga, ale równie dobrze – wieczne remonty lub cokolwiek, co pozwoli na zgarnięcie kasy. Dlaczego, skoro płacimy podatki, nie możemy decydować np., w którym szpitalu chcemy zapłacić (przekazać nasze podatki) za operację? Dlaczego? To proste, gdyż wówczas władztwo nad naszymi pieniędzmi utraciliby urzędnicy i ordynatorzy. I podobnie dzieje się w wielu innych sprawach. Namawiam: zadajmy sobie i innym pytanie – dla czyjego dobra dzieje się to czy tamto? Dla czyjego dobra. To najlepsza droga do uzyskania kontroli (przynajmniej myślowej) nad własnymi podatkami.

Nieoczekiwane lekarstwo

Jojczę tutaj nie dla samej przyjemności narzekania. Nie dlatego też, żebyśmy nagle doszedł do wniosku, że publicystyka jest w stanie zmienić rzeczywistość. Co to, to nie. Ale naszą rzeczywistość może zmienić Unia Europejska. Oto lekarstwo na nasze choroby, o ile wynikają one nie tylko z ułomności natury ludzkiej.

Zróbmy listę głównych problemów, których nie udało nam się jako społeczeństwu rozwiązać w III RP. Wówczas okaże się, że wiele z tych kwestii rozwiążą za nas inni, lub my za ich pieniądze, lub pod ich naciskiem.

Drogi i transport od lat zapyziałe? Żywność produkowana drogo i w brudzie? Bezbronność państwa wobec mafii i agentury? W krajach rozwiniętych dano sobie radę nie tylko z takimi patologiami. Tak jak NATO przeprowadziło u nas lustrację, niezależnie od losów ustawy lustracyjnej, tak i Unia – dla własnego bezpieczeństwa i interesu – przywołała naszych polityków do porządku. Ukraść, owszem, można, ale też trzeba parę rzeczy zbudować czy naprawić. Skorumpowani politycy nie dodają Polsce splendoru, ale nie są też zagrożeniem dla wejścia naszego państwa do UE. Tak jak nie była zagrożeniem nomenklatura postpeerelooowska dla wejścia do NATO – wystarczyło, że Amerykanie zneutralizowali i odwrócili agenturę sowiecką w Polsce. Zagrożeniem mógłby być suwerenny, masowy ruch sprzeciwu wobec UE. Na szczęście dla nas i naszych dzieci Liga Polskich Rodzin lub Samoobrona to marionetki odgrywające role w nie swojej sztuce i w nie swoim teatrze.

Skończmy z nadymaniem się jak pawie, czyli darujmy sobie imponderabilia. Niech politycy przestaną wykrzykiwać bzdety o honorze, jak robią to dzisiaj, atakując UE ponoć w naszym narodowym interesie. Polska to kraj biedny i fatalnie rządzony, zapyziała prowincja Europy w sensie materialnym i kulturalnym. Mamy olbrzymie długi i zero zapasów do pracy. Jeżeli znalazł się frajer, który chce nam dać choć jedno euro, który chce zainwestować w naszą ziemię, który chce nauczyć nas ogłady i zmusić do pracy, nie mamy nad czym myśleć.

Alternatywą jest tkwienie w kołchozie pod wezwaniem Łukaszenki z winem Arizona w spracowanej dłoni. Będziemy wówczas tworzyć harmonijną całość z liderami naszego życia publicznego.

7

RACJA III RZECZYPOSPOLITEJ

(październik 2002 r.)

Polski imperatyw: jak najdalej od Rosji!

Motto dla polskich polityków: Stateczny i śmiały umysł pomaga w przeciwnościach, przemaga nienawiść, broni od przygód. Niemęski i pieściłwiy przeciwnie, przyzywa niebezpieczeństwa. Komu męstwo albo stateczność życia nie przyzna, bojaźń albo ucieczka bardzo rzadko zbawia (Andrzej Maksymilian Fredro *Przestrogi polityczno-obyczajowe*)*

Jaka jest racja stanu III RP? Czy taka sama jak w chwili okrągłego stołu? Czy taka jak przed atakiem terrorystycznym na USA? Zawalił się dwubiegunowy świat, NATO rozszerzyło swoje władztwo na Wschód, Ameryka w praktyce wypracowuje nową strategię, świat wchodzi w okres bardzo szybkich zmian politycznych... A w Polsce zapaść umysłowa? Czy politycy polscy nie są zainteresowani określeniem na nowo polskiej racji stanu? Czy zadowolają ich niemal bliźniaczo do siebie podobne i podobnie zresztą nie realizowane – sejmowe exposé kolejnych premierów III RP? A przecież pora najwyższa zadać sobie pytanie, czy Polska może wziąć udział w nowym rozdaniu kart na świecie, czy będzie jedynie obserwatorem lub – nie daj Bóg! ofiarą kolejnego obrotu ciał światowych?

Jest to pytanie tym pilniejsze, że Polska już znalazła się w trudnej sytuacji, czego wyraźnym symptomem jest ofensywa gospodarcza Moskwy wobec naszego kraju, nie znajdująca przeciwwagi w działaniach amerykańskich czy zachodnich. Skończyło się światowe 5 minut, dzięki którym – a nie dzięki własnym zasługom i staraniom – mogliśmy uciec z sowieckiego imperium. Teraz Moskwa odzyskuje siły. I próbuje

* W tłumaczeniu Jana Ignacego Jankowskiego, Wydawnictwo IBL, Warszawa 1999 r., str. 115

odzyskać imperium. Stanowi to dla Polski śmiertelne zagrożenie; pamiętajmy przy tym, że znaczna część krążących w polskim systemie finansowym pieniędzy może pochodzić z sowieckich służb specjalnych i z mafii rosyjskiej, choć trafiły do nas via Zachód. Gdyby został przeprowadzony rzetelny proces w sprawie Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, być może, moglibyśmy się łatwiej obronić przed uzależnieniem naszej gospodarki i państwa od wschodnich wpływów. Że są to wpływy potężne, świadczy sprawa światłowodu przy gazociągu jamalskim, a przede wszystkim, niemożność w suwerennym od kilkunastu lat państwie! stworzenia innych niż rosyjskie źródeł zaopatrzenia Polski w gaz i ropę naftową. Amerykanie, żeby choć trochę psychologicznie osłabić swoją zależność od ropy z Bliskiego Wschodu, kupują droższą ropę od Rosjan, a rząd w Warszawie cenami baryłek ropy i ton gazu, uzasadnia odłożenie na Święty Nigdy strategicznych dla bezpieczeństwa państwa inwestycji, pozwalających sprowadzać gaz ziemny i ropę naftową z różnych stron świata. Takie postępowanie przystoi handlarzom, a nie politykom, odpowiedzialnym za losy państwa. Jest czymś szokującym i wystawiającym III RP jak najgorsze świadectwo – jako państwu – że języczkiem u wagi w kluczowych dla bezpieczeństwa Polski przedsięwzięciach w branży energetycznej są ludzie o jednoznacznie rosyjskich powiązaniach i interesach. Tymczasem, zasadniczy wniosek, wynikający z naszego wielowiekowego doświadczenia politycznego, brzmi: nigdy z Rosją, jak najdalej od niej, choć przyjaźnie, a jak nie można inaczej, to i przeciw niej! To jest aksjomat każdego poważnego myślenia o polskiej racji stanu, choćby nie wiem jak gorąco protestowali miłośnicy poprawności politycznej. Wybór między Wschodem a Zachodem, to jest nadal wybór między cywilizacją śmierci i cywilizacją życia. Naprawdę zatem, nie mamy wyboru, jak tylko pazurami trzymać się Zachodu. Tak się szczęśliwie przy tym składa, że obecnie mamy wielką szansę stać się autentycznym, cenionym i cennym, sojusznikiem jedyne go mocarstwa światowego, USA. Sojusznikiem, czyli partnerem. Ale nic nie jest nam dane raz na zawsze. Co najwyżej, los w postaci obecnego prezydenta USA – dał nam dodatkową minutę historycznej szansy...

Obroty światowe

Można zauważyć, że światowa scena polityczna będzie się w najbliższych latach zmieniać szybko i w nieoczekiwany sposób. Rysuje się już

nie taktyczny, ale strategiczny sojusz USA z Rosją. Jest kilka tego powodów. Po pierwsze, walka z terroryzmem, w tym terroryzmem państwowym. Po drugie szukanie przez Amerykanów nowych źródeł energii, mające na celu rozluźnienie zależności od Bliskiego Wschodu. Po trzecie odsuwanie się od coraz mniej potrzebnej Europy, która jest konkurentem gospodarczym i coraz bardziej wątpliwym sojusznikiem wojskowym. Są i inne przyczyny, a wśród nich fakt posiadania przez Rosję broni atomowej, a także konieczność zapobieżenia przez światowy klub atomowy rozprzestrzenieniu broni masowego rażenia, jak również chęć USA i Rosji budowania przeciwwagi politycznej dla świata muzułmańskiego oraz dla potężnych – na razie, głównie ludnościowo – państw azjatyckich (Chiny, Indie).

Amerykanie szukają więc nowych rozwiązań, a UE i NATO były jak pokazała historia sposobem na utrzymanie w pokojowych ryzach samej Europy, i na gospodarczy rozwój jej zachodniej części. Przy rozpatrywaniu każdego istotnego obecnie problemu światowego: terroryzmu, broni masowego rażenia, wojen lokalnych, ale potencjalnie zagrażających ładowi światowemu, przydatność polityczna, ekonomiczna i wojskowa mocarstw europejskich (z wyjątkiem Wielkiej Brytanii) jest dla USA zerowa, a może wręcz ujemna, gdyż kraje te nieraz usiłują opóźnić działania uważane przez Amerykę za niezbędne, ostatnio np. uderzenie wojskowe na Irak.

Oczywiście, USA nie sprzedadzą Rosji Europy czy Polski. Gra Moskwy jest subtelniejsza. Potrafi ona cierpliwie odbudowywać swoją pozycję, milimetr po milimetrze, krok po kroku. Już ma specjalny status wobec NATO, znalazła się w klubie najbogatszych(!) państw świata G-8, stara się o specjalne traktowanie ze strony UE i chyba je uzyska (kłania się casus Kaliningradu)... Ani się Waszyngton obejrzy, kiedy jego rosyjski przyjaciel zhardzieje i wystawi rachunek za przyjaźń! Tym bardziej, że europejscy politycy w rodzaju obecnego kanclerza Niemiec i prezydenta Francji starają się obezwładnić Amerykanów. Podejrzewam, że Amerykanie, którzy z Sowietami i Rosją znają się nie od dziś, uwzględnili rachunek przyjaźni w swoich kalkulacjach, choć rzecz jasna nie wiem, w jaki sposób chcą Moskwie zapłacić? W Europie czy gdzie indziej?

W tej skrótowo tu zarysowanej – nowej sytuacji, powinniśmy najpierw zadać sobie pytanie o przyszłość naszego bezpieczeństwa państwowego.

NATO znaczy Ameryka

Jeszcze niedawno wydawało się oczywiste, że dwiema potężnymi kotwicami bezpieczeństwa Polski na wiele, wiele lat będą NATO i UE. Satysfakcja rozumnej części polskich elit z przyjęcia Polski do NATO była zatem w pełni zrozumiała. Amerykanie z tej okazji też wiele powiedzieli o historycznym znaczeniu tej chwili. I miała ona znaczenie historyczne! Lecz już i niewiele więcej z niej pozostało. Sami Amerykanie mają teraz poważniejsze sprawy na głowie niż dbanie o małe europejskie państwa. Współdziałanie z Rosją jest im niezbędne dla kontrolowania rozwoju sytuacji na świecie, a głównie dla okiełznania niebezpieczeństwa rozprzestrzenienia broni masowego rażenia, zwłaszcza w krajach niedemokratycznych. NATO powoli staje się instytucją marginalną, zdolną co najwyżej do obrony własnego terytorium, o ile rzecz jasna zdoła politycznie podjąć taką decyzję; a staje się przecież coraz bardziej klubem politycznym, z Rosją jako gościem specjalnym tego klubu. Różnica w poziomie uzbrojenia między NATO a USA jest tak duża, że stawia pod znakiem zapytania możliwość wspólnych operacji militarnych. Dla Waszyngtonu, Europa poza Wlk. Brytanią – zaczyna się jawić jako bardzo kłopotliwy sojusznik: militarnie opóźniona (ale żądająca od USA tarczy wojskowej i nie zwiększająca własnych wydatków na zbrojenia), politycznie oporna (a czasem wroga), gospodarczo konkurencyjna (też nie raz na sposób mało przyjemny). No i chętna do sprzedaży nowoczesnej technologii militarnej Chinom! Co możemy zaproponować Ameryce?

Usługi wywiadu w rejonach, które interesują Waszyngton, a są przez nas nieźle rozpoznane, jak np. Irak (co już raz Amerykanie wykorzystali), czy w ogóle Bliski Wschód. Notabene, polska klasa polityczna w znacznej mierze wywodzi się ze służb specjalnych, co – należy się spodziewać – ułatwi jej zrozumienie problemu. To raz. Następnie, specjalizacja wojskowa w dziedzinie interesującej Amerykanów, tak żeby być wprawdzie małym, ale trudnym do zastąpienia trybikiem w maszynie wojskowej USA. Oczywiście, równolegle powinniśmy konsekwentnie uzbrajać nasze wojsko w dobry sprzęt amerykański (żenująca jest dyskusja o tym, jakie samoloty zakupić, przecież tu chodzi o bezpieczeństwo strategiczne III RP, a nie o handel!), gdyż niezależnie od sojuszy, państwo powinno móc się skutecznie bronić samo przez co najmniej 2-3 miesiące. Wymaga to zwiększenia wydatków na zbrojenia, co nie jest popularne w tzw. elektoracie, ale politycy nie powinni w tej sprawie ulegać magii procentów w sondażach popularności.

Dalej – dobrze by było przekonać Amerykanów do założenia w Polsce rozmaitych instalacji militarnych, może nawet baz wojskowych, raket atomowych itp.? Specjalny status ekonomiczny tych terenów? Połączyć militaria z biznesem? Żeby Amerykanom było tu najtaniej, najatrakcyjniej.

Kiedyś mówiono nie bez racji, że gwarancją bezpieczeństwa dla danego kraju jest obecność w nim koncernów amerykańskich, ich interesy. Do nas jakoś nie chcą się pchać, czego smutnym objawem jest oddanie naszego przemysłu petrochemicznego inicjatywie rosyjskiej. Więc może połączyć biznes z armią?

Niezależnie od rozmaitych pomysłów praktycznych, jedno wydaje się pewne: bez silnych, korzystnych dla Amerykanów więzi III RP z armią USA, z polityką wojskową Waszyngtonu, będziemy jako państwo skazani na humory polityków i ich zazwyczaj wątpliwe koncepcje.

Nasza ewentualna aktywność w grze światowej, musi się jednak opierać nie tylko na sprawności wojskowej, lecz także gospodarczej i politycznej. Kolejne pytanie brzmi: na ile potrafimy zbudować państwo silne, sprawne, o wydajnej i atrakcyjnej dla innych krajów gospodarce? I już choćby z tego powodu, nasze członkostwo w UE jest absolutnym priorytetem, mimo, że nie stanowi dziś, niestety, kotwicy bezpieczeństwa strategicznego.

Cywilizowanie przez wstępowanie

Unia jest nam jednak niezbędna jako impuls i swoisty wymuszacz cywilizacyjnych zmian, głównie w sferze gospodarczej, ale również reguł życia publicznego, prawa, obrotu gospodarczego, obiegu finansów, banków oraz zabezpieczenia przed praniem pieniędzy i uszczelnienia granic. Obecna rządowa oferta pod adresem tzw. szarej strefy, żeby zalegalizować majątki kosztem 7,5% podatku jest w tym kontekście mało czytelna. Czy chodzi o ułatwienia dla przestępców czy o doraźne wpływy do budżetu? Po akcesie do UE, taki mechanizm potencjalnego, gigantycznego prania pieniędzy mógłby stanowić problem. UE broni się, choć z różnym skutkiem w poszczególnych krajach, przed dopuszczaniem do gry gospodarczej pieniędzy mafii i zorganizowanej przestępczości.

To są niewątpliwe plusy z kandydowania do UE. Plusem są także fundusze pomocowe, choć to, oczywiście, skandal, że znaczna część euro-pomocy jest marnotrawiona (rozkradana czy używana na cele partyjne) przez polskich, nomenklaturowych urzędników. Część tych pieniędzy

służy jednak polskim przedsiębiorcom i rolnikom; znikąd indziej by ich nie było. Największym skandalem jest zresztą, że administracja rządowa i samorządowa nie robią niemal nic, żeby ułatwić polskim firmom uzyskiwanie unijnego wsparcia. Pieniądze oferowane przez Unię przepadają bezpowrotnie. Rząd też odpowiada za to, że polski system bankowy żyje głównie z kredytowania deficytu budżetowego, a nie ze współdziałania ekonomicznego z małym i średnim biznesem. Informacja jak mało złożono wniosków o pieniądze z funduszu SAPARD wystawia jak najgorsze świadectwo nie rolnikom, ale bankom rolnym, agencjom rządowym, specjalizującym się w problematyce wiejskiej i samemu rządowi.

Generalnie rzecz biorąc, cywilizowanie przez wstępowanie do UE ma oznaczać, że powstaje państwo silne i uczciwe, o jasnych regułach prawnych i podatkowych, nie próbujące ograć obywatela, w pewnym sensie lepsze od obywatela, a zatem faktycznie mu służące. Nie w sferze politycznych zapewnień, ale w praktyce, co oznacza m.in. fachową administrację i wspieranie przedsiębiorczości.

Nasza pozycja polityczna, znów powtórzę, ale trzeba, warto wbijać to stale do głowy, wynikać będzie ze stanu armii, gospodarki, państwa i kreatywności politycznej. Czy potrafimy wzbić się na poziom ważnego sojusznika USA w budowie demokratycznego i pokojowego ładu światowego, czy zostaniemy biedakiem, żebrzącym o wsparcie w zamian za dawno minione i nikomu już niepotrzebne zasługi w zwalczaniu komunizmu.

Wstydliva twarz Polski

Naprawa państwa polskiego to przedsięwzięcie karkołomne, podobne do prac Herkulesa, jednak trudniejsze ze względu na ogólną niechęć większości elit politycznych do zmian. Pomijając krótki okres po 4 czerwca 1989 r. i utworzeniu nowego rządu z udziałem PZPR i opozycji demokratycznej, kiedy euforia obalenia komunizmu nakazywała myślenie w kategoriach dobra publicznego, partie i ugrupowania polityczne III RP ograniczyły się najczęściej w swoim działaniu do dbania o własne interesy, czasem uwzględniając przy tym interesy części swojego elektoratu. Każdy rząd przedstawiał zapowiedzi zmian i każdy premier kreślił w swoim exposé ważne elementy polskiej racji stanu i myśli państwowej. Żaden ich nie spełnił. Tak naprawdę zmiany w Polsce dokonywały się pod naciskiem zewnętrznym, najpierw przy okazji wstępowania do NATO, obecnie z racji starań o członkostwo UE. Klasycznym

i bardzo wymownym przykładem jest tu sprawa lustracji i dekomunikacji, zakończona całkowitą polityczną porażką, przy jednoczesnym bezkonfliktowym i skutecznym wprowadzeniu natowskich certyfikatów dostępu do tajemnicy państwowej, strzegących III RP przed ludźmi niebezpiecznymi dla jej bezpieczeństwa.

Czy i na ile aspiracje unijne pomogą Polsce wyzwolić się ze standardów słowiańskich na rzecz standardów zachodnich, nie wiem? Nie mitologizujmy też instytucji świata zachodniego, firmowały one nieraz najprzeróżniejsze szalbierstwa. Ale narzuciły też normy postępowania, które ukróciły marnotrawstwo. Z tego punktu widzenia, pouczające mogą być np. skutki kontroli UE w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Jedno jednak nie ulega już wątpliwości: konieczność sprostanienia wymogom UE cywilizuje III RP. Jest to tym cenniejsze, że 'powtórze' polskie elity polityczne w swej większości nie działają na rzecz naprawy państwa polskiego; tkwiąc w swoistym dryfie, ograniczają się do sfery werbalnych deklaracji. W słowach wszyscy politycy są przeciw patologiom i wszyscy są za racjonalnymi reformami. O tym, że są to tylko deklaracje świadczy choćby fatalny stan praworządności (w tym afery w sądach, służbach specjalnych, prokuraturze), dezynwoltura podatkowa państwa (łącznie z podwójnym opodatkowaniem za to samo vide: podatek drogowy i tzw. winiety, czy wycofywanie się z ustalonych już terminów obniżek podatków), przenikanie się struktur mafijnych i państwowych, politycznych. W tym kontekście znowu powtórzę – o szokująco złym stanie państwa świadczy choćby to, że ludziom poważnym przychodzi w ogóle do głowy, aby na rządowe projekty abolicji podatkowej i deklaracji majątkowych, spojrzeć jako na swoistą wyplątę klasy politycznej na rzecz mafii, która za śmieszne 7,5% podatku wypierze kolosalne majątki, pochodzące z działalności przestępczej. To tylko przykłady, ilustrujące ciężką chorobę struktur i mechanizmów całej III RP.

Co i jak naprawić?

Naprzód trzeba naprawić polskie prawo i instytucje powołane do stania na jego straży. To da się zrobić przez ustanowienie odpowiednich praw i powołanie instytucji niezależnych od polityków, wyborów i kadencji, aby strzegły ich przestrzegania, na wzór Trybunału Konstytucyjnego. Prawa te powinny, przede wszystkim, zabronić ciałom politycznym działań, psujących państwo. A do tego mają one jak wiadomo wiel-

ką skłonność. Prawa te mają zatem określić reguły i zasady, których nie wolno łamać ustawodawcy, pod groźbą złamania Konstytucji. Są to głównie zasady i reguły, dotyczące praw i wolności osobistych oraz politycznych obywateli; jak również podatków na nich nakładanych, rzetelności i zaufania w obrocie gospodarczym oraz gwarancji dla wolności słowa i działań obywatelskich.

Politycy nie chcą jednak żadnych ograniczeń dla swego władztwa. Bez polityków w systemie demokratycznym nic zrobić się nie da. A zatem postulat o zasadniczym wręcz znaczeniu, to konieczność namówienia klasy politycznej na reformy państwa. Nie jest bowiem bezpiecznie poszukiwać rozwiązań poza istniejącym ustrojem demokratycznym, choć skala degradacji państwa skłania do propozycji radykalnych, typu Samoobrona. Jednak doświadczenie historyczne poucza nas, że rewolucje nie przynoszą niczego poza cierpieniami i zniszczeniem.

Co może skłaniać polskich polityków do sformułowania na nowo polskiej racji stanu i działania na jej rzecz? Przede wszystkim, poczucie odpowiedzialności za kraj, za przyszłość państwa i narodu. Wbrew pozorom, poczucie i chęć wypełnienia misji historycznej mogą stanowić całkiem silny napęd do działania dla ludzi o wyższej moralności i ideałach. I to, że politycy tacy są w naszej rzeczywistości zdecydowaną mniejszością, nie powinno ludzi rozsądnych zniechęcać. Jeśli byłby plan polityczny dla Polski, interesujący i ważny z punktu widzenia USA, to myślę, że grupa polityczna, która chciałaby do tego planu przysposobić III RP, znalazłaby w swoim działaniu niemałe wsparcie polityczne. Jak zaś pokazuje doświadczenie historyczne, klasa polityczna jako całość charakteryzuje się podobnymi reakcjami jak elektorat: ulega ludziom zdecydowanym i z pomysłami, daje się też przekupić i zdominować.

Wiem, że to mało, może nawet bardzo to i naiwne, ale bez współdziałania polityków, idących w poprzek własnym partiom i wyborcom, w imię dobra Polski, niewiele da się zdziałać. Wierzę, że takich polityków-patriotów wcale nie jest tak mało, jakby się wydawało na pierwszy rzut oka. Dlaczego jednak mają oni iść w poprzek własnym partiom? Ano dlatego, że każda partia obecnie w Polsce jest partią mniej lub bardziej skażoną prywatą, aferami, egoizmem aparatu, złodziejstwem swych działaczy. Każda ma swoje trupy w szafie. I dlatego żadna partia nie będzie wiarygodna, odwołując się do hasła dobra ogólnego, dobra państwa, racji stanu. I niczego te różne partie nie wynegocjują między sobą. Nie chodzi tu o żaden kompromis! Z racją stanu państwa jest jak z prawdą: nie wybiera się jej przez negocjacje, układy i głosowania, ona

po prostu jest, a określają ją czas i okoliczności, rozwój wydarzeń na świecie. Albo potrafimy jako państwo trafnie odczytać znaki czasu, albo zapłacimy – również jako naród, nie tylko jako państwo – wysoki i gorzki rachunek.

Namawiam tych polskich polityków, którym chodzi o coś więcej niż tylko o prywatę, do odwagi myślenia o przyszłości Polski. I im właśnie dedykuję słowa Andrzeja Maksymiliana Fredry przytoczone na wstępie tego tekstu.

* * *

Klasa polityczna, elity, partie polityczne, instytucje polityczne nie powinny zwlekać z określeniem na nowo polskiej racji stanu. Nie jest to zadanie proste, ponieważ wymaga odpowiedzi na trudne pytania. Jak zapewnić Polsce bezpieczeństwo zewnętrzne? Jak naprawić państwo polskie? Jaką powinniśmy przyjąć strategię państwową (polityczną, gospodarczą, wojskową, kulturalną i naukową) na najbliższe 20-30 lat? Na pytania te starałem się częściowo odpowiedzieć w tym tekście. Bez debaty publicznej o racji stanu III RP, bez sformułowania racji stanu i konsensusu wokół tej racji głównych sił politycznych, nasze państwo będzie niczym głuchy i ślepy wśród sprytnych i zapobiegliwych. Na łasce jakiegoś Robin Hooda, jakim był niegdyś Ronald Reagan, jeśli taki się trafi w XXI wieku.

8

DO EUROPY... I NA RENTĘ!

(październik 2003 r.)

Jest oczywiste, że polskie władze powinny bronić interesów naszego państwa w rozmowach z Unią Europejską. Rzecz jednak w tym, żeby dobrze te interesy zdefiniować. Inaczej niczego nie wygramy, a do stracenia – my, a nie Europa! – mamy bardzo dużo.

Czy to się komu podoba, czy nie, Polska nie ma prawie nic do zaferowania Europie. Gospodarka kuleje, państwo znajduje się w przededniu krachu finansów publicznych, bardzo wysokie bezrobocie podminowuje nastroje społeczne. Okazuje się, że politycy i obywatele naszego kraju, potrafili niegdyś brawurowo wywalczyć niepodległość, ale mają dramatyczną niezdolność do jej sensownego zagospodarowania. W tak trudnym położeniu materialnym, w jakim znajduje się społeczeństwo, przy świadomości, że prawica i lewica nie potrafiły w ostatnich latach wprowadzić Polski na ścieżkę szybkiego rozwoju gospodarczego, pokłask u ludzi zyskują hasła populistyczne i partykularne. Dlatego politycznie będą wzrastali Lepper, Giertych, ojciec Rydzyk, przywódcy radykalnych związków zawodowych i im podobni, nawet jeśli sondaże ośrodków badania opinii publicznej jeszcze tego nie wykazują. Sposób myślenia populistów odciśnie się negatywnie na przywódcach partii przewidywalnych, jak SLD, PSL, PO i PiS. Należy się zatem spodziewać, z prawdopodobieństwem granicznym z pewnością, dalszego rozkładu naszego państwa.

Socjotechnika i sens

Obawiam się, zawężając tę kwestię do interesującego mnie w tym tekście wątku europejskiego, że poczucie bezradności, czy wręcz strach

przed ewentualną polską katastrofą pcha większość naszych polityków do działań zastępczych. Gdy nie można nic zrobić realnie, robi się na pokaz. Niestety, wyraża się to głównie w buńczuczności wobec UE. A wszystko po to żeby zarobić parę punktów w notowaniach ośrodków, badających opinię publiczną lub żeby tych punktów nie zarobił przeciwnik, konkurent polityczny.

Ostatnio jednym głosem zabrzmiała nasza klasa polityczna: nie ma i nie będzie zgody na zmianę warunków nicejskich! A jeżeli w imię polskiej racji stanu, w imię przyszłości młodych Polaków, ktoś by spytał: a niby dlaczego nie ma takiej zgody? Czy alternatywą jest nie przystąpienie do UE? To mało prawdopodobne, to prawda. Ale jeżeli alternatywą jest, owszem, wejście do UE, lecz osłabionej, z zablokowanymi dźwigniami rozwoju gospodarczego, do UE, w której czołówka państw najbogatszych będzie sobie radzić m i m o Unii, a reszta wegetować na marginesie? To jaka padnie odpowiedź?

Jest, oczywiście, różnica między taktyką negocjacji, a stanowiskiem, określającym nieprzekraczalne granice. Nikt nie powinien z góry oddawać korzystnych pozycji. Dlatego skoro już się nam tak psim swędem trafiło, że mamy w Radzie Ministrów UE tylko o jeden głos mniej od Francji czy Niemiec, to możemy na prawo i lewo głosić, że nam się to bardzo podoba i nie wyobrażamy sobie życia europejskiego bez tego. Jednak w ciszy gabinetów politycznych, poza opinią publiczną i bez telewizyjnych kamer, trzeba sobie rzetelnie odpowiedzieć na kilka pytań:

- Czy Polska ma szansę rozwoju poza Unią Europejską?
- Czy dla Polski jest korzystny rozwój Europy jako luźnego stowarzyszenia suwerennych państw czy jako organizmu coraz bardziej zintegrowanego ekonomicznie? politycznie? wojskowo?
- Czy Unia Europejska powinna się rozwijać dzięki dynamice, ale i przy dominacji państw najbogatszych (Niemcy, Francja) czy przy większej roli hamulcowych w postaci takich państw jak Polska i innych, jeszcze słabszych ekonomicznie?

Na chłodno

Gdyby ktoś z innej planety popatrzył na Europę, to zapewne by się zdziwił, że kraj o dychawicznej gospodarce, ze zdegenerowaną administracją i społeczeństwem o roszczeniowych postawach, żąda dla siebie miejsca na miarę europejskiej potęgi. Postawa roszczeniowa jest, widać,

zakodowana nie tylko wśród polskich pracowników najemnych, ale i wśród elit politycznych i intelektualnych. Jednak złe rozpoznanie własnych możliwości może prowadzić do fatalnych skutków. Nasze atuty bowiem mają prawie jedynie charakter polityczny i w pewnym sensie są głównie zewnętrzne wobec nas, niejako nam nadane przez potencje obce. Wymieńmy je dla porządku: ścisły sojusz ze Stanami Zjednoczonymi, również wojskowy, zdecydowanie największy potencjał ludnościowy i gospodarczy wśród grupy przystępującej do UE (czyli bez nas operacja znacznego rozszerzenia UE pali na panewce) oraz, wspomniany już, nadmiernie duży głos w europejskim rządzie. Innych zalet nie widzę.

To UE jest szansą dla nas, a nie odwrotnie. W UE możemy uzyskać środki i wiedzę jak naprawić III RP oraz jej gospodarkę. Może tak się stać w dwóch wariantach. Model pierwszy: prehandlowujemy już dziś naszą pozycję polityczną za przyszłe korzyści ekonomiczne. Myślę, że jest to pokusa części polskich elit. Drugi – przedłużamy, nawet za cenę weta, trwanie porozumienia nicejskiego. I przez najbliższe lata negocjujemy w UE równoległe i kształt Konstytucji Europejskiej i budżet UE, pomoc strukturalną i regionalną dla takich zapóźnionych krajów jak Polska. Wydaje się to postępowanie rozsądniejsze i rokujące lepsze rezultaty dla Polski. Przy jednym wszak zastrzeżeniu: Polska musi stać się państwem przygotowanym na przyjęcie, zagospodarowanie, pomocy unijnej. Tego ostatniego nikt za nas samych nie zrobi.

W sprawie Konstytucji Europejskiej i porozumień nicejskich, wbrew atmosferze nerwowości, jaka wprowadzają Niemcy i Francja, nie trzeba wcale się spieszyć. Nicea i tak ma obowiązywać do 2009 r. Jest więc czas na spokojne negocjacje. Oczywiście, UE nie pozwoli sobie na spowolnienie rozwoju gospodarczego, na pewno nie pozwolą na to kraje najwyżej rozwinięte, czyli Niemcy i Francja. Dlatego musimy być gotowi do przyjęcia rozwiązań, które realistycznie wycenią potencjał poszczególnych członków UE. To, co dla nas najważniejsze mamy i tak do zrobienia u siebie w kraju, a nie na konferencjach międzynarodowych. Możemy być pasażerem w ostatnim wagonie europejskiego pociągu, żyjącym resztkami z pańskiego stołu, możemy starać się ulokować, gdzieś w pobliżu I-klasy, ale to zależy od naszej ciężkiej państwowej, obywatelskiej i społecznej – pracy. Przedłużenie Nicei da szansę polskim elitom politycznym na sanację naszego państwa i gospodarki, przy znacznej pomocy finansowej UE. Ale, powiem szczerze, marna jakość tych elit każe sceptycznie zapatrywać się na rezultaty ich przyszłych

działań. Wiadomo doskonale, że Nicea na dłuższą metę nie przetrwa, ponieważ byłoby wbrew rozsądkowi, gdyby lokomotywy gospodarcze Europy dostosowały się do tempa maruderów. Francja i Niemcy muszą zreformować po swojej myśli UE i takim czy innym sposobem dopną swego. Od polskiej klasy politycznej, od ich pracy w kraju! – zależy, czy znajdziemy się w Europie A czy B.

Co robić?

Przez najbliższe kilka lat, za wszelką cenę powinniśmy bronić naszych walorów politycznych uzyskanych w Nicei. Wykorzystywać status europejskiej potęgi oraz siłę wynikającą z więzi sojuszniczych z USA do zapewnienia z wszelkich możliwych źródeł zasilania dla naszej gospodarki. Tylko w ten sposób możemy zbudować trwały fundament pod rzeczywiście silną pozycję Polski w Europie czy nawet zostać tzw. regionalnym liderem. Ale warunkiem powodzenia tego planu jest solidna praca organiczna, od podstaw, w samej III RP.

Gdyby się miało okazać, że nie potrafimy zbudować sensownego państwa prawa, również w dziedzinie obrotu gospodarczego, nie potrafimy zrationalizować finansów publicznych, ani stworzyć warunków do rozwoju przedsiębiorczości, to lepiej od razu ustawmy się na pozycjach rencisty Europy, marząc po cichu, że kiedyś zostaniemy rentierem. I wówczas najsensowniej jest oddać Niceę, niech bogaci i mądrzy myślą za nas. Przecież, jeśli Europa przestanie się rozwijać, najpierw odbije się to na takich biedakach jak my. Bogaci na pewno wiedzą lepiej jak nie dopuścić do kryzysu. Mówię to bez ironii. Ba, jestem właściwie pewien, że znajdziemy się w takiej sytuacji, ponieważ nic nie wskazuje na to, że Polacy dadzą sobie radę z własnym zdegenerowanym państwem. A to osłabiające wymowę poprzedniego zdania słówko „właściwie” wstawiam jedynie ze względu na wrodzoną niechęć do ponuractwa.

Kto, jaka partia czy grupa polityczna, odważy się krzyczeć nie tylko przeciw projektowi Konstytucji Europejskiej, bo to każdy głupi potrafi, ale i krzyczeć za bolesnymi reformami III RP? Krzyczeć przeciw roszczeniowym związkom zawodowym? Przeciw powiązaną z mafią własną nomenklaturą? Przeciw własnej chęci zawiadywania każdą złotówką w tym kraju i kontrolowania każdego obywatela? Przeciw samowładnym służbom specjalnym, które są w ogóle dobre, a złe tylko, gdy nie nam podlegają? Przeciw skorumpowanym, skoncentrowanym w paru

koncernach i dyspozycyjnym mass-mediom? Że to nie jest cała prawda o Polsce? No, nie jest. Są uczciwi politycy i są uczciwi dziennikarze. Ale to nie zmienia faktu, że w tendencji i tonacji ogólnej jest bardzo źle. Zatem pytanie, kto będzie przeciw temu protestował, krzyczał i działał jest bardzo na czasie. I jeszcze zrobi to z głową i skutecznie.

No kto?

9

DO PIACHU

(marzec 2004 r.)

Czy plan Hausnera jest lepszy od przedterminowych wyborów? I czy szybka zmiana rządu oznaczałaby destabilizację państwa przed wejściem Polski do UE 1 maja? Pozytywnie na te pytania odpowiada wielu komentatorów i wielu polityków. Premier Miller, za przykładem Władysława Gomułki, pohukiwał podczas obrad rządu pod koniec lutego, że ze stanowiska ustąpić nie zamierza (władzy raz zdobytej, nie oddamy deklarował niegdyś tow. Wiesław). Publicznie zaś, co i raz, powtarza buńczucznie: jak ktoś mówi o zmianie rządu, niech przestanie mówić, a zrobi to. Premier świetnie wie, że w obecnej sytuacji w parlamencie, SLD nie zaryzykuje zmiany gabinetu. Stąd wysnuwany jest wniosek, że kwestię wcześniejszych wyborów i sprawę zmiany rządu należy odłożyć na po 1 maja, gdyż wówczas będziemy już w UE z planem Hausnera pod pachą. Prezydent Kwaśniewski przesunął teraz tę granicę, aż do wyborów do Parlamentu Europejskiego 13 czerwca br. Tak ponoć będzie bezpieczniej dla naszego państwa. Czy rzeczywiście?

Słabości naszego państwa i naszej gospodarki są powszechnie znane i po wielokroć opisane. W tym sensie, nie budzą one sporów ani emocji. Za to środki naprawy, proponowana terapia, rozpalają dyskutantów, głównie polityków, do czerwoności. Nie wnikając w te polemiki, ograniczę się do jednej tylko uwagi: bez pieniędzy z Unii Europejskiej niewiele da się w Polsce zrobić. Aby jednak takie środki uzyskać, rząd musi radykalnie zmienić sposób myślenia i działania.

Nie chcę jednak powtarzać rzeczy ogólnie znanych, choć prawdą jest, że politycy rządzący uparcie tkwią w swoich błędach, torując Lepperowi drogę do władzy. Bardziej mnie interesuje, co stanie się z naszą unijno-europejską szansą? Pojawia się bowiem coraz więcej niepokoja-

cych sygnałów, świadczących o karygodnych zaniedbaniach naszego państwa na niecałe dwa miesiące przed przystąpieniem do UE.

Pani minister tańczy

Może to zdziwi panią minister Danutę Huebner, zajętą teraz wchodzeniem w fascynującą rolę asystenta komisarza UE, ale to ona jest konstytucyjnie, obok pana premiera, odpowiedzialna za przygotowanie Polski do unijnego akcesu. Odpowiedzialność ta, to trochę coś innego niż przyjmowanie nagród od rozmaitych kolorowych pism, a nawet i od gazet i organizacji poważniejszych. Ale cóż, trudno oprzeć się urokowi kobiety i Europejki w jednym. Przygotowanie naszego państwa wygląda zaś z grubsza następująco.

Nie mamy określonych celów i kierunków rozwojowych, w których finansowaniu mogłaby uczestniczyć Unia Europejska. Jeżeli w latach 2007-2013 do Polski może trafić 60-80 miliardów euro w ramach tzw. unijnej polityki spójności, to wymagać one będą z naszej strony olbrzymich środków na współfinansowanie. Przy ogólnym braku pieniędzy w budżecie rządowym i w kasach samorządowych oznacza to praktycznie zamrożenie wszelkich inwestycji, nie mieszczących się w projektach europejskich. Ale nikt nie myśli o tym, jak problemy najistotniejsze dla rozwoju Polski przełożyć na język tych europejskich projektów. Warszawa razem z Brukselą mogą więc w najbliższych latach finansować nie rozwój naszego kraju lecz projekty przypadkowe i marginalne, przyczyniając się de facto do stagnacji kraju mimo napływu dużych pieniędzy. W tej sprawie, o kapitalnym przecież znaczeniu, niczym w krzywym zwierciadle odbija się marność polskiej klasy politycznej, brak myślenia strategicznego. Za dojrutkostwo i partyjniactwo w działaniach rządu i państwa odpowiada, oczywiście, grupa sprawująca władzę. To władza państwowa ma przecież obowiązek i możliwości materialno-organizacyjne do kształtowania i prowadzenia polityki długofalowej, strategicznej. Na temat wykorzystania środków unijnych nie odbyła się poważna debata publiczna, ani choćby parlamentarna czy rządowa.

Jeżeli tak się dzieje w sprawie kluczowej, nie dziw, że i w sprawach doraźnych jesteśmy daleko w lesie. Być może, zdążymy z uruchomieniem systemu dopłat dla rolników; notabene, jest on najbardziej prymitywny i blokujący korzystne przemiany w rolnictwie, jaki tylko można sobie wyobrazić. Na pewno jednak nie zdążymy z załatwieniem wielu kwestii bardzo ważnych dla obywateli. Na przykład polskie firmy,

handlujące z zagranicą, nie dostaną zwrotu podatku VAT, ponieważ dla jego uzyskania po 1 maja wymagany będzie europejski numer NIP. Jak doniosła Rzeczpospolita z 12 marca br.: Na razie, nie ma go nikt. Nie weszła w życie ustawa i przepisy wykonawcze, nie działa system komputerowy ani mechanizm wymiany danych z pozostałymi państwami Unii. Obecnie brakuje w sumie kilkuset aktów prawnych, co oznacza, że polskie firmy natrafią na duże przeszkody lub staną na krawędzi bankructwa. Nie wiem, na czym modelowo ma polegać odpowiedzialność ministra czy innego wysokiego urzędnika państwowego, ale na pewno minister do spraw integracji europejskiej odpowiada za stan polskiego prawa w chwili wejścia do UE. Już same te zaniedbania, skutkujące dużymi stratami finansowymi naszych firm, są bardzo poważnym oskarżeniem wobec polskiego rządu.

Mechanizm jest zawsze bardzo podobny. Zaniedbana, wadliwa lub opóźniona, ustawa, brak aktów wykonawczych, nie przygotowanie systemów organizacyjnych, brak wyposażenia w odpowiedni sprzęt, brak wykwalifikowanych urzędników. Za wszystkie te braki odpowiada rozróżniona ponad wszelką rozsądną miarę administracja rządowo-samorządowo- państwowa. Super rząd z kilkuset etatami w kancelarii prezydenta RP, super rząd z kilkuset etatami w kancelarii premiera RP, wielkie ministerstwa, urzędy państwowe i samorządowe setki tysięcy zatrudnionych pracowników. To jest właśnie ta administracja, która nie przygotowała Polski do wejścia do UE. I to za jej fatalną pracę odpowiada pan premier ze swoimi ministrami. Powtórzę jednak, wszystko zaczyna się od głowy, czyli od jakości myślenia strategicznego. Brak tego myślenia w kierownictwie państwa jest główną przyczyną naszych europejskich kłopotów. Nie wiemy, jako państwo, w jakich obszarach, w jaki sposób, przy użyciu jakich mechanizmów i instrumentów, chcemy wziąć udział w europejskim wyścigu rozwoju i innowacji, jak chcemy sobie poradzić w warunkach ostrej konkurencji? Ba, nawet proste pytania nie doczekały się rządowej odpowiedzi. Przykładowo, nie wiemy, w jakich dziedzinach badań naukowych możemy i chcemy być konkurencyjni w Europie.

Trybunał czeka

Zaraz po 1 maja okaże się, że poszły w górę ceny rozmaitych towarów (np. ryżu czy bananów kilkakrotnie), że nasi przedsiębiorcy są w gorszej sytuacji niż przed wstąpieniem Polski do UE, że trzeba będzie zamykać mleczarnie i zakłady mięsne, że dyplomy naszych fachowców

nie będą uznawane na Zachodzie, że nie jesteśmy przygotowani na pomoc strukturalną i regionalną, że musimy ograniczyć pomoc publiczną (niewidomi, bezdomni), że nie mamy pomysłów ani możliwości skorzystania z pieniędzy Brukseli. W tej atmosferze do Parlamentu Europejskiego na pewno zostaną wybrani już nie eurosceptycy, ale wręcz zdeklarowani przeciwnicy naszego członkostwa w UE. Główny oręż do ręki da im polityka rządu, który za swoją historyczną zasługę poczytuje wprowadzenie Polski do UE. Jeżeli pani minister Huebner myśli w kategoriach obywatelskich, to powinna albo zakasać rękawy i brać się ostro do roboty, albo złożyć dymisję i modlić się, żeby nowy parlament nie postawił jej przed Trybunałem Stanu. W każdym razie, nie powinna obejmować funkcji komisarza UE, gdyż w ten sposób przyczyni się do powstania kolejnej szkody dla państwa polskiego. Nie można przecież wykluczyć, że w nowej kadencji parlamentu, pani minister-komisarz Huebner zostanie oskarżona i skazana. To poważnie naraziłoby na szwank nasze interesy w UE. Oczywiście, premier Miller i minister Huebner mogą oczekiwać, że odpowiedzialność konstytucyjna członków rządu nadal będzie martwą literą prawa. Gdyby jednak w Polsce prawo obwijało, to stan przygotowania, a właściwie totalnego nie przygotowania, naszego państwa do wstąpienia do UE w pełni uzasadnia postawienie pana premiera i pani minister ds. integracji europejskiej przed Trybunałem Stanu.

Członkowie tego rządu uplątani są w rozmaite afery, nieraz czysto kryminalne. Trwają jednak przy władzy, gdyż układ polityczny w państwie jest sparaliżowany. To słusznie oburza obywatele. Myślę jednak, że w perspektywie najbliższych lat kilkunastu, najcięższym właściwie śmiertelnie groźnym dla obywateli i niewybaczalnym dla polityków grzechem SLD i obecnego kierownictwa państwowego z premierem Millerem i prezydentem Kwaśniewskim wobec III RP i polskiej racji stanu, jest właśnie karygodne nie przygotowanie naszego państwa do członkostwa w UE. Kurz afer kiedyś wreszcie opadnie, nasze zacofanie zostanie. Rząd, który przez swoje zaniedbania funduje nam status Grecji, jednocześnie pokrzykując tromtadracko, że jesteśmy mocarstwem europejskim z nicejskiego nadania, budzi tylko pogardę i zgrozę.

Sądzę, że nie ma innej drogi niż przedterminowe wybory, siłą rzeczy choć już nie da rady w tym samym terminie – połączone programowo i politycznie z kampanią do Parlamentu Europejskiego. Narodowy Plan Rozwoju, który będzie podstawą wsparcia Polski przez fundusze UE w latach 2007-2013 musi powstać do połowy 2005 r. Sensowny plan

mogą stworzyć rząd i partie, które myślą o państwie a nie o własnym przetrwaniu. Przypominam, gra idzie o 60-80 miliardów euro, po 10-13 miliardów rocznie. To więcej niż niegdysiejszy Plan Marshalla, który pozwolił Niemcom stanąć na nogi. Łącznie ze środkami z funduszy strukturalnych możemy uzyskać z UE finansowanie na poziomie czterech procent naszego Produktu Krajowego Brutto! Do zwycięskiej batalii o takie pieniądze potrzeba nam władzy z głową do myślenia i z sercem do RP. Budżet III RP, plany rozwojowe, kształt organizacyjny i kadry ministerstw i instytucji państwowych muszą być dostosowane do jak najefektywniejszego pozyskiwania pieniędzy z Brukseli. Na pewno, nie zrobi tego słabiutki rząd czy partia, myśląca jak uratować się przed wyrzuceniem za burtę w najbliższych wyborach. Nie zrobi też tego prezydent, gdyż ograniczone są nie tylko jego możliwości, ale i horyzonty myślowe. Większość polityków, podobnie jak prezydent, ogranicza swoją aktywność umysłową do formułowania haseł propagandowych. To dobre na wiec, ale w ogóle nieprzydatne w Brukseli.

10

SZCZĄTKI PO EUROPIE

(czerwiec 2004 r.)

Gdy tuż po 22 wieczorem w niedzielę ogłoszono wstępne wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego, odwiedziłem kilka komitetów partyjnych w Warszawie. Najczęściej byłem świadkiem dyskusji o tym, jakie prognozy i wnioski wynikają z wyborów brukselskich dla najbliższych, przedterminowych, wyborów do parlamentu krajowego?

Sę w tym, że nie jest wcale pewne, czy dojdzie do wcześniejszych wyborów, ponieważ partia Marka Borowskiego, Socjaldemokracja Polska (SdPl) balansująca na granicy prognozy wyborczego – musi teraz zdecydować: albo próbować nadal różnić się od SLD i polec politycznie, albo przetrwać za cenę sojuszu z tymi, z którymi już ponoć nie mogli wytrzymać w jednej partii (SLD). I to niezależnie od tego, czy ostatecznie wślizgnie się do Parlamentu Europejskiego, czy nie. Osobiście sądzę, że Borowski poprze rząd Belki. Nacisk zaniepokojonych politycznym niebytem działaczy i zaplecza oraz nacisk pana prezydenta zrobią swoje. Ale mogę się, przecież, mylić. Są to zatem dywagacje o ruchomych piaskach. Dlatego z wniosków tuż powyborczych najbardziej przypadło mi do gustu stwierdzenie, odnoszące się do sprawiedliwości w polityce, a nie do nieprzewidywalnych fluktuacji koalicyjnych.

Wolontariuszka z Unii Polityki Realnej, pani Ania, wyraźnie wzburzona fatalnym rezultatem swojej partii (niecałe 2% głosów), dowodziła, że Platforma Obywatelska ukradła UPR-owi najważniejsze punkty programu: uproszczenie i obniżenie podatków oraz postulat podatku liniowego. Powinni nam za to oddać co najmniej połowę swoich głosów!

Anegdota, ale właściwie, dlaczego nie? Niechby wyborcy sobie głosowali, a później partie przy zielonym stoliku wymieniały się głosami w zależności od wkładu programowego poszczególnych ugrupowań.

Taki system ustalania wyników nie byłby bardziej skomplikowany i mniej przejrzysty od ordynacji wyborczej do Parlamentu Europejskiego, a o ileż sprawiedliwszy! Jeśli bowiem mówimy o minionych wyborach europejskich, to przede wszystkim musimy powiedzieć o tym, co ważnego dla ogółu obywateli zmarnowano z winy części klasy politycznej.

Nikomu nie zależało

Prezydent, ani rząd nie pofatygowali się, żeby rzeczowo i przystępnie objaśnić Polakom, dlaczego Parlament Europejski będzie w najbliższych latach tak ważny dla interesów naszego państwa (m.in. zatwierdzanie unijnego budżetu i stanowienie praw istotnych dla poszczególnych branż gospodarczych!)? Ograniczano się do argumentacji typu, że nie wolno w Strassbourgu przynieść Polsce wstydu! Do tego poziomu dostosowała się większość opozycji, z niewiedzy lub z niechęci do UE, a najczęściej z jednego i drugiego. Wbrew zapowiedziom i obietnicom prezydenta Kwaśniewskiego i premiera Millera sprzed półtora roku, nie połączono wyborów europejskich z krajowymi, ba, odwołując dymisję Millera, żeby mógł on sobie wciągnąć polską flagę na unijny maszt, doprowadzono do podwójnie skandalicznej sytuacji.

Po pierwsze, przytłoczono sprawy europejskie parlamentarnym maglem krajowym, po drugie zrobiono to tak, że alternatywą dla trwania rządu bez jakiegokolwiek poparcia społecznego są wybory w dniu 8 sierpnia, czyli w szczycie urlopowym – o frekwencji zapewne zbliżonej do tej w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Nota bene, ich termin ustalono na jeden, ostatni dzień 4-dniowego weekendu, jakby wyborcom na złość! Wszystko to dowodnie wskazuje, że wszelkie przemowy pana prezydenta o racji stanu, dobru państwa i o myśleniu obywatelskim, to jedynie polityczny pic na wodę, fotomontaż, jak mawiano w dawnej Warszawie. Liczy się tylko interes polityczny (i nie tylko polityczny, także ten najbardziej przyziemny, materialny) własnej formacji politycznej i własnej grupy interesu. Zresztą, otoczenie pana prezydenta, składające się ze współpracowników PRL-owskich służb specjalnych oraz ludzi skazanych za sprzedaż narkotyków, nielegalne posiadanie broni i posługiwanie się fałszywym paszportem, nie pozostawia, niestety, złudzeń, co do jakości tego ośrodka państwowego.

Koalicja rządowa i prezydent mają również na swoim sumieniu politycznym pod warunkiem, że mają sumienie – kuriozalną ordynację

wyborczą do Parlamentu Europejskiego. O ile w wyborach krajowych, obowiązująca ordynacja dowartościowuje ugrupowania, które uzyskają najwięcej głosów, to w wyborach europejskich – nasz głos nie tylko może przepaść na rzecz innego kandydata z tej samej listy wyborczej, ale też przewędrować do innego okręgu wyborczego. Jeśli zatem zagłosowałem np. na Bronisława Geremka w Warszawie, to mój głos może się złożyć na mandat Pipsztyńskiego z Samoobrony w Olsztynie... Tego nie da się ogarnąć ludzkim rozumem.

Jeśli zatem prezydent Kwaśniewski stwierdza, że niska frekwencja jest świadectwem niedojrzałości obywatelskiej, to biję mu brawo za szczerą i bezkompromisową samokrytykę.

Nasza kurna chata

Wśród nowo wybranych posłów do Parlamentu Europejskiego przeważają ludzie z ugrupowań antyeuropejskich lub eurosceptycznych. Rzecz w tym, że w najbliższych latach los Polski będzie w znacznym stopniu zależał od zdobycia i wykorzystania unijnych pieniędzy. To wymaga strategicznego myślenia naszych polityków, zwłaszcza tych rządzących. Niezbędny jest tu precyzyjny plan rządowy. Taki plan wymaga też uporczywych, żmudnych i skutecznych działań wszystkich polskich polityków i urzędników, których obszarem działania będą instytucje europejskie. Obawiam się, że partie nastawione wrogo do UE będą raczej powodować izolację Polski niż skutecznie lobbować na rzecz jej interesów. Charakterystyczne, że niektóre partie nie chcą wstąpić do istniejących w PE grup parlamentarnych, co oznacza de facto całkowitą marginalizację tych polskich euro deputowanych.

Sukces postaw antyeuropejskich w tych wyborach na pewno też zachęci wielu polskich polityków do grania w przyszłości taką właśnie kartą, co w istocie będzie spychać III RP na peryferie Europy. Jeśli powstanie Europa dwóch prędkości, to nie wykluczałbym sytuacji, że znajdziemy się na jej obrzeżach na własne życzenie, a nie dlatego, że wypchnęły nas tam Francja i Niemcy.

Prowincjonalizmowi polskiej polityki sprzyjać będzie brak stabilnego układu politycznego. Napisałem na wstępie o ruchomych piaskach, jakimi są wróżby co do wyborów krajowych na podstawie wyników wyborów do Parlamentu Europejskiego. Nie chciałbym się wdawać w te wróżby. Jedno jednak wydaje się pewne. Ani lewica, ani prawica nie jest w stanie stworzyć stabilnego rządu. O wszystkim zdecyduje arytmety-

ka parlamentarna. 5 mandatów w tą lub tamtą, czy będzie rząd centrolewicowy czy centroprawicowy, czy może jeszcze całkiem egzotyczny z Samoobroną i LPR-em (antyeuropejski)? To zaś oznacza, że w najbliższych latach czekają nas raz za razem przedterminowe wybory parlamentarne. Takie czkawki polityczne mogą, gdyby do nich rzeczywiście doszło, ograniczyć horyzont naszej polityki do własnego podwórka. Wizja polityczna, w której III RP uzyskuje znaczne przyspieszenie cywilizacyjne dzięki umiejętnemu wykorzystaniu członkostwa w Unii Europejskiej i sojuszowi ze Stanami Zjednoczonymi, staje się pobożnym życzeniem grupki fantastów.

Wygląda zatem na to, że niezależnie od tego jak się ostatecznie rozłożą wyborcze procenty i kto ile mandatów zdobędzie, Polska przegrała swoje pierwsze wybory do Parlamentu Europejskiego.

11

NIEBEZPIECZNA ZMIANA

(lipiec 2004 r.)

Upadek premiera Leszka Millera i powstanie rządu Marka Belki zamknęło pewien etap w polityce lewicowego obozu władzy. I nie chodzi mi tu o żadne tzw. afery czy inne przekręty. Od tej strony patrząc, nie spodziewam się zmian. Jednak istotne zmiany na pewno się szykują, a moim zdaniem, nawet już zachodzą.

Sądzę, że najważniejszą jest porażka tendencji proamerykańskiej. Koalicja Polski z USA w wojnie przeciw terroryzmowi, udział naszych żołnierzy w wyprawie wojskowej na Irak, zakup samolotów F16, to była kulminacja tej tendencji. Obejmowała ona wówczas rząd, prezydenta i większość opozycji. Jednak powszechna polityczna miłość do Waszyngtonu nie przyniosła III RP widocznych korzyści. Amerykanom zabrakło wyobraźni, żeby wspomóc nas bezpośrednio lub przez Wielką Brytanię w bojach o mocną pozycję w Unii Europejskiej. Poskąpili też pieniądze na pobudzenie naszej gospodarki, choć mogli to spokojnie zrobić w ramach tzw. offsetu przy F16. Ba, nawet nie byli w stanie wykonać nic ich przecież de facto nie kosztującego gestu symbolicznego w postaci zniesienia wiz.

Odnoszę wrażenie, że Waszyngton tak się uwikłał w militarną próbę poskromienia terroryzmu, że nie ma czasu ani pomysłu na politykę globalną, w tym europejską. Szkoda, że rząd ani prezydent nie wystąpili z inicjatywami politycznymi, które pomogłyby Amerykanom w sensownym myśleniu o Europie i o Polsce. Wprawdzie stanie przy boku USA na pewno jest nadal polską racją stanu, jednak mamy przecież też rozliczne swoje interesy, niekoniecznie takie same, jak Amerykanie. Było i jest grzechem niewykorzystywanie przez polskie władze tego, że Waszyngtonowi od paru lat bardzo zależy na umiędzynarodawianiu swoich przedsięwzięć.

Wierni i bierni

Bierność polskich władz w formułowaniu planów, propozycji politycznych wobec prezydenta Busha wypływa zapewne z dwóch przyczyn: braku suwerenności i z niechęci. Znacząca część lewicowego układu kierowniczego w państwie z Millerem, Oleksym i Kwaśniewskim na czele była niegdyś, jeszcze w czasach PRL-u, ale i później, ściśle związana z Moskwą i służbami specjalnymi ZSRR i Rosji. Jakie były dalsze losy tych ludzi i wielu innych działaczy SdRP i SLD w momencie, gdy III RP wstępując do NATO przeszła z rosyjskiej w amerykańską strefę wpływów, nie wiem. Z tego, co było widać gołym okiem, Leszek Miller stał się bardzo lojalnym współpracownikiem Amerykanów. Wystarczy tu przypomnieć jego rolę w utorowaniu drogi do Polski pułkownikowi Kuklińskiemu. Prawdopodobnie, gdyby nie ta wołta Millera, Jerzy Urban przymknąłby oczy na niejednego przekręt tego rządu. A tak ten miłośnik lewicy, stanu wojennego i generała Jaruzelskiego (ewidentnego przecież i do końca agenta sowieckiego), stał się głównym medialnym pogromcą rządu tejże lewicy, którego premier był funkcjonariuszem PRL-u.

Wobec Amerykanów Miller mógł być tylko wierny i bierny. Do czasu naszego wstąpienia do NATO i do UE, taka bierność grup rządzących w Polsce, była dla naszego kraju błogosławieństwem. Każdy przejaw suwerenności, a nie daj Bóg jakiś nowatorski pomysł polityczny, groził zatrzaśnięciem przed nami drzwi do instytucji zachodnich. Obecnie jednak, wierny i bierny, daje mierny efekt dla interesu państwowego. Dalsza dominacja w polskiej polityce grup nie suwerennych można przynieść nam złe skutki.

Wczoraj Moskwa, dziś Paryż

Oczywiście, także politycy związani niegdyś z Moskwą, a dziś nie wiadomo z kim, również nie są suwerenni, przy czym zagrożenie dla interesu państwowego stanowią jeszcze większe niż potulni przyjaciele Waszyngtonu. Do tej grupy można zaliczyć część lewicy, która staje się orędownikiem podporządkowania Polski Brukseli; główną postacią jest tu prezydent Kwaśniewski. Notabene, radykalny zwrot od Nicea albo śmierć Rokity przyjęte za swoje przez Millera do podpisania bez szermowania Traktatu Konstytucyjnego przez Belkę, najlepiej pokazuje istotę zmiany władzy w obozie lewicy. Zauważalne przez ostatnie miesiące

ostrożne dystansowanie się Kwaśniewskiego od Busha (np. tzw. przejęzyczenie się o wprowadzeniu przez Amerykanów Polski w błąd, jeśli chodzi o broń masowego rażenia Saddama Husajna), znalazło swoje europejskie potwierdzenie. Kwaśniewski najwyraźniej postawił na bezpośrednie dogadywanie się z Berlinem i Paryżem. Sugerowane przez premiera Belkę, jeszcze przed uzyskaniem wotum zaufania w Sejmie, jego ścisłe związki z Waszyngtonem mogą okazać się zwykłą zasłoną dymną.

Obóz władzy najwyraźniej zmienia orientację z proamerykańskiej na proeuropejską. Na pozór to logiczne postępowanie, gdy sami Amerykanie lekceważą dotychczasowe polskie karesy. Rzecz jednak w tym, że polityka Berlina i Paryża, a ona stanowi istotę tzw. orientacji proeuropejskiej, jest silnie sprzęgnięta z polityką Putina. Nie ulega już wątpliwości, że konsekwentnie realizowanym celem prezydenta Rosji jest odbudowa jej imperialnej pozycji. W skali globalnej będzie to bardzo trudne, w skali europejskiej o wiele łatwiejsze. Spiowem przyjaźni moskiewsko-parysko-berlińskiej jest przecież niechęć do hegemonii USA. Kwaśniewski i jego obóz są albo bardzo naiwni, sądząc, że staną się atrakcyjniejsi od Putina dla Niemiec i Francji, albo w istocie godzą się z dominacją rosyjską, tyle, że idącą via główne europejskie stolicy. Zresztą, niezależnie od intencji, rezultatem będzie marginalizacja Polski. Chciałbym zobaczyć miny polskich polityków, gdy przekonają się komu przypadną pieniądze w europejskim budżecie na lata 2006-2013. Wtedy się okaże, kto miał rację: czy ci, którzy mówili, że w UE trzeba walczyć o swoje, czy ci, którzy mówili bądźmy grzeczni, to nas pogładzą po główce. Mogę się założyć, że grzeczni znowu obudzą się z ręką w nocniku.

Czy najbliższe wybory parlamentarne i ewentualna wygrana prawicy mogą zmienić tę sytuację?

Wątpli, ale nadzieja

Na prawicy są w tej chwili trzy znaczące ugrupowania: Platforma Obywatelska, Liga Polskich Rodzin, Prawo i Sprawiedliwość. LPR od początku nie krył swoich sympatii prorosyjskich i antyeuropejskich. Silny związek tej partii z Radiem Maryja i ojcem Rydzykiem potwierdzał jej tradycyjny endecki pro-moskiewski kierunek. Jakiś czas temu Roman Giertych ogłosił zerwanie z taką orientacją. Na ile szczerze, a na ile taktycznie po tym, jak Polacy przegłosowali w referendum chęć

należenia do Unii Europejskiej, trudno dziś stwierdzić. Osobiście byłbym ostrożny, ponieważ takie nawrócenia z dnia na dzień są, oczywiście, możliwe, ale wymagają potwierdzeń w praktyce politycznej. Na pewno jednak wobec Amerykanów, byłby LPR, gdyby nagle przybrał orientację proamerykańską, w podobnej sytuacji jak wcześniej Miller: wierny i bierny. Czyli bez pomysłu jak życiowo potrzebny III RP sojusz z USA przekształcić z fasadowego w formie i martwego w treści w żywy i korzystny dla naszego państwa. Nadzieja w PiS-ie i w PO (no, chyba, że tam nastąpiłaby reaktywacja Olechowskiego w miejsce Rokity).

Obie te partie różnią się pod wieloma względami. Mają inne podejście do zmian w Konstytucji (polskiej), do ordynacji wyborczej, do gospodarki, do rozwiązywania problemów społecznych. Ale mają jedną cechę wspólną. Liderzy tych partii formułują wprost postulat utworzenia kierownictwa państwowego III RP, które będzie miało wolę, chęć i siłę do generalnej przebudowy polityki polskiej i polskiego państwa. Co do spraw wewnętrznych, czyje koncepcje będą miały większą siłę przebicia, zdecyduje wyborca, przydzielając więcej głosów albo PO albo PiS. Na szczęście, w sprawach zagranicznych te partie są zbliżone do siebie: kurs proamerykański, twardo w Brukseli, czujnie z Moskwą... Czy mają jednak pomysł, jak zachęcić Amerykanów, żeby chcieli odwzajemnić politycznie naszą miłość? I czy Amerykanie rozumieją, że model polityki wasalnej właśnie się na naszych oczach wyczerpał?

Z politykami, którzy myślą w kategoriach własnego państwa trudniej się nieraz rozmawia. Jednak politycy suwerenni są na dłuższą metę lepszymi partnerami. Sojusz ma wtedy żywą treść, zaspokaja wiele ważnych interesów z obu stron i dlatego nie jest łatwo go odwrócić. No, ale to już zadanie dla nowego, prawicowego obozu władzy: przekonać Amerykanów, że byłoby lepiej, gdyby Polska odzyskała kurs proatlantycki. Bez pomocy Waszyngtonu jednak może się to okazać zadaniem w praktyce niewykonalnym. Choćby dlatego, że zbyt dużo obcych interesów jest zaangażowanych w politykę polską.

12

PLAN KORZYŚCI

(wrzesień 2004 r.)

Skoro politycy polscy coraz głośniejszą mową mówią o wycofaniu naszych żołnierzy z Iraku, warto przypomnieć, co chcieliśmy jako państwo uzyskać, decydując się kiedyś na bezwarunkowe wejście do antysaddamskiej koalicji:

- wiarygodność sojuszniczą wobec USA; to ważne ze względu na strategiczne bezpieczeństwo Polski;
- modernizację armii polskiej na koszt Amerykanów i przy udziale ich technologii, logistyki, wiedzy wojskowej;
- inwestycje amerykańskie w naszą gospodarkę, nie tylko w jej sektor wojskowy;
- wzmocnienie pozycji politycznej Polski w strukturach europejskich; dzięki bezpośrednim wpływom amerykańskim, ale i dzięki współdziałaniu z najbliższym sojusznikiem Waszyngtonu Wielką Brytanią.

Wiarygodność potwierdziliśmy, choć nasze bataliony wypełniają w Iraku głównie funkcje pomocnicze, co najwyżej porządkowo-policyjne. Uzyskaliśmy też częściowo środki na modernizację armii. Jednak w dwóch zasadniczych kwestiach, czyli pomocy gospodarczej i politycznej, Waszyngton pozostaje naszym dłużnikiem. Niektórzy eksperci twierdzą, że przyczyną tego jest nieumiejętność konkretnego określenia przez rząd polski, czego właściwie oczekujemy od USA. To może być nie więcej niż kilka spraw. Sprecyzowanych i dobrze uzasadnionych. Kierownictwo państwa powinno zatem podjąć decyzję, co chcemy uzyskać od Waszyngtonu. Inwestycje w petrochemię? W budownictwo drogowe? Nowoczesne technologie? Coś innego? Co?

Po określeniu takiego „planu korzyści państwowych”, można przystąpić do działań politycznych i dyplomatycznych. W tym również do

kwestii związanych z opuszczeniem przez polskie wojsko Iraku. Niezależnie bowiem od intencji osób, które niegdyś podejmowały lub popierały decyzję o naszym militarnym zaangażowaniu w akcję USA i niezależnie od przesłanek, jakimi się wówczas one kierowały, warto zadbać, aby III RP odniosła w tej sprawie namacalne korzyść. Amerykanie nie mają powodu wymyślać za nas, o co nam chodzi. Jak do tej pory nie potrafiliśmy konsekwentnie i przy każdej okazji upominać się o ten sam „katalog oczekiwań”, niezbyt duży, ale atrakcyjny dla naszego państwa i możliwy do spełnienia bez długotrwałej i politycznie drażliwej procedury, jak np. sprawa zniesienia wiz. Najpewniej dlatego, że MSZ, rząd i prezydent nie zdołali takiego wspólnego katalogu ustalić. Gdy już jednak opuścimy Bagdad, nikt nie zwróci uwagi na nasze oczekiwania, choćby najbardziej zasłużone i sprawiedliwe. Dlatego częścią integralną planu politycznego opuszczenia Iraku przez nasze wojska powinien być realistyczny, ale ambitny plan korzyści uzyskanych przez III RP dzięki udziałowi w tej wojskowej operacji USA.

Przy okazji, możemy się przekonać, czy obecne kierownictwo państwa, rządu i polityki zagranicznej jest w stanie przeprowadzić najpierw pracę umysłową, a następnie – podjąć działania praktyczne dla realizacji wysnutych w trakcie tej pracy wniosków. I zmusić do takich działań podległe sobie instytucje i służby.

13

W JAKĄ STRONĘ ZWROT?

(wrzesień 2004 r.)

Gdy prezydent Kwaśniewski spotykał się w Paryżu z prezydentem Chirakiem, minister Szmajdziński wypowiedział miłe francuskiemu uchu słowa o definitywnym i bezwarunkowym wycofaniu polskich wojsk z Iraku. Wprawdzie premier Belka gwałtownie zaprzeczył, żeby rząd zmienił stanowisko w sprawie naszego uczestnictwa w siłach antysaddamowskiej koalicji, ale przecież trudno uwierzyć, że słowa ministra były zwykłą nieostrożnością czy przypadkiem. Sądzę, że jest to raczej kolejny przykład gruntownej i utajonej przed opinią publiczną reorientacji – lub walki o nią – w polskiej polityce zagranicznej. Z orientacji proamerykańskiej przesuwamy się obecnie w stronę Berlina, Paryża i Moskwy.

Jakie mogą być przyczyny tej zmiany międzynarodowego frontu?

Trzeba zgodzić się z opinią, że jednoznacznie proamerykański kurs rządu Leszka Millera, nawet jeśli serwilistyczny, był do czasu przyjęcia Polski do UE korzystny i zgodny z polską racją stanu. Był jednocześnie szansą na zbudowanie Polsce pozycji politycznej w Europie ponad miarę gospodarczą, militarną i siły naszego państwa. Niestety, błędy naszej polityki zagranicznej – wynikające najpewniej również z tego, że III RP cierpi na brak ośrodka myśli strategicznej, państwowej, po prostu, dramatycznie cierpi na brak jakiegokolwiek myśli szerszej, mającej na uwadze sprawy pro publico bono – spowodowały, że jedyną korzyścią z tak bezwarunkowego poparcia przez nas USA stał się proces (niezbyt szybki, niestety) modernizacji armii. Dlatego, gdy po zmianie na urządzie premiera Millera na Belkę, prezydent Kwaśniewski zaczął metodą faktów dokonanych zmieniać nasz kursu z amerykańskiego na europejski nikt nie zaprotestował. Znane „przejęzyczenie” Kwaśniewskiego o „wpu-

szczeniu Polski w maliny przez Amerykanów” w sprawie arsenałów ira-kijskich dziwnie dobrze współbrzmi z ostatnim „lapsusem” ministra obrony o wyprowadzeniu naszych żołnierzy z Iraku. Można nawet sądzić, że zapowiedź Kwaśniewskiego, iż będzie walczył o zniesienie amerykańskich wiz dla Polaków była – ze względu na oczywisty brak możliwości doraźnego efektu pozytywnego takich starań – zabiegiem socjotechnicznym, tworzącym podkład psychologiczny wśród obywateli do planowanego żeglowania w inną niż Waszyngton stronę.

Trudno jednoznacznie ocenić, czy taka zmiana kursu może być dla Polski korzystna. Wszystko zależy od tego, czy kryje się za nią jakaś – i jaka? – koncepcja polityczna na dłuższą dystans. Na razie, poczynania polskiego rządu i prezydenta w materii zagranicznej wyglądają na chaotyczne, bez myśli przewodniej. Jest to raczej miotanie się od ściany do ściany. Może trochę na zasadzie urażonej miłości i dumy. Amerykanie nas lekceważą, to zwrócimy się do Francuzów i Niemców, choć ci też – a zwłaszcza Francuzi – nieraz w ostatnich latach dali nam odczuć swoją niechęć. Ale warunkiem poprawy notowań Polski w Berlinie i Paryżu jest zaskarwienie sobie przychylności Rosji. Tutaj jednak sytuacja III RP jest nader trudna. Plany zagraniczne Putina oznaczają m.in. marginalizację Polski. Symptomatyczne jest przecież, że Moskwa konsekwentnie stara się ułożyć różne relacje z Polską inaczej niż z Unią Europejską, np. ostatnio nadzwyczajne kontrole weterynaryjne mięsa i mleka. I w tych sprawach Moskwa już odnotowała pierwszy sukces w postaci choćby bezprzykładnej wypowiedzi wysokiego działacza gospodarczego i państwowego, szefa zrzeszenia izb gospodarczych, Andrzeja Arendarskiego. Ostrzegł on, że pogarszanie się stosunków politycznych z Rosją oznacza automatycznie pogarszanie się warunków dla polskich możliwości handlowych i biznesowych w tym kraju. Lobby prorosyjskie zyskało w ten sposób kolejny argument i kolejnych zwolenników.

Środkiem rosyjskiego nacisku na polską politykę zagraniczną może też być, tradycyjnie, gaz i ropa naftowa. Ale nie tylko w wypróbowanej postaci „przykręcenia kurka”. Rosjanie swojego czasu w obu tych obszarach najważniejszych dla bezpieczeństwa energetycznego Polski doprowadzili – za ochoczą polską zgodą rządów centrowo-prawicowych i lewicowych – do powstania dziwnych spółek prywatnych, pośredniczących między obu państwami. Wysokość prowizji, obroty, waga strategiczna przedmiotu handlu, każą zadać pytanie o to, komu był na rękę taki niejasny układ? Może uzyskamy odpowiedź od sejmowej komisji śledczej do spraw PKN Orlen? Jeśli ta zdoła dotrzeć do wszystkich isto-

tnych dokumentów. Te dokumenty na pewno jednak mają ludzi Putina. To taka dodatkowa premia dla nich za i tak korzystne dla Moskwy umowy o eksporcie gazu i ropy z Rosji do Polski.

Rosja nieraz udowodniła, że potrafi w rozgrywkach międzynarodowych sięgać po instrumenty nacisku gospodarczego czy wręcz szantażu personalnego. Może to stać się w Polsce przyczyną „płásów” polityki zagranicznej. Nie wykluczałbym, że w państwowym centrum politycznym odbywa się obecnie walka między zwolennikami Waszyngtonu a zwolennikami Paryża, Berlina i Moskwy. Trudno bowiem inaczej wytłumaczyć, że za kadencji tego samego ministra spraw zagranicznych, Włodzimierza Cimoszewicza, dochodzi do takich konwulsji w naszym kursie międzynarodowym – i odbywa się to bez słowa wyjaśnienia, bez słowa dyskusji publicznej lub w parlamencie. Można przy tym odnieść wrażenie, że inny jest pogląd w tej materii prezydenta, a inny premiera.

14

POWRÓT WIELKIEGO BRATA

(grudzień 2004 r.)

Na szczęście, nie jest już tak, że Stany Zjednoczone Ameryki Północnej przestały interesować się problemami Europy, zajęte „otorbianiem” Chin. Ukraińska pomarańczowa rewolucja przypomniała Białemu Domowi o sprawach „starego” kontynentu. Waszyngton pełną parą powrócił do czynnej polityki w Europie. To stawia przed polityką polską nowe szanse i wyzwania.

Przez ostatnie kilkanaście miesięcy wydawało się, że Amerykanie machnęli ręką na stary kontynent i postanowili zostawić UE na pastwę Francji, Niemiec i Rosji. Uwagę Waszyngtonu całkowicie absorbował Bliski Wschód i daleka Azja. Zauważmy, że przez wiele tygodni Waszyngton ani się nie zająknął na temat skandalicznej kampanii wyborczej na Ukrainie, ani na temat przebiegu pierwszej tury wyborów. Dopiero druga tura i wielkie demonstracje w Kijowie stały się pretekstem do najpierw ostrożnego, a po paru dniach bardzo praktycznego poparcia dla Juszczunki. Nie jest wykluczone, że Bush, po wygraniu swojej drugiej kadencji, chce – idąc w ślady Clintona, otwierającego NATO dla państw z byłego bloku sowieckiego – przejść do historii jako prezydent, dający Ameryce w wianie zjednoczoną wielką Europę – dziś z Ukrainą, jutro może także z Białorusią. Niewątpliwie przecież odzyskanie dla Europy tych krajów w wersji państw rządzonych przez proamerykańskie elity, a w perspektywie jest przecież przyjęcie Turcji do UE, oznaczałoby znaczne zwiększenie roli USA na starym kontynencie. Może to również oznaczać, że Bush postanowił prowadzić twardą politykę międzynarodową, bez oglądania się na Rosję. Nie chce być już dalej zakładnikiem Putina, w imię iluzorycznej współpracy przy zwalczaniu terroryzmu. Z kalkulacji Waszyngtonu może wynikać – moim zdaniem,

słusznie – że w decydującej rozgrywce o prymat na świecie między USA i Chinami, która już trwa, ale jej istotne nasilenie nastąpi za 10-15 lat, ścisły związek polityczny i ekonomiczny między Starym a Nowym Kontynentem jest ważny. Stąd konieczność zredukowania wpływów rosyjskich w Europie i związania Brukseli z Ameryką. Tym bardziej, że UE pod wpływem Francji i Niemiec staje się coraz usługniejsza wobec Chin. Parafrazując Lenina, UE sprzedaje Chinom sznur, na którym te ostatnie ją powieszają...

Ukraina jest tutaj sprawą kluczową, ponieważ koncepcja Putina odbudowy mocarstwowej pozycji Rosji bierze w łeb, gdy Ukraina niczym Gruzja odpływa od Moskwy w stronę dal a do drogi szykują się Kazachstan i Kirgizja. Osłabiając Kuczmę i namaszczając szemranego figuranta Janukowycza, Moskwa wywołała konfrontację, której sama padła ofiarą. Do takiej polityki Putina przyczyniła się UE, deklarując brak zainteresowania dla wstąpienia Ukrainy do brukselskiego stowarzyszenia państw europejskich. Co z tego wynika dla Polski i jej interesów?

Po pierwsze, możliwość budowania własnej silniejszej pozycji w Europie w oparciu o związki polityczne i gospodarcze z USA. Po drugie, zwiększa szansę na oczyszczenie krajowej sceny politycznej – i szerzej: publicznej, w tym medialnej – z wpływów rosyjskich. Oczywiście, wszelkie obce agentury są szkodliwe dla życia publicznego. W naszym jednak wypadku, szczególnie groźna jest agentura moskiewska. Po trzecie, możemy uniezależnić się energetycznie od Rosji. Nie spełni tego Kwaśniewski, gdyż cała jego aktywność to balansowanie między Rosją a USA, przy wykorzystaniu sztafazu brukselskiego. Belka zapewne tylko puszczał oko, że jest amerykańskim koniem trojańskim; a nawet, gdyby uwierzył w swoją misję, to nie ma żadnych możliwości politycznych. Cała nadzieja w tym, że Rokita i Kaczyńscy prawidłowo odczytają znaki z politycznego nieboskłonu i na dodatek zdołają uciulać odpowiednie procenty w wyborach. Wielka jednak szkoda, że nasza mała szansa na wykorzystanie szansy historycznej danej nam znowu przez los i wujka Sama pojawi się dopiero, gdy odbędą się wybory parlamentarne. A może dałoby się coś zrobić wcześniej? Tylko jak?

MY I MY

WSTĘP

Polityka krajowa jest mało wdzięcznym obiektem do opisu publicystycznego. Główni aktorzy naszej sceny politycznej brylują na niej niezmiennie od lat. Od lat też przedstawiają mniej więcej takie same pomysły. Nudne to, ale przyznać trzeba, że nie zawsze nasi politycy mają wybór – skoro rzeczywistość jest w wielu swoich segmentach niezmienna, to i programy partyjne muszą się powtarzać. Brak centrum kierowniczego III RP jest mankamentem głównym i najbardziej rzucającym się w oczy. Rodzi on dotkliwe, negatywne skutki dla instytucji państwowych i gospodarki. Utrudnia rozwiązanie problemów społecznych: dużego bezrobocia, marnotrawnej i zadłużonej służby zdrowia, zacofanej oświaty. Rozgrywki partyjne, prywatnie, patrzenie tylko przez pryzmat interesów grupowych, korupcja oraz uleganie obcym wpływom, złożyło się na swoistą niewydolność, paraliż polskiej klasy politycznej. Rzecz jasna, klasa ta jest zróżnicowana i nie należy do jednego worka wkładać partii i polityków, którzy starają się naprawiać III RP i tych, którzy de facto kierują się zasadą „im gorzej, tym lepiej”. Mam nadzieję, że niniejsza publicystyka pozwoli Czytelnikom sprawiedliwie ocenić, kto jest kim w polityce polskiej.

Teksty pomieszczone w tej części, a poświęcone właśnie polityce krajowej, były drukowane w „Życiu”, „Rzeczpospolitej”, „Gazecie Wyborczej” i „Wprost”, począwszy od połowy lat 90-tych do roku 2004. Wątki tematyczne niektórych z tych tekstów, traktujące o polskiej racji stanu, pokrywają się częściowo z rozważaniami z poprzedniej części książki. Osadzone są one jednak w warstwie dyskusji politycznych o polityce krajowej. Nie sposób ich pominąć, gdy zastanawiamy się nad sta-

nem naszych spraw publicznych. Z góry przepraszam Czytelników, jeśli odniosą czasem przy lekturze wrażenie, że już to czytali. Inna sprawa, że takiemu wrażeniu generalnie sprzyja niezmiennosc wielu polskich problemów nr 1.

1

ZBIOROWA SKLEROZA

(październik 1996 r.)

Kolejność zdarzeń jest zwykle podobna. W wyniku czyjejś maniackiej i ryzykownej pracy (tak było w sprawie Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, kiedy opinię publiczną zaalarmował skromny inspektor finansowy, Michał Falzmann), albo w wyniku „przecieku” ze służb specjalnych lub rządu, albo w wyniku przypadku – gazety dowiadują się i informują następnie zdumioną publiczność o kolejnej bulwersującej sprawie. Dziennikarze starają się dociec o co chodzi, kto i za co odpowiada itd. Starania te jednak z reguły nie są intensywne, ani konsekwentne.

Po ujawnieniu sprawy w mass mediach władza zajmuje oficjalne stanowisko – i do urzędowych czynności zabiera się albo prokuratura, albo komisja parlamentarna, albo jakaś inna instytucja, czasem nawet sąd. Ale jeszcze się nie zdarzyło, żeby zakończyło się to procedowanie wyjaśnieniem, wyrokiem sądowym, decyzją parlamentu lub rządu.

Już ujawnione przez mass media, już napoczęte przez oficjalne instytucje państwowe i już przetrawione przez opinię publiczną sprawy giną nieodwołalnie między trzema podmiotami życia społecznego: władzą – opinią publiczną – mass mediami.

Księga zapomnień

A nie chodzi tu o błahostki. Dlaczego, na przykład, zaniechano dekomunikacji państwa? Przecież przez blisko 50 lat Rosja tworzyła w Polsce oddaną sobie kastę ludzi. Ci ludzie mieli władzę, pieniądze i tajne informacje. Ich była gospodarka i służby specjalne. Przez wspomniany FOZZ np. przepływały gigantyczne kwoty pieniędzy, praktycznie bez

zadnej kontroli. Nie wiadomo czyje były to pieniądze (polskie tylko? może sowieckie?), gdzie trafiały, czy zostały użyte do innych celów niż deklarowane wykupywanie polskiego zadłużenia w zachodnich bankach? Same znaki zapytania, żadnych prawie odpowiedzi, za to (?) ważne osoby, które miały styczność z FOZZ, jak obecny minister spraw zagranicznych Rossatii, milczą. Czy te znaki zapytania zostawić bez odpowiedzi? A co z odpowiedzią na pytanie, kto i dlaczego, blokowały przyłączenie Polski do niezależnych od Rosji źródeł energii? Promotorem „wielkiej rury” był wicepremier w rządzie Hanny Suchockiej, Goryszewski. Czy wiedział, co robi, czy też rządził nim zwykły dla tego polityka entuzjast, z jakim zwykle wsiadał w czołg na poligonach czy strzelał tamże z armaty, ot, mały chłopiec bawiący się w żołnierzyka-polityka...

Teraz wmawia się obywatelom, że Moskwa nie będzie przykręcić nam kurka gazowego, gdyż tym samym przykręciłaby kurek Zachodowi. To nieprawda. Rosja może wysłać gaz Niemcom, a nam nie. I wówczas to my musielibyśmy przykręcić kurek z niemieckim gazem, żeby ratować się z opresji! Bardzo ciekawa geopolityczna sytuacja.

A dlaczego bez odpowiedzi ma pozostać pytanie o losy majątku PZPR, o pożyczkę moskiewską, o to, kto i za czyje pieniądze zbudował SdRP? Przecież – razem z pytaniami o majątek PSL (d. ZSL), o przepływy pieniędzy z budżetu państwa do firm partyjnych (i SdRP, i PSL), o współpracowników i pracowników tajnych służb PRL, innych funkcjonariuszy państwowych i partyjnych PRL – jest to w istocie jedno generalne pytanie o kształt i charakter polskich elit politycznych, o to z kogo się składają, czyje interesy ci ludzie reprezentują, o ich powiązania wewnętrzne i zagraniczne.

Wystarczy rzucić okiem na mapę Europy, żeby sobie uświadomić wagę pytania o elity polityczne Polski. Rosja jest cofnięta aż za Białoruś, z wstawioną stopą w Kaliningradzie. Jeśli Polska dołączy do NATO, szansę zakotwiczenia na zachodzie zyskają państwa nadbałtyckie i Ukraina. Oznaczałoby to wypchnięcie Kremla na peryferie Europy (nawet przy prorosyjskiej Białorusi). To jest być albo nie być dla Moskwy. Rosja musi za wszelką cenę odciąć Litwę, Łotwę i Estonię oraz zatrzymać przy sobie Ukrainę, jeżeli już Polski się nie uda. Znacznie może jej w tym pomóc połączenie Kaliningradu z Białorusią linią tranzytową przez Suwalszczyznę. Jest to de facto wojskowe otoczenie przez Kreml Litwy, Łotwy i Estonii. Czy to zatem przypadek, że polskie władze lokalne (!) już się na taki tranzyt zgodziły? Dlaczego tak zrobiono, w czym intere-

sie, na czyje polecenie? Próżno pytać. Ta sprawa nawet wzbudziła zainteresowanie opinii publicznej i mass mediów. Ba, URM powołał komisję. I co? I cisza. Jak zwykle. Jak w każdej istotnej sprawie nikt już o niczym nie pamięta.

Polska niemożność

Cóż jest takiego w tej polskiej odmianie trójkąta bermudzkiego: władza – opinia publiczna – mass media, że wszystko w nim ginie, ulega zagładzie i zapomnieniu?

Oczywiście nie jest w interesie władzy ujawniać, że zaniedbuje sprawy istotne dla państwa. Nie dziwię się więc, że premier, prezydent i rząd nie mogą się sami siebie nachwalić.

Mass media mają często dobre intencje, starają się dostarczyć obywatelowi rzetelnych informacji. Ale nie są dość bogate i silne, żeby uczepić się danej sprawy jak buldogi i nie popuszczają, wydobywać spod ziemi, kupować, zdobywać na różne sposoby informacje, odsłaniając prawdę. Bywa, nudzą się tematami. Nadto są dezinformowane i paraliżowane przez ludzi, którzy służyli i służą innym panom niż czytelnicy i widzowie; dotyczy to zwłaszcza telewizji i radia publicznego... I są wprawdzie mass media ostatnią już niemal barykadą w obronie kraju przed triumfalnym powrotem PRL-u, ale władza odnosi ostatnio znaczące sukcesy w podporządkowywaniu sobie środowiska dziennikarskiego (najdrastyczniejsze przykłady to kastracja telewizji publicznej i zmonopolizowanie telewizji prywatnych przez ludzi związanych z układem postkomunistycznym).

A cóż na to opinia publiczna? Dlaczego i ona zapomina o sprawach ważnych? Otóż podejrzewam, że opinii publicznej w ogóle nie ma. Są obywatele – wyborcy, którzy raz na parę lat demonstrują swoją opinię wrzucając, lub nie, kartki do urn wyborczych. Ale tak naprawdę opinia publiczna to cały system instytucji samorządowych, lokalnych, zawodowych, twórczych, zrzeszeń różnego rodzaju, partii, organizacji i towarzystw. Jeśli ktoś się zbłądzi lub skompromituje w swojej działalności zawodowej czy publicznej, to dotknie go ostracyzm jego własnego środowiska, jego organizacji zawodowej, jego lokalnego kółka na rzecz pożytecznych działań. Dlatego, że te właśnie stowarzyszenia i organizacje określają i pilnują elementarnych norm etycznych danej profesji. Dziennikarz, który by nie w celach zawodowych, ale towarzyskich, bankietował z gangsterami nie miałby wstępu do przyzwoitych redakcji.

Ale u nas wszystko wszystkim wolno, można bezkarnie zrobić każde świństwo. Dlatego w Polsce nie ma opinii publicznej, są tylko obywatele zdziwieni, dlaczego dawna opozycja nie przejęła w pełni władzy od funkcjonariuszy tamtego systemu, no i – w konsekwencji – nie dziwiący się, że ci sami funkcjonariusze PRL robią teraz po prostu swoje. Dawna opozycja zaś, która znowu jest opozycją, zajmuje się głównie własnymi, wewnętrznymi problemami. Dlatego opinia publiczna to dzisiaj w Polsce pojęcie puste.

I dlatego popadamy w niepamięć zbiorową.

2

DEKOMUNIZACJA – MIMO WSZYSTKO

(grudzień 1996 r.)

PRL, ZSRR, cała przeszłość sowieckiego imperium jest stale i mocno obecna w naszej rzeczywistości politycznej. I to mimo 7 lat, jakie upłynęły od czerwcowych wyborów 1989 r. Analizowanie przeszłości to zajęcie dla historyków. Dla nas może być użyteczne jedynie jako wskazówka na przyszłość. Przede wszystkim zaś interesuje nas – i powinno interesować polityków – jakie państwo chcemy zbudować i w jaki sposób zamierzamy tego dokonać.

Na łasce bożej i rosyjskiej

Dychotomia: NATO albo Rosja, zubaża nasze myślenie o bezpieczeństwie III RP. Dobrze byłoby dostać się do NATO, ale sama przynależność do tego paktu, nie gwarantuje nam bezpieczeństwa. Każdy sojusz w polityce, także międzynarodowej, jest tylko świstkiem papieru, jeżeli nie stoją za nim interesy umawiających się stron. I jeżeli taki sojusz nie ma pokrycia w sile. Pierwsze pytanie brzmi zatem: w jakich warunkach Zachód będzie zmuszony ochraniać militarnie III RP? Najprędzej wtedy, kiedy na naszym terytorium będą stacjonować wojska amerykańskie i zostaną rozmieszczone bazy rakiet o głowicach atomowych. To powinien być zatem prawdziwy cel MSZ. Sam traktat o przystąpieniu do NATO może okazać się niewystarczający, zwłaszcza gdy NATO ulegnie przekształceniom i stanie się, być może, tworem ogólnoeuropejskim, politycznym, z ograniczeniem roli USA, a z ważną rolą Rosji.

Nie jest to dla MSZ zadanie łatwe. Amerykanie grają z Moskwą, i muszą to robić, w delikatną i zmienną grę o niewiadomym zakończeniu. Jak możemy zachęcić Waszyngton? Tylko wizją Europy Środkowo-

Wschodniej stabilnej dzięki sile III RP. Nasza szansa to zbliżenie wojskowe z Litwą, Łotwą, Estonią, a nade wszystko z Ukrainą. Dobrze byłoby też dogadać się z Czechami i Węgrami, ale nie wiadomo, czy te kraje byłyby tym zainteresowane. Dla Litwy, Łotwy, Estonii i Ukrainy sojusz z Polską stanowiłby ważny atut w przeciwstawianiu się presji Moskwy.

Ale żeby móc rozpocząć taką grę strategiczną musimy zdecydowanie wzmocnić armię. Oznacza to nie tylko radykalne zwiększenie wydatków na wojsko, ale i gruntowną przebudowę struktur wojskowych, tak aby kierowane do armii pieniądze nie marnowały się rozgrabiane przez biurokrację.

O silną armię w sposób naturalny mogą dbać generałowie i inni oficerowie. Dlatego w obecnych reformach resortu obrony nie należy poświęcać sztabu Generalnego na ołtarzu cywilnej kontroli nad wojskiem. Sztab Generalny winien mieć taką konstrukcję, żeby działał sprawnie i wydajnie. Ale to nie ministrowie z kolejnych koalicji rządowych zapewnią nam nowoczesną broń i logistykę oraz wyszkolonych żołnierzy, pozwalających na obronę na wypadek głupiego pomysłu jakiegoś Łukaszenki.

Niezależnie jednak od tego, czy pokój w Europie będzie trwał, jak prawie nigdy dotąd w historii (to już ponad 50 lat), i czy nasze 5 minut zostanie przedłużone o kolejne 5 czy nie, to na pewno wzmacnianie własnej armii i zbliżenie militarne z innymi krajami demokratycznymi tego regionu nie zaszkodzą nam w ściąganiu do Polski amerykańskich rakiet i marines.

Racja stanu...

Dzisiaj jest oczywiste, co stanowi polską rację stanu. Ale jeszcze parę lat temu, za PRL-u, państwo oficjalne było reprezentantem obcej, sowieckiej racji stanu. Kiszczak zatem postępował zgodnie z peerelowską racją stanu wpuszczając do nas wywiady wschodnioniemiecki czy sowiecki. Podobnie jak zgodnie z peerelowską racją stanu działał Jaruzelski, wprowadzając stan wojenny. Słusznie więc nie zostaną za to ukarani, gdyż działali zgodnie z peerelowskim prawem. Takie to było państwo i prawo. Ale też dlatego decyzje uniewinniające wspomnianych generałów stanowią dramatyczne oskarżenie przeszłości i są koronnym argumentem na rzecz dekomunizacji państwa. Ludzie niepolskiej racji stanu nie mogą przecież budować państwa polskiego.

Zdaję sobie sprawę, że na dekomunizację był najlepszy moment

zaraz po runięciu muru berlińskiego, jesienią 1989 r. Niestety, ówczesna emanacja polityczna „Solidarności”, z premierem Mazowieckim na czele, nie miała siły, ani ochoty na taką operację. Dziś, w siedem lat później, po legitymizacji SLD w wyborach parlamentarnych i prezydenckich, propozycja dekomunizacji może brzmieć dziwacznie. Ale bez prawnego odsunięcia z życia publicznego funkcjonariuszy byłej PRL mówienie o budowie silnego, praworządnego państwa pozostanie czystym gadulstwem. Nie chcę procesów, poza procesami osób odpowiedzialnych – jak Kiszczak i Jaruzelski – za śmierć ludzi. Ale chciałbym mieć pewność, że życie publiczne zapełniają m. in. ludzie głupi, chytry, przekupni, chorzy psychicznie – jednak nie agenci innych państw, nie przedstawiciele niepolskich interesów.

Racja stanu III RP to budowa państwa suwerennego od wpływów moskiewskich. Nie ma powodu, żeby niegdysiejsi namiestnicy i funkcjonariusze sowieccy mogli dzisiaj majstrować przy naszym państwie. To trochę tak, jakbyśmy człowiekowi, który kiedyś nas napadł i obrał, powierzali dzisiaj nasz majątek do popilnowania.

Czesi i Niemcy zdecydowali się na lustrację i dekomunizację i jakoś nie słysząc u nich narzekań na brak demokracji, ani, co ważniejsze, nie widać lęków o przyszłość państwa. Litwa urządza właśnie proces byłym komunistycznym władcom, a stało się to możliwe dzięki akcji litewskich służb specjalnych, które porwały tych dygnitarzy z terytorium Białorusi, gdzie zbiegli. III RP nie musi nikogo porywać. Wszyscy są na miejscu, ba, czują się znakomicie i ... sprawują władzę.

Projekty dekomunizacyjne wywoływały zwykle wściekłość na lewicy postkomunistycznej, co oczywiste i zrozumiałe, ale również wiele niechęci w grupach lewicy demokratycznej (UP, część roadowska UW) i wielką niechęć, a właściwie też wściekłość w grupach centrowych (katolicka część UW). Ponieważ zaś dekomunizacja w sposób nieuchronny musi być połączona z lustracją, przeciwnikami tej operacji okazali się także działacze KPN i grupa prezydenta Wałęsy. Wiele osób spośród zagorzałych przeciwników dekomunizacji i lustracji wypowiada się dziś jednak nader radykalnie przeciw władzy postkomunistów, zapominając o tym, iż to przeciwnicy dekomunizacji umożliwili Oleksemu, Kwaśniewskiemu i Millerowi triumfalny powrót na urzędy państwowe.

Dlatego z dystansem obserwuję radykalne zapowiedzi UW, czy odgrazania się byłego prezydenta Wałęsy, jak również przebojowość KPN-u, czy nawrócenie się PSL-u. Pamiętam po prostu ich rolę w czerwcu 1992 r. przy obalaniu rządu Jana Olszewskiego. Z kolei Akcja Wybor-

cza „Solidarność” ma w swoim składzie zarówno zdeklarowanych zwolenników dekomunizacji jak Jarosław Kaczyński, ale również Ruch Stu, który choćby z racji jaką odgrywa w nim Andrzej Olechowski, musi być przeciw takiej operacji. Partia Jana Olszewskiego – ROP, głosi konieczność dekomunizacji państwa, ale chciałbym już zapoznać się z konkretnymi projektami ustaw zamiast z samymi hasłami.

... i banicja

Odsunąć od udziału w życiu publicznym III RP byłych funkcjonariuszy PRL. Jakich funkcjonariuszy jednak, od którego szczebla? Sprawowania jakich stanowisk i zawodów im zakazać? Posłów, członków rządu, urzędników administracji państwowej, nauczycieli, sędziów, prokuratorów, dziennikarzy?

A tych, którzy odpowiadają za zbrodnicze rozkazy, za rozkazy strzelania na Wybrzeżu w 1970 r. jak i strzelania w stanie wojennym (nie tylko w kopalni „Wujek”, bo na przykład w Lubinie w 1982 r. czy w Nowej Hucie), to sądzić w wieloletnich nieskutecznych procesach czy też może ustawą skazać na banicję? Może banicja byłaby skuteczniejsza i bardziej humanitarna?

Szczerze mówiąc, osobiście byłbym za banicją. Może dlatego, że czuję obrzydzenie, gdy widzę w telewizji przemawiających do mnie o polskiej racji stanu: Kwaśniewskiego, Oleksego, Cimoszewicza, Millera, czy jak czytam w prasie list otwarty generała Jaruzelskiego do arcybiskupa Gocławskiego z pytaniem, choć nie wyrażonym wprost, czymże to niby patriotyzm generała różni się od patriotyzmu arcybiskupa. Ano tym czym kozia d... od trąby, można by zażartować parafrazując stare polskie powiedzenie, gdyby cała sprawa nie była tak obrzydliwa moralnie i tak śmiertelnie poważna jednocześnie.

Partie, które poważnie traktują wybory i wyborców, powinny wprost powiedzieć, co sądzą i co zrobią w sprawie dekomunizacji i lustracji.

Święta własność i sprawiedliwość

O armii mówi się mało, o dekomunizacji trochę więcej, ale nie za dużo, za to najwięcej mówi się o gospodarce, uwłaszczeniu obywateli i nomenklatury, o prywatyзации i reprywatyzacji.

W tych sprawach też pada najwięcej obietnic ze strony opozycji. Tymczasem, myśląc o przyszłości, warto sobie zdać sprawę, że są to

obietnice w dużej części bez pokrycia, chyba żeby założyć wybuch rewolucji, nacjonalizację itd. Wtedy zabrano by nomenklaturze to, co ta nagrafiła. Ale od tego nikt inny by się nie wzbogacił, tylko wszystko przejęłaby biurokracja państwowa.

My zaś mamy zrobić kontrrewolucję, a nie rewolucję. Oznacza to przede wszystkim pełny szacunek do prawa własności. To prawo święte i nie wolno go poświęcać na ołtarzu żadnej sprawy. Dlatego można, a nawet trzeba, obiecywać reprivatyzację – i zrobić to po wygraniu wyborów parlamentarnych za rok – jak głoszą m.in. ROP i UPR. Można, a nawet trzeba obiecać – i zrobić to – powszechną prywatyzację, czy choćby zbliżyć program NFI do rozwiązań czeskiej „kuponówki”. I sprywatyzować prawie wszystko, łącznie ze służbą zdrowia, z wyłączeniem może paru miejsc o charakterze strategicznym dla państwa i wymagającym kolosalnych inwestycji (a przecież nawet przemysł zbrojeniowy może i powinien być sprywatyzowany, żeby był racjonalny i wydajny).

Nie można jednak obiecywać, a tak czyni ROP i AW „S”, odebrania nomenklaturze tego, co przejęła z majątku państwowego. Jeżeli robiono to z głową, wzór SLD-owski raczej niż PSL-owski, to prawnie w większości przypadków odzyskanie nie będzie możliwe. Mówi się trudno. Wzbogacenie się nomenklatury postpeerelowskiej denerwuje z racji moralnych i ze względu na poczucie sprawiedliwości. Ale lepiej pogodzić się tu z porażką, niż łamać prawo.

Kalkulacje a wyzwania

Każda partia, w miarę zbliżających się wyborów, będzie coraz uważniej analizować upodobania wyborców, żeby zgłaszać hasła mające przysporzyć jej zwolenników. Oznacza to popularność haseł populistycznych – o przyjaznym i bezpiecznym państwie. Będą to mówili politycy postkomunistycznej lewicy, lewicy demokratycznej, prawicy i centrum w różnych odcieniach. Ale będzie to populizm socjalny i ekonomiczny. Nie będzie w cenie dekomunizacja, gdyż znaczna część ludzi ani tego nie rozumie, ani nie popiera w obawie przed radykalizmem jako takim. Nie będzie też głosów o konieczności pomnożenia wydatków na siły zbrojne, gdyż przeciwnikom politycznym łatwo wówczas wykazać, że ten wzrost odbędzie się kosztem innych wydatków budżetowych.

Preferencje wyborców nie zmieniają jednak rzeczywistości. Rzeczywistością zaś jest stałe, z militarnym włącznie, zagrożenie naszego państwa

od Wschodu. Rzeczywistością jest wielka rola, obecnie decydująca, w naszym państwie grup związanych z interesami ze Wschodem właśnie. Rzeczywistością jest także, że znaczna część ugrupowań opozycyjnych jest również uwikłana we wschodnie interesy i zależności.

Jak zatem mamy stać się państwem demokracji europejskiej? Często spotykany jest pogląd, że polska polityka nie ma po wojnie wybitnych postaci. Lech Wałęsa dokonał wielu ważnych rzeczy, ba, jego rola była wręcz kluczowa dla stworzenia w 1989 r. szansy budowy suwerennego, demokratycznego i silnego państwa polskiego. Niestety, przyłożył później rękę do roztrwonienia tej szansy. Podobnie jak znaczna część elit politycznych wywodzących się z opozycji demokratycznej. Postpeerelowcy bowiem nie mieli interesu w budowie III RP i zachowywali się z godną podziwu konsekwencją, konstruując hybrydę, ni to PRL-bis, ni to pre-III RP. Ale dlaczego myśmy im w tym pomagali?!

Nie widzę partii zdolnej obecnie do zainicjowania budowy państwa naszych marzeń. Nadal mamy dobrą koniunkturę międzynarodową, w pewnym więc, ale nie takim małym, stopniu, wiele zależy od nas samych – możemy sobie zbudować, co wymyślimy i uznamy za własne. Czekamy zatem, ja czekam, na nowego Wałęsę. A właściwie na grupę polityków o jasnych celach i myślących w kategoriach państwowych, a nie partyjnych. Oni mają nas natchnąć duchem III RP.

Jeżeli tego nie potrafimy, jeżeli się tego nie doczekamy... No, cóż, wtedy napiszemy do generała Jaruzelskiego: „Panie Generale! W odpowiedzi na Pana publiczne zapytanie informujemy, że Pana i nasz patriotyzm niczym się nie różnią. Jesteśmy takie same kozie d... Z poważaniem, obywatele”.

3

BYCZO JEST

(maj 1998 r.)

Skoro władzę sprawuje „nasza” koalicja, a rządzi „nasz” rząd, wszelka krytyka jast albo nie na miejscu, albo wręcz szkodliwa, gdyż służy przeciwnikom politycznym. Taką filozofię zdają się wyznawać liczni politycy obozu władzy, jak również wielu obywateli. Dlaczego krytykuje pan naszych i swoich kolegów? – pytają mnie nieraz czytelnicy. I im, i politykom trudno zrozumieć, że bez takiej krytyki powrót komunistów do pełni władzy będzie szybszy, niż to sobie wymarzył nawet Miller.

Złudzenie, jakie establishment AWS-UW chce narzucić opinii publicznej, jawi się następująco: wygraliśmy wybory, zdobyliśmy władzę, reformujemy państwo. Co do reform nie chcę krakać, przyjdzie czas, poznamy po owocach. W sprawie władzy natomiast, to średnio rozgarnięty przedszkolak widzi, że bez prezydenta rząd i koalicja mogą iść na ryby. Taki jest skutek wyniku wyborczego, który był wprawdzie zwycięstwem AWS i pozwolił utworzyć rząd siłom postsolidarnościowym, jednak nie odebrał władzy postkomunistom. Ich siłą główną stanowią obecnie prezydent, kluby parlamentarne SLD i PSL, instytucje finansowe i gospodarcze oraz media publiczne.

Żeby zrobić coś pożytecznego, politycy AWS mogą działać na dwa sposoby: zawrzeć układ z prezydentem lub wygrać najbliższe wybory prezydenckie. Teoretycznie jest też możliwe „pożenienie” obu tych sposobów, ale wówczas układ z prezydentem miałby charakter czysto taktyczny i tak też byłby traktowany.

Akt wstępny między Kwaśniewskim a obozem rządowym został już skonsumowany przy okazji sporu o termin wyborów gminnych. Prezydent tanim kosztem, za to pod okiem kamer telewizyjnych, awansował na ojca reform i przywódcę państwa ponad podziałami partyjnymi.

Z tego jeszcze nie musi nic wynikać, ale to niewątpliwie rząd znalazł się teraz pod przymusem czasu i zabiegów o przychyłność prezydenta przy uchwalaniu kolejnych ustaw administracyjno-samorządowych. Każde opóźnienie reform potwierdzi tezę opozycji, że prezydent chciał dobrze, lecz rząd nie umiał. Premier przyjął zatem – choć prawdopodobnie sam o tym jeszcze nie wie – postawę proszalną wobec Kwaśniewskiego. Rzeczą jednak nie w ambicjach czy sporach ambicjonalnych, ale w tym, co naprawdę można w państwie zrobić. Jadwiga Staniszkis w niedawnym wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” (z 24 marca) proponuje przyjazną kohabitację między premierem a prezydentem; tym bardziej że – jej zdaniem – Marian Krzaklewski i tak nie ma praktycznie szans na wygranie wyborów prezydenckich. Wtóruje jej lider młodych polityków antykomunistycznych Wiesław Walendziak: „Prezydent Kwaśniewski wpisuje się w nową rzeczywistość, w tę budowaną od dzisiaj z myślą o jutrze. Dziś, oceniając dokonania Aleksandra Kwaśniewskiego, nie można myśleć tylko o dniu wczorajszym” („Gazeta Wyborcza” z 27 kwietnia).

Poszukiwany kandydat

Kwaśniewski ma w ręku wiele atutów, które mogą przesądzić o jego łatwej reelekcji: stabilna gospodarka, wchodzenie Polski do struktur świata zachodniego, niejako przymusowe poparcie całego obozu lewicy. Krzaklewski dla odmiany od wyborów tylko traci, znika gdzieś w kuluarach sceny politycznej, a jego polityczni koledzy łatwo zapominają, dzięki komu i czemu osiągnęli powodzenie w wyborach parlamentarnych.

Krzaklewski nie jest dla polityków prawicy naturalnym liderem i kandydatem w wyborach prezydenckich. Takich liderów i kandydatów na kandydatów jest już spora gromadka. Staniszkis mówi wprost o „cichej charyzmie” Buzka i wcale nie cicho namawia go do odstąpienia od Krzaklewskiego. Maciej Łętowski przypomina trafnie, jak to przy zaprzysiężeniu nowego rządu większość ministrów przysięgała, patrząc na Krzaklewskiego, nie zaś na prezydenta, a dzisiaj wszystkie oczy wpatrzone są w Kwaśniewskiego („Życie” z 24 kwietnia). I konkluduje: „Czyżby pozostało nam już tylko modlić się do świętego Jerzego?”. Buzka, rzecz jasna.

Nie wiem, kto byłby merytorycznie najlepszym kandydatem prawicy na prezydenta. Zapewne drzemią gdzieś zapoznane talenty. Z punk-

tu widzenia prawicy najlepszy byłby taki kandydat, który by wygrał. Otóż, może takim kandydatem jest Jerzy Buzek, może Lech Wałęsa, może Wiesław Walendziak? A może jednak Marian Krzaklewski, który przywrócił prawicę do życia państwowego i jest przez elektorat – choć nie przez polityków – postrzegany jako przywódca formacji? Nie wiem. Wiem jednak, że rozpoczęcie na prawicy wyścigu o nominację prezydencką, połączone z – nazwijmy to elegancko – usamodzielnieniem się politycznym premiera, oznacza wymarzony scenariusz dla Kwaśniewskiego i obozu szeroko pojętej lewicy w Polsce.

Drugi krok

Już i dzisiaj zresztą lewica nie ma powodu do narzekań. Przecież prawica tak naprawdę nawet nie zdecydowała, czy chce wziąć udział w wyborach prezydenckich i wygrać z Kwaśniewskim! Teza szokująca? Owszem, ale gdyby było inaczej, przyjazna kohabitacja rządu z prezydentem byłaby najwyżej pomysłem taktycznym, nie zaś rozważaną poważnie koncepcją strategiczną, a prawicowy lider już formowałby własny obóz na wybory. Tak, jak zmontowano AWS. Zresztą, moim zdaniem, by prawica miała realną szansę na zwycięstwo, powinna to być kopia tamtego mechanizmu, w którym lider-kandydat dysponuje pakietem kontrolnym i cały układ, chce czy nie, musi pracować na niego.

Gdyby to Krzaklewski miał kandydować, powinien zachować szefostwo NSZZ „Solidarność”. Jedyne ta pozycja dałaby mu bat na kolegów z AWS i z rządu. AWS wygrała przecież nie po to, by ci zaci ludzie zdobyli stanowisko ministrów, marszałków, posłów. Celem jest przebudowa państwa. Dlatego teraz trzeba wykonać drugi krok. Po wygraniu wyborów parlamentarnych należy usunąć Kwaśniewskiego. Rząd, rzecz jasna, musi rozmawiać i dogadywać się z prezydentem, gdyż tego wymaga bieżące funkcjonowanie państwa. Tak naprawdę główną przeszkodą w uzdrowieniu Rzeczypospolitej jest jednak stary układ postkomunistyczny. Zwornikiem tego układu jest prezydent Kwaśniewski. Krzaklewski zatem staje się przywódcą ruchu na rzecz radykalnej zmiany, określa cele strategiczne, wizję państwa, do której realizacji trzeba zdobyć również prezydenturę. Rząd kieruje do parlamentu ustawy, będące prawnym przygotowaniem uzdrowienia państwa. W efekcie prezydent zostaje osaczony politycznie, a Unia Wolności musi wybrać, czy jest za Kwaśniewskim, czy za Krzaklewskim...

Nie wiem jednak, czy moja analiza ma sens, skoro nie jest jasne, czy

politycy różnych frakcji obu partii koalicji rządzącej rzeczywiście chcą się pozbyć obecnego prezydenta. Przecież dla UW prezydent Kwaśniewski jest zdecydowanie lepszym rozwiązaniem niż prezydent Krzaklewski. Oczywiście, najlepszy byłby prezydent Balcerowicz, ale trudno byłoby do tego przekonać wyborców. Gdyby Krzaklewski wyparł Kwaśniewskiego, ranga polityczna UW uległaby drastycznemu zmniejszeniu. Również wiele grup wewnątrz AWS nie musi być zainteresowanych prezydenturą, o ile – rzecz jasna – to nie oni mieliby ją sprawować. Przy tak wzajemnie równoważącym się i blokującym układzie parlamentarno-prezydenckim byle frakcja w koalicji zyskuje bardzo na znaczeniu. jednym słowem „nasz” prezydent jest potencjalnym zagrożeniem dla niemałej części „naszych” polityków.

Nowy ruch

Oczywiście SLD będzie popierać Kwaśniewskiego w najbliższych wyborach. Proszę nie wierzyć w teatr o „utraconych przyjaciół”, transmitowany na żywo przez telewizję publiczną. Postkomuniści to partia kadrowa, odegrają wszystko, co trzeba, by zdobyć i zachować władzę. Znak zapytania dotyczy jedynie lewicowej i centrolewicowej części Unii Wolności oraz Unii Pracy i wyborców niezdecydowanych. Głosy elektoratu tych trzech partii dałyby Kwaśniewskiemu upragnione zwycięstwo. Sęk w tym, że dzisiaj taki obóz nie może formalnie powstać. Nie chce tego UW, kalkulując – jak niegdyś PSL – że najlepiej być obrotowym na scenie politycznej.

Co jest zatem możliwe dla Kwaśniewskiego i jego politycznych sojuszników? Szykować zwycięstwo obozu lewicy i centrolewicy bez uprzedniego organizowania takiego obozu. W tym scenariuszu ważne jest, by prawica nie miała wyraźnego i jednego kandydata na prezydenta. Wystarczy, aby UW miała AWS, że na przykład jest skłonna poprzeć kandydaturę Buzka na prezydenta, ale Krzaklewskiego już nie – by osiągnąć miły sercu SLD efekt zamieszania w twierdzy wroga. A czy aby nie troska o trwałość koalicji rządowej powoduje niechęć do ujawnienia aspiracji prezydenckich przez środowiska postsolidarnościowe?

Kwaśniewski – prezydentem, Balcerowicz – premierem, Miller – marszałkiem Sejmu i ojcem chrzestnym historycznego kompromisu... To, oczywiście, byłoby możliwe dopiero po reelekcji Kwaśniewskiego. Porażka prawicy w wyborach prezydenckich, poprzedzona zdobyciem przez lewicę przewagi we władzach samorządowych – do czego, jak

prognozują socjologowie, walnie przyczyni się przesunięcie wyborów gminnych na jesień (oto majstersztyk Millera i Kwaśniewskiego, mają i zwycięstwo wyborcze, i opinię niezależnych polityków!) – byłaby zapowiedzią wygrania przez lewicę kolejnych wyborów parlamentarnych i zapewnienia sobie przez nią pełni władzy nad państwem przez najbliższe pięć, dziesięć lat. Nie wątpię, że w takiej sytuacji Kwaśniewski, sposobiony przez SLD i rząd AWS-UW na przywódcę ponadpartyjnego, nie miałby najmniejszych problemów z uformowaniem rządu SLD-UW.

Zintegrowany politycznie, choć niekoniecznie organizacyjnie, obóz lewicy i centrolewicy jest, oczywiście, pomysłem naturalnym, a nawet legalnym, zwłaszcza przy braku ustaw dekomunizacyjnych. Trochę tylko śmieszny, że u genezy jego przyszłego zwycięstwa leżą aktualne usiłowania polityków polskiej prawicy.

4

ROZWODNICY STANU

(lipiec 1998 r.)

Województw może być piętnaście, a może i dwanaście, albo szesnaście, albo siedemnaście, albo ... ?

Tak mówią politycy, często ci sami wymieniają różne liczby. Nie, nie, proszę się nie niepokoić! Nie zamierzam pisać o reformie terytorialno-administracyjnej kraju. Projektowana reforma jest pozorna niemal od samego swego początku, kiedy racje finansowo-gospodarcze i logistyczne, przemawiające za utworzeniem najwyżej ośmiu regionów i silnych gmin (bez „czapki” powiatów), przegrały z interesami partykularnymi funkcjonariuszy partii i grup urzędniczych. Podobnie już na starcie przegrała reforma służby zdrowia, której istota – po kompromisach i uzgodnieniach międzypartyjnych – ma się sprowadzić do utworzenia dodatkowej administracji w postaci kas chorych. Podobny los grozi reformom w oświacie i ubezpieczeniach społecznych (emeryturach). Co jest przyczyną tych fatalnych zjawisk? Dlaczego nasi politycy zadowolają się ruchami pozornymi (byle pozostał szyld „reforma”), nie rozwiązującymi problemów społecznych i gospodarczych? Czy politycy polscy w ogóle chcą osiągnąć cokolwiek poza samą władzą i związanymi z nią korzyściami? Czy pytają o polską rację stanu i o dobro wspólne obywateli? Dlaczego w działaniu nie kierują się tymi wartościami?

Gdzie są chłopcy z tamtych lat? Nie ma co wspominać niegdysiejszych śniegów, ale choćby Lech Wałęsa – miał koncepcję polityczną i bardzo wiele osiągnął (odsunięcie komunistów od władzy, pierwsze wolne wybory, wycofanie wojsk sowieckich z Polski, przekonanie Clintona, że warto otworzyć Polsce drogę do NATO), ale w latach późniejszych zatracił się jako prezydent i na własne życzenie przegrał wybory

z Kwaśniewskim. Koncepcję polityczną realizował także Tadeusz Mazowiecki. Choć osobiście się z nią nie zgadzałem, to przecież „gruba kreśka” miała swoją logikę i sens polityczny: powolne, bez zagrożenia zbrojnego, obumieranie PRL. Co stokroć zaś ważniejsze, Tadeusz Mazowiecki stworzył skuteczny polityczny parasol ochronny nad reformami gospodarczymi Balcerowicza. Już to jedno przesądza o *summa summarum* pozytywnej ocenie pomysłu politycznego, jaki na państwo polskie miała ekipa Mazowieckiego.

Próbowali swój pomysł na lustrację i dekomunizację przeprowadzić Jarosław Kaczyński i Jan Olszewski i choć nie udało im się, dziś mało kto nie przyznaje tym dwóm politykom racji. Bardzo charakterystyczna jest w tej sprawie zdecydowana zmiana stanowiska Unii Wolności. Podobnie jak zmienia się nastawienie środowisk politycznych do postulowanego przez Kaczyńskiego zaostrzenia postępowania wobec przestępców i budowy bezpiecznego i praworządnego państwa.

Być może jądro establishmentu PRL-owskiego (dysponenci służb specjalnych i finansów) zaplanowało proces transformacji państwa w taki sposób, by zachować w III RP wpływy czy wręcz władzę. A może procesy, które pozwoliły ludziom PRL utrzymać swoje pozycje społeczne, przebiegały w dużej mierze naturalnie i przypadkowo? Nie jest to dla mnie do końca jasne. Ale na pewno ta grupa polityczna odniosła w praktyce najbardziej spektakularny sukces po 1989 r.

Zapewne było jeszcze kilka innych pomysłów politycznych, nie chodzi mi jednak o ich ocalenie dla potomności, ale o prostą konstatację, że niektórzy autorzy tych koncepcji odeszli na polityczną emeryturę (choć zwłaszcza ci z PRL-u, jak myślę, liczą na powrót do aktywności), a ich następcy sprawiają wrażenie, jakby nie wiedzieli, iż pomysł na państwo potrzebny jest ludziom sprawującym władzę albo o nią zabiegającym, walczącym.

Czas biurokratów i disco polo. Taka jest zapewne logika wewnętrzna różnych ruchów społecznych, partii, organizacji, że po pewnym czasie miejsce liderów z charakterem, osobowością, zajmują eksponenci aparatu urzędniczego tych organizacji lub tzw. eksperci. Takie właśnie procesy zaszły w Unii Wolności, gdzie na czoło wysunął się Leszek Balcerowicz (ekspert gospodarczy) w towarzystwie całkowicie bezbarwnych politycznie postaci. W AWS pierwsze skrzypce gra Marian Krzaklewski (mieszanka działacza i urzędnika związkowego, o zadatkach na polityka, ale czas po wyborach tego nie potwierdza), zaś premierem

w imieniu tej formacji został ekspert-inżynier Jerzy Buzek, nowicjusz w polityce, co, niestety, już przyniosło swoje złe owoce w postaci uzależnienia rządu od prezydenta.

Rzecz jasna, świat polityki musi się dostosować do zmieniającej się cywilizacji, a zatem ulec dyktatowi kultury masowej, telewizji i reklamie, czyli kulturze obrazkowej. Lider partyjny jest takim samym towarem do sprzedania jak pasta do zębów czy margaryna. Dlatego na przykład głównym problemem Unii Wolności w kampanii wyborczej było, jak nauczyć Leszka Balcerowicza, żeby się uśmiechał w telewizji. Nie wiem, ile ta świeżo nabyta umiejętność szefa UW przyniosła głosów w wyborach, ale na pewno okazała się pomocna. Inna sprawa, że Balcerowicz tak dobrze nauczył się lekcji, że uśmiecha się również wtedy, gdy mówi słowa przykre, o braku pieniędzy na reformy itp. Czasem wygląda to na naigrywanie się z obywatela.

Aleksander Kwaśniewski tańczy i śpiewa efektywnie wyborczo, a próbował tej metody również Waldemar Pawlak, jednak trudno mu było nabrać lekkości i wdzięku, co zakończyło się katastrofą ubiegłej jesieni. Także najmłodszy polityk polski, tzw. pampersi ze stajni Wiesława Walendziaka, Marka Kempskiego i Ligi Republikańskiej, lubią się prezentować jako ludzie luźni i zabawowi. Nie jest zresztą wykluczone, że to kryterium – luzu i wyszczerzonych, nienagannie równych i białych zębów – winno decydować o wyborze przez poszczególne ugrupowania swoich kandydatów na najbliższe wybory prezydenckie. Może lewicowemu disco polo, Aleksandrowi Kwaśniewskiemu, ma szansę udanie się przeciwstawić jedynie disco polo prawicowe?

Paradoksalnie, luz i disco polo nie kłócą się z biuro- i technokracją. To, co łączy te pozornie odległe od siebie postawy i formacje, to jałowość polityczna, brak myśli szerszej od własnego interesu, brak pytania o dobro wspólne, publiczne, państwowe.

Abecadło na łeb spadło

Zaprawdę, nie jest to zajęcie wdzięczne znęcanie się nad politykami i wypominanie im obietnic wyborczych. Gdy Kwaśniewski ubiegał się o prezydenturę, miał na podorędziu wiele populistycznych obietnic, choćby mieszkania dla młodych. Zwycięzcy wyborów parlamentarnych też kilka rzeczy obiecali, na przykład zmniejszenie podatków, usprawnienie państwa i służb publicznych, przyspieszenie prywatyzacji i reprivatyzacji, zniesienie koncesji w gospodarce. Na razie, niestety, obser-

wujemy tylko gorszący bój o liczbę nowych stanowisk w administracji rządowej i samorządowej, a i tak – niezależnie od wyniku tego boju – wiadomo, iż podatnik będzie miał więcej urzędników do utrzymania. Wynagrodzenia radnych, członków zarządów NFI czy zarządów spółek skarbu państwa osiągają niebotyczną wysokość (jak podała 27 czerwca „Gazeta Wyborcza”, nowy prezes TVP otrzymuje 35 tys. zł miesięcznie!). To wszystko za nasze, podatników, pieniądze... Entuzjaści powołania Ministerstwa Skarbu Państwa przekonują się teraz dowodnie, że może taki urząd powstać i doskonale lekceważyć interes publiczny.

W tym całym gorszącym marazmie politycznym – choć przy objawach aktywności, gdyż w parlamencie są projekty reformy administracyjnej, służby zdrowia, emerytur, oświaty, tyle że są to projekty zmian pozornych, do czego jeszcze wrócę – nie widać, niestety, choćby jednego polityka mającego świadomość, jaka jest sytuacja i mającego pomysł, jak z niej wyjść. Jak wyjść z sytuacji bez wyjścia. Ba, choćby dostrzegającego konieczność poszukiwania takiego wyjścia.

Postkomuniści, rzecz jasna, bardzo krytykują koalicję rządzącą i energicznie wspiera ich w tym prezydent. Tak na marginesie, gdzie są dzisiaj ci wszyscy politycy i komentatorzy pravicowi, którzy snuli wizje przecignięcia prezydenta od SLD do rządu Buzka, i nie chcieli dostrzec, iż podpis prezydenta na ustawie przesuwającej wybory gminne de facto czyni z premiera i koalicji wielkich proszalników wobec pałacu prezydenckiego i SLD...?! Jak jednak pokazała kilkuletnia praktyka, postkomuniści konsekwentnie działają na rzecz państwa słabego, bez koniecznych reform, z wmontowaną nomenklaturą z PRL, z dużym obszarem państwa w gospodarce, gdyż to pozwala wykorzystywać fundusze publiczne do celów partykularnych. Ważne jest dla nich również uniemożliwienie rozliczenia przestępstw z przeszłości (np. FOZZ, masakra na wybrzeżu w 1970 r., zabicie dziewięciu górników w kopalni „Wujek” itd.). Ich krytyka rządu, choć nieraz słuszna, nie prowadzi zatem do korzystnych zmian.

Krytyka radykalnie katolickich środowisk (Radio Maryja), odwołujących się nieraz werbalnie do kategorii interesu narodowego, jest również nie do przyjęcia jak postkomunistów, ponieważ krytycy ci postulują Polskę przeorientowaną z Zachodu na Rosję, co jest sprzeczne z najbardziej podstawową polską racją stanu.

W sumie znikąd nie widać polityka, który nadawałby sens wysiłkowi i pracy codziennej obywateli i rządu. A przecież wydawałoby się, że pytanie o treść dobra wspólnego, określanie celów strategicznych dla

państwa i dróg do nich prowadzących to jest abecadło dla polityka; najpierw pytać, co jest dobre dla Polski, gdzie jest dobro publiczne, interes narodowy, polska racja stanu, a potem proponować obywatelom programy działania. Ale najwyraźniej brakuje nam męża stanu, który by to rozumiał, potrafił zwerbalizować i przekonać do swoich idei wyborców.

Próba odpowiedzi

Idealnym momentem na zadanie pytania, jaka Polska i w jaki sposób oraz propozycję odpowiedzi byłaby kampania prezydencka. Ten rząd, po pierwsze, i tak nie nadaje się do niczego więcej niż proste administrowanie, a i z tym ma kłopoty (żenujące przepychanki Walendziak-Tomaszewski, premier bez własnego zdania, mówiący gładko, ale bez treści, Balcerowicz uważający, że wskaźniki ekonomiczne mogą zastąpić brak polityki gospodarczej i polityki w ogóle). Po drugie, nawet gdyby rząd doznał iluminacji, prezydent oraz SLD i tak ustrzelą go w locie. Bez przejścia władzy prezydenckiej prawica i centroprawica nie ma szans na zreformowanie państwa. Jest zatem chwila czasu, by taki program przygotować i przedstawić obywatelom. Niech później sami wybiorą, czy chcą disco polo (wszystko jedno lewicowe czy prawicowe), czy reformy.

Może jestem lekkomyślny, ale byłbym zadowolony, gdyby z ekranu telewizora przemówił do mnie polityk wiarygodny, bez obciążeń z PRL i nie anonimowy, lecz z przejrzystą przeszłością i zaproponował wspólny wysiłek na rzecz budowy przyzwoitego państwa. A przecież, jak sądzę, III RP ma szanse być państwem przyzwoitym, o ile zostanie pełnoprawnym członkiem NATO i Unii Europejskiej, dokona pełnej prywatyzacji i reprivatyzacji gospodarki, usprawni i zdyscyplinuje finansowo służby publiczne (w tym głównie służbę zdrowia, oświatę, wymiar sprawiedliwości, policję i prokuraturę), uprości system zarządzania państwem, obniży i zreformuje podatki.

Powyższe cele wyznaczają zatem kryteria oceny każdego pomysłu politycznego, publicznego. Nie interesuje nas wówczas na przykład reforma administracyjna będąca kompromisem sił politycznych i powodująca rozrost administracji państwowej i samorządowej, lecz taka, która zakłada osiem regionów, silne gminy i brak powiatów. Nie interesują nas obecne projekty reformy służby zdrowia, gdyż nie poprawią sytuacji pacjenta, a powołają jedynie, jak już wspomniałem, nową administrację w postaci kas chorych. Nie interesują nas też projekty reformy

emerytur, skoro nie poprawią one sytuacji emerytów i osób w najbliższych 10-15 latach przechodzących na emerytury, a i korzyści osób młodszych są dość iluzoryczne. Prawdopodobnie w ogóle nie interesują nas projekty reform przygotowane przez poszczególne środowiska: górnictwa przez górników, oświaty przez nauczycieli, administracji przez urzędników, albowiem ich zasadniczym przesłaniem jest obrona lub wzmocnienie partykularnych przywilejów, obrona interesu ludzi pracujących w tych sektorach, a nie interesu obywateli korzystających z ich usług.

Na propozycje działań pozornych, na projekty reform bez sensu, choć „uzgodnionych” przez siły polityczne, mąż stanu powinien powiedzieć: nie! Nie tylko dlatego, że chciałby pomóc obywatelowi i nie wyrzucać pieniędzy publicznych w błoto, ale przede wszystkim dlatego, iż chciałby pomóc państwu. Nikt przecież nie podaruje nam bezpieczeństwa w NATO i dobrobytu w Unii Europejskiej. Musimy o to w najbliższych latach twardo walczyć. Z tej walki nic dobrego nie wyniknie, jeżeli nasze państwo będzie słabe, rozdierane partyjnie, przeżarte korupcją, o gospodarce dławionej przez administrację państwową i koncesje.

Tak powinien powiedzieć ten mój wymarzony polityk. Nie chcę jednak wchodzić w szczegóły, ponieważ nie jest moim zadaniem pisanie programu wyborczego. Chodzi mi jedynie o zarekomendowanie pewnego sposobu myślenia. Polityk, który chciałby coś zaproponować obywatelom, musi się nauczyć myśleć kategoriami dobra wspólnego, interesem państwowym i przekładać to na interes obywatela. Wejście do NATO i UE? Tak, gdyż bez tego, drogi obywatelu, będziesz żebrakiem Europy, pomiatanym przez silniejszych sąsiadów. Prywatyzacja? Tak, gdyż bez niej będziesz, drogi obywatelu, płacił z własnej kieszeni kolosalne pieniądze na marnotrawcze służby publiczne czy kolosy państwowe typu koleje, energetyka, hutnictwo (taki raport jak Ministerstwa Finansów o marnotrawstwie w służbie zdrowia można z powodzeniem sporządzić na temat oświaty, kolei, górnictwa, a i samego systemu finansowego państwa). A zatem – mówi dalej ten nie istniejący polityk – gdy już przełamiemy, drogi obywatelu, wszelkie partykularyzm i zbudujemy racjonalne, bezpieczne silne państwo, będziesz więcej zarabiał i płacił mniej podatków.

No dobrze, ale gdzie znaleźć takiego męża stanu, który przeciwstawi się wszystkim dla dobra wspólnego i jeszcze wygra wybory?

5

PORADA STAREGO DZIADA

(marzec 2004 r.)

Jak obronić Polskę przed populizmem? Skrzykiwanie się pod hasłem obrony białego człowieka przed barbarzyńcami niewątpliwie poprawia samopoczucie tych, co się skrzykują, ale równie niewątpliwie jest nieskuteczne. Siła populizmu wynika przecież na równi z trudnej sytuacji bytowej wielu Polaków, jak i z obywatelskiego zniesmaczenia niskim poziomem profesjonalnym i etycznym znacznej części elit rządzących. Takie hasło zatem może być odbierane, a już to chytrze podkreśla Andrzej Lepper, jako zмова tych, którzy przez ostatnie lata udowodnili swoją arogancję i niekompetencję. Zmowę przeciw tym, którzy chcieliby fachowo i uczciwie rządzić III RP. Kiedy zatem prezydent Kwaśniewski konsultuje powołanie Marka Belki na premiera ze wszystkimi klubami parlamentarnymi poza Samoobroną, to w istocie wzmacnia tę partię i nastroje populistyczne. Zwycięski marsz odrzuconych na Warszawę staje się w tej sytuacji coraz realniejszy. Odrzuceni obywatele zagłosują na odrzuconych polityków. Odrzucenie bowiem staje się znakiem rozpoznawczym, sztandarem i hasłem, jak również certyfikatem uczciwości i patriotyzmu.

Najpierw pomyśl, durniu

Żeby rozwiązać najpilniejsze polskie problemy potrzebujemy pieniędzy. Możemy je uzyskać z trzech głównych źródeł. Z Unii Europejskiej, dzięki racjonalizacji wydatków publicznych i funkcjonowania państwa oraz dzięki wzrostowi gospodarczemu. Jeśli chodzi o wzrost, to nie jest źle. Zaczynamy szybować w rejonach 4-5% przyrostu PKB rocznie. Módlmy się tylko, żeby politycy nie zaczęli przy tym majdrować.

Finanse publiczne są teraz prześwietlane i choć plan Hausnera robi się coraz bardziej zachowawczy, to jednak można liczyć na pewną poprawę w tej dziedzinie. O racjonalizacji struktur państwowych mało kto myśli. Dźwigamy więc garb rozdętej administracji rządowej, państwowej i samorządowej. Administracja III RP jest nie tylko zbyt duża, ale również, co być może się z tym łączy, mało efektywna, marnotrawna, blokująca inicjatywy gospodarcze i społeczne. Dla uzasadnienia swojej gargantuicznej formy administracja potrzebuje przecież jak największego władztwa w postaci wydawania zezwoleń, certyfikatów, dopuszczeń i innych koncesji. W ten sposób w miejsce prawa konstytucyjnego – wolności gospodarczych, politycznych i społecznych – wkradają się prawo powielaczowe, samowola i uznaniowość. Znakomita pożywka dla korupcji, która niczym rak toczy nasze życie publiczne od gminy do centrali.

Ta rozdęta administracja ma razem z rządem największy grzech na swoim sumieniu: nie przygotowanie struktur naszego państwa do korzystania z pieniędzy Unii Europejskiej. Dotyczy to tak czasu sprzed akcesji, jak i niestety pierwszego roku po przyjęciu Polski do UE. W efekcie, może dojść do sytuacji, że w latach 2004 i 2005 staniemy się w UE płatnikiem netto. Nasza składka bowiem jest niezmienna i wysoka, a możliwości skonsumowania pieniędzy unijnych nader skromne. Przypomnę, że większość funduszy UE wymaga wkładu własnego tych, którzy występują o dofinansowanie. W kasie rządowej i samorządowych są pustki, banki nie są zainteresowane uruchamianiem sensownych kredytów, gdyż żyją głównie z kredytowania deficytu III RP, zapasów kapitałowych w polskiej gospodarce brak. To rodzi uzasadnione obawy czy zdołamy w pierwszych kilkunastu miesiącach członkostwa w UE skorzystać z finansowego zasilania Brukseli.

Już nawet wolę sobie nie wyobrażać, jakie mogłyby być skutki polityczne, gdyby się za rok okazało, że jesteśmy płatnikiem netto! Mogłoby to postawić pod znakiem zapytania historyczne i absolutnie podstawowe dla polskiej racji stanu – osiągnięcia III RP, czyli członkostwo w NATO i UE. O cofnięciu nas do statusu Białorusi zdecydowałyby, o ironio!, demokratyczne wybory anno domini 2005.

Ale jest jeszcze jeden powód, dla którego myślenie o Brukseli powinno stać się wyznacznikiem polskiego myślenia politycznego w ogóle. I taktycznego i strategicznego. Tym powodem są, oczywiście, pieniądze. Wielkie pieniądze. Większe niż te, które nas kiedyś ominęły z Planu Marshalla. Począwszy od 2007 roku są to sumy corocznie rzędu 10-13

miliardów euro. Wszystkie mogą służyć rozwojowi naszej gospodarki i państwa. Jeśli będziemy przygotowani na ich przyjęcie. Bruksela jest gotowa w ramach tzw. polityki spójności, czyli podciągania krajów słabszych ekonomicznie, mniej rozwiniętych do poziomu europejskiej przyzwoitości, do wyasygnowania na ten cel dla Polski 60-80 miliardów euro w latach 2007-2013. Jeśli doliczyć do tego pieniądze rezerwowane dla nas w ramach funduszy strukturalnych, daje nam to co roku sumę, odpowiadającą 4 (czterem) procentom PKB. W ten oto sposób możemy stać się prawdziwym europejskim tygrysem o przyroście rocznym PKB rządu 10 procent! A przecież tak stymulowany wzrost gospodarczy powinien owocować jeszcze większą dynamiką w latach następnych. Jest tylko jeden warunek: musimy być jako państwo przygotowani do racjonalnego wchłonięcia i sensownego wykorzystania tych pieniędzy.

Jeśli zatem mówimy dziś jednym głosem, że nowa polska władza wszystko jedno czy wyłoniona w wyniku porozumienia prezydenta i większości parlamentarnej czy w przedterminowych wyborach – musi przygotować program, ratujący nasz kraj przed populizmem i katastrofą, to odpowiedź nasuwa się sama. Ten program już jest. Punkt pierwszy nie przeszkadzać wzrostowi gospodarczemu, który się właśnie zaczął. Punkt drugi odchudzić państwo i wydatki publiczne. Punkt trzeci przygotować się do wykorzystania pieniędzy unijnych.

Znowu pomyśl, durniu

Czasu nie ma wiele. Do połowy 2005 roku powinien powstać sensowny Narodowy Plan Rozwoju, na podstawie którego Bruksela może wspierać finansowo rozwój III RP. Ten plan, jeśli ma mieć ręce i nogi, wymaga głównie określenia obszarów innowacji w polskiej gospodarce i nauce oraz kształtu polityki regionalnej (redystrybucja czy budowanie samodzielnej zdolności konkurencyjnej?). Trzeba też zdecydować, w jakie dziedziny chcemy inwestować jako zbiorowość, np. czy w edukację czy w infrastrukturę? W sumie, chodzi o to, żeby określić przedsięwzięcia, dzięki którym polski wzrost gospodarczy i przemiany społeczno-infrastrukturalne pozwolą nam wypracować poziom życia (prywatnego i publicznego) zbliżony do średniej europejskiej. Alternatywą jest zmarnotrawienie brukselskich pieniędzy na projekty, służące tylko interesom partykularnym lub przejeżdżenie ich. Apetyty rozmaitych grup interesów są na pewno nieposkromione! Byłaby to satyryczna powtórka epoki Edwarda Gierka.

Narodowemu Planowi Rozwoju zostaną, siłą rzeczy, podporządkowane finanse całego państwa, rządu i samorządu. Przypominam bowiem, że unijne pieniądze mają swoją odwrotną stronę, wymagają od Polski wkładu własnego. Jeśli zatem ten plan uderzy – a skoro ma być sensowny to musi uderzyć – w interesy grupowe, napotka olbrzymi opór. Rząd, który miałby z siebie wykrzesać chęć i energię na tworzenie takiego planu, musiałby dodatkowo mieć siłę do jego politycznego przeforsowania. W obecnie istniejącym parlamencie nie ma szans na utworzenia silnego rządu. Każdy nowy premier i jego nowi ministrowie, wywodzący się z porozumienia obecnych klubów i grup parlamentarnych, byłiby tak jak rząd obecny zakładnikiem grup i grup, myślących tylko o własnych, doraźnych korzyściach. Nie mieliby głowy, chęci ani siły do tworzenia Narodowego Planu Rozwoju. Myśleliby tylko o wyborach.

Praktycznie, na gruncie Konstytucji, są jeszcze możliwe dwa rozwiązania. Rząd prezydencki i przedterminowe wybory. Oba są obciążone ryzykiem i oba mają zalety. Po kolei.

Teoretycznie jest możliwe, że prezydent Kwaśniewski wysuwając pomysł z rządem premiera Belki chce właśnie doprowadzić do powstania rządu bezpartyjnych i niepolitycznych fachowców. Taki rząd, gdyby rzeczywiście odpowiadał swojej nazwie (fachowcy!), mógłby stworzyć sensowny Narodowy Plan Rozwoju i przygotować Polskę do czerpania korzyści z członkostwa w UE. Wówczas wybory odbyłyby się wiosną czy jesienią 2005 r. Nie kryłyby w sobie ryzyka zwycięstwa populizmu. Jednak na taki właśnie rząd nic w tej chwili nie wskazuje. Prezydent mówi: albo Belka albo wybory, co wbrew pozorom wcale nie świadczy o jego sile, tylko o słabości. Znaczy to bowiem, że prezydent może tylko parlamentarzystów straszyć, a wpłynąć politycznie, przekonać, nie ma czym i jak. Dlatego też prezydent będzie musiał iść na ustępstwa wobec parlamentu, gdyż wyborów w tym roku boi się chyba nie mniej niż posłowie. A to oznacza w praktyce, że powstanie rząd mieszany, trochę bezpartyjnych, większość partyjnych. Pytanie za złotówkę: kto będzie rządził taki rządem? Po drugie zaś tak utworzony rząd nie ma szans na zatwierdzenie niezbędnych ustaw w parlamencie. Czas do nowych wyborów będzie więc czasem dryfowania.

I jeszcze raz pomysł, durniu

Oczywiście, te polityczne puzzle nie dadzą się tak łatwo ułożyć. Zapewne dla Polski w obecnej sytuacji najlepszy byłby absolutyzm

oświecony. Oświecony dlatego, żeby polskie działania miały sens, absolutyzm, żeby je narzucić wszystkim siłom kierowniczym i politycznym w państwie. Ale żyjemy w rozchwianej i skorumpowanej demokracji. III RP jest na tyle słaba, że nie ma siły nawet myśleć o własnej przyszłości, nie mówiąc już o programowaniu potrzebnych działań czy o samych działaniach wreszcie. Trzeba więc bazować na tych ruchomych piaskach, które jeszcze istnieją w polskiej polityce demokratycznej, nim nastąpi era populizmu. Moim zdaniem, nieuchronna, jeśli wybory odbędą się w terminie konstytucyjnym, a do wyborów będzie sprawował władzę rząd partyjny wyłoniony z obecnego parlamentu.

Wcześniejsze wybory i kampania z nimi związana na pewno nie wyeliminują populizmu. Zapewne obywatele zostaną wręcz zasypani obietnicami bez pokrycia. Im jednak wcześniej III RP ustabilizuje swój układ rządzący na kursie wspomaganie gospodarki, odchudzania państwa i racjonalnego czerpania korzyści z UE, tym wcześniej populiści odejdą tam gdzie ich miejsce – na śmietnik. Bez przedterminowych wyborów może stać się to szansą nieziszczoną. Cała zaś obecna kampania antypopulistyczna, choć potrzebna jako alarm, będzie tyle warta, ile jest zwykle warta propaganda. **Czyli nic.**

6

PRZECIWIW JAWNOŚCI

(marzec 2004 r.)

W mass mediach dużo jest ostatnio doniesień o polskich służbach specjalnych. Analizuje się wzajemne stosunki między Wojskowymi Służbami Informacyjnymi a Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Ocenia pracę służb przy przetargu na wyposażenie i uzbrojenie armii irackiej. Mówi się także o domniemanych nadużyciach finansowych w Centralnym Biurze Śledczym. Wszystko to budzi zaniepokojenie opinii publicznej. Moim zdaniem jednak, najgorsze w tych zdarzeniach jest to, że temat stał się publiczny, a służby tajne przekształciły się w jak najbardziej jawne. Świadczy to bowiem, że stan bezpieczeństwa III RP jest gorzej niż zły.

Normalny obywatel, nawet jeśli naczytał się powieści Johna Le Carré, ma nadzieję, że służby tajne w państwie demokratycznym służą dobru ogólnemu, a na pewno interesom państwa. Oczywiście, cywilna (czytaj: polityczna, z mandatu demokratycznego) kontrola nad strukturami wywiadu, kontrwywiadu, walki z przemytem narkotyków, broni, terroryzmem, mafią i przestępczością zorganizowaną nie jest w demokracji prosta. W Polsce w tej sferze chyba najbardziej daje się we znaki brak służby cywilnej, jako elementu zapewniającego aparatowi państwowemu profesjonalne działanie niezależnie od zmieniających się rządów. Kontrola nad służbami specjalnymi powinna być przy tym wnikliwa, ale przecież nie jawna, nie publiczna i w tym sensie nie tak demokratyczna jak chciałoby mass media i opozycja parlamentarna. W służbach pracować powinni ludzie, kierujący się bardziej racjami państwowymi niż partyjnymi. Nieosiągalny ideał? U nas, jak na razie, niestety, tak.

Służby oznaczają wpływy, pieniądze, informacje. To rodzi nieraz pokusę manipulacji, prowokacji, gry na własny rachunek, ponad prawem

i poza państwem. Tym bardziej, że manipulacja i prowokacja to zwyczajne techniki operacyjne służb. Jeśli prowadzi się operacje przeciw mafii, które wymagają m.in. wprowadzenia agentów do środka struktur przestępczych, nawiązania kontaktów z przestępcami, rozgrywania jednych grup przeciw drugim, prowokacji i manipulacji, otwiera się jednocześnie drzwi, którymi mafia może próbować dotrzeć do instytucji państwowych ją zwalczających. Wielkie pieniądze działają w sposób bardzo zorganizowany, niezależnie od źródła swego pochodzenia. I mają wiele uroku dla funkcjonariuszy służb, partii politycznych, wysokich urzędników państwowych.

Ciągłość specjalna

Jeśli chodzi o Polskę warto pamiętać, że nasze obecne służby specjalne są zakorzenione w poprzednim ustroju. Oznacza to nie tylko ewentualne związki z rosyjskimi służbami specjalnymi (przypomnijmy zastanawiającą łatwość w werbowaniu przez Moskwę agentów wśród oficerów WSI), ale również istnienie pępowiny, łączącej polski świat przestępczy z polskimi służbami. Nie jest przecież tajemnicą, że rozmaite Pruszkowy i Wołominy wyrosły spośród grup przestępczych infiltrowanych przez PRL-owską bezpiekę. Dobrą ilustracją przenikania się sfery przestępczej ze służbami i sferą polityczną są życiorysy choćby Aleksandra Gawronika i Ireneusza Sekuły. W PRL hierarchia była jasno określona: przestępcy mogli działać tylko w takim zakresie, w jakim uzyskiwali (niektórzy) koncesję służb. To technika pracy stosowana również w państwach demokratycznych, kiedy policja ściga przestępczość groźniejszą dla państwa (np. terroryzm, narkotyki), przy pomocy układania się z przestępcami mniej groźnymi. W naszym jednak wypadku, zachodzi podejrzenie, że na nowo po 1989 roku ułożone relacje między światem przestępczym, a służbami specjalnymi i aparatem państwowym, mają również odniesienia międzynarodowe śmiertelnie niebezpieczne dla III RP. Chodzi tu głównie o transfer przez ówczesnie sowieckie, a dziś rosyjskie, służby specjalne olbrzymich pieniędzy na Zachód, między innymi przy wykorzystaniu organizacji przestępczych. Pieniądze te wracają do krajów byłego imperium, w tym do Polski, np. pod szyldem firm z rajów podatkowych i legalnie wchodzą w obieg naszej gospodarki. Można podejrzewać, że pieniądze te nadal pracują dla Moskwy, nawet, jeśli ich część została po prostu zdefraudowana przez byłych funkcjonariuszy ZSRR. Pieniądze te mogły być także użyte dla

wspomożenia powstającej polskiej oligarchii. Kierownictwo polityczne i aparat państwowy III RP na dobrą sprawę nigdy nie były zainteresowane, a zapewne były również po temu zbyt słabe, wyjaśnieniem oszalamiających karier wielu biznesmenów czy grup kapitałowych.

Służbowe przemiany

Można założyć, że amerykańskie służby specjalne zadbały przynajmniej o neutralizację wpływów rosyjskich w Polsce. Na pewno zaś, wyeliminowały lub odwróciły część agentury i zbudowały swoje własne wpływy w polskich służbach. Temu m.in. służyły NATO-wskie certyfikaty, zezwalające wysokim urzędnikom na dostęp do tajemnic, tak naprawdę jedyny w Polsce instrument lustracji.

Jednak działania nie suwerenne mają z punktu widzenia polskiej racji stanu wadę. O ile bowiem podporządkowanie Waszyngtonowi najważniejszych układów władzy w Polsce (w tym, służb oraz obiegu pieniądza) było do czasu wstąpienia Polski do NATO i UE zgodne z naszym najżywoźniejszym interesem narodowym. Ba wręcz warunkowało członkostwo i w NATO i w UE, co jest przecież fundamentem bezpieczeństwa Polski na wiele lat! O tyle, dzisiaj sytuacja zaczyna ulegać zmianie. Sojusz, ścisły sojusz z USA, to nadal główna wytyczna polskiej racji stanu, jednak można go oprzeć na o wiele zdrowszych podstawach, na partnerstwie suwerennych państw, z których jedno odgrywa zasadniczą rolę w świecie, a drugie może być elementem proamerykańskiej stabilizacji w Europie. Odczuwamy już złe skutki wasalnego wobec USA pojmowania polityki zagranicznej przez obecny rząd. Mamy bardzo trudną sytuację polityczną w UE, a brakuje nam wsparcia, również gospodarczego, ze strony Waszyngtonu. Przypomnę, że parę lat temu Amerykanie umorzyli nam znaczną część zadłużenia w zamian, a niektórzy twierdzą, że pod pretekstem, za wywiezienie przez nasze tajne służby ich agentów z Iraku. Dziś woli politycznej tego rodzaju odpłaty, mimo naszych starań sojuszniczych, wojskowych i sił specjalnych, nie widać. A politycy polscy koncentrują się na sprawach proceduralnych, bez głębszego znaczenia, o wymowie ledwie propagandowej, czyli na zniesieniu wiz dla Polaków, jadących do USA. Byłoby fatalnie dla naszego interesu państwowego, gdyby złagodzenie, a nawet zniesienie, reżimu wizowego dla naszych obywateli ze strony władz USA, stało się główną zapłatą za zaangażowanie III RP po stronie Waszyngtonu w Iraku i w Europie. Mówiąc w pewnym skrócie myślowym, to że Leszek

Miller ściśle współdziałał z Amerykanami i kilka lat temu torował drogę powrotu do Polski pułkownikowi Kuklińskiemu było niewątpliwie działaniem na rzecz polskiej racji stanu, ale to, że dziś zadowala się werbalnym poparciem Amerykanów, aby tylko wzmocnić swoją pozycję wewnętrzną, jest działaniem z naszą racją stanu sprzecznym. I można tu zadać pytanie, czy aby na postawę nadmiernie wasalną wobec USA polskiej polityki zagranicznej nie ma wpływu odwrócenie przez Amerykanów agentury moskiewskiej?

Powtórzę, nie krytykuję sojuszu, ścisłego sojuszu, z USA. Uważam, że polską racją stanu jest polityka proamerykańska. Naszą rolą w Europie jest przyczynianie się do budowy jedności euroatlantyckiej, ponieważ to jest prawdziwy fundament bezpieczeństwa naszego państwa na dziesiątki lat. Złudą – gorzej niż zbrodnią, gdyż błędem – byłoby współdziałanie z tymi politykami europejskimi, którzy usiłują zbudować mocarstwo Europa obok, czy wręcz przeciw, USA. Jeśli Atlantyk nie stanie się morzem wewnętrznym mocarstwa Zachód, to za 10-20 lat Chiny mogą próbować odebrać Waszyngtonowi jego dzisiejszą pozycję, także przy pomocy UE, która już planuje export broni do tego państwa. Porównując systemy polityczne i systemy wartości USA i Chin, nie mamy chyba wątpliwości, gdzie jest nasze miejsce. Separatyzm europejski, podsycany umiejętnie przez Rosję, jest zatem potencjalnym zagrożeniem dla III RP. Wpływy rosyjskie w Polsce mogą się odbudowywać w uniformie Europejczyków.

Tajne, nie jawne

Niezależnie od tego, lepiej dla naszego państwa by było, gdyby służby specjalne stały się profesjonalne. Warunkiem tego jest profesjonalizacja państwa i polityków, używających jego instytucji. Trzeba bowiem zapewnić służbom możliwość skutecznego działania w interesie państwa i mieć gwarancje, że służby nie uwolnią się z rygorów tego interesu. Jest dla mnie czymś nie do zaakceptowania, że mass media ujawniają życie wewnętrzne służb specjalnych i agend typu CBŚ. Nie dlatego, że mam coś przeciwko wścibstwu dziennikarzy, ale dlatego, że tego rodzaju przecieki do mediów są możliwe tylko w sytuacji konfliktów i walki o wpływy i stanowiska w tych służbach. Autorami przecieków są albo oficerowie i decydenci tych służb, albo politycy, będący u władzy. Mass media są tylko wykorzystywane do gier, których cel często nie jest dla nich jasny. We współczesnej demokracji, która ma w dużej mierze charakter

medialny (stąd m.in. teza o mass mediach jako czwartej władzy), manipulacja czy prowokacja bywa nader skuteczna, gdy jest konstruowana przy pomocy przecieków sterowanych. Gdy obserwuję teraz zamieszanie wokół przetargu na wyposażenie armii irackiej, to zastanawiam się, czy z tego publicznego magla na temat działania służb w tej sprawie, wyjdziemy jako państwo z kontraktami dla przemysłu zbrojeniowego czy też całkowicie wypadniemy z gry?

Państwo musi sobie zapewnić lojalność służb, to oczywiste. Na pewno też nawet w państwach o ustabilizowanej demokracji służby podlegają rozmaitym patologiom. Ale remedium na te patologie są ciche zmiany kadrowe i bezszmerowe odsuwanie lub nawet utajnione wymierzanie sprawiedliwości przestępcom, szkodnikom i głupcom. Im dalej od telewizyjnych kamer, tym lepiej. Służby działają przecież w sprawach i obszarach najważniejszych, najbardziej newralgicznych, dla interesu III RP. Tak przynajmniej powinno być. Jeśli np. zawaliły coś przy kontrakcie irackim, to niech premier i prezydent dokonają stosownej czystki. Ale jeśli celem było otrzymanie zamówień, to dla III RP jest bez znaczenia, które służby okazały się sprawniejsze. Za to jest karygodne wykorzystywanie irackiego przetargu do publicznego prania brudów.

Obecne służby wymagają radykalnych reform. To nie ulega wątpliwości, choćby ze względu na ilość przecieków z tych służb do mediów, a także ze względu na gry polityczne, w których biorą one udział jako przedmiot lub podmiot. Gdyby władze państwowe dokonały ucywilizowania służb specjalnych, poddały je tajnej kontroli przedstawicieli największych partii w parlamencie, to jako obywatel czułbym się spokojniejszy. Niech spotykają się np. posłowie Lewandowski, Miodowicz, Wasserman i kto tam jeszcze jest w sejmowej komisji ds. spraw służb specjalnych i pilnują prawa, przestrzegania procedur i realizacji konstytucyjnych obowiązków tajnych agend naszego państwa. Niech też spotykają się nieznanymi dziennikarzom i opinii publicznej wysocy urzędnicy z ważnych instytucji państwowych i niech pilnują, żeby służby działały skutecznie na rzecz interesu III RP. Ja, jako obywatel, nie chciałbym o służbach specjalnych wiedzieć nic więcej ponad nazwisko, kierującego nimi i odpowiadającego konstytucyjnie za ich działania lub zaniechania ministra.

7

WYSSANE Z PALCA

(maj 2004 r.)

Wojskowe służby specjalne występują w państwie na plan pierwszy. Premier Belka liczy na pieniądze od Amerykanów. Prezydent Kwaśniewski chce na sukcesie rządu Belki zbudować nowy obóz lewicy. Partie polityczne szykują się do przyszłych koalicji parlamentarno-rządowych, tak, aby być najbardziej obrotowe i elastyczne. Powstanie rządu prawicowego po najbliższych wyborach wcale nie jest przesądzone. Jednocześnie, w gospodarce trwa bezpardonowa walka o atrakcyjne rynki, będące jeszcze w dużej mierze w gestii państwa, jak np. energetyka i przemysł paliwowy. Walka ta odbywa się z udziałem rosyjskich inwestorów, zaprzęgniętych przez Putina do realizacji państwowych interesów Rosji. Mass media też grają w polskiej polityce rolę znaczącą, choć nie zawsze wiedzą, czyją.

Już te, wymienione w telegraficznym skrócie, wydarzenia i procesy, zachodzące ostatnio w polskiej polityce, pokazują na jak ruchomych piaskach oparte są wszelkie prognozy, co do przyszłości III RP. Jednak zaryzykuję przedstawienie pewnego scenariusza wydarzeń politycznych. Elementy tego scenariusza są obecnie próbowane w praktyce przez Grupę Trzymającą Władzę.

Biały koń lewicy

Przez parę lat po drugiej wojnie światowej, Polacy liczyli na interwencję Zachodu, która miała ich wyzwolić spod sowieckiej okupacji. Wyobrażano sobie generała Andersa, jak na białym koniu prowadzi defiladę zwycięstwa w wolnej Warszawie. Dzisiejszy obóz lewicowy też liczy na cud z Zachodu. Władza ma się uratować przy pomocy pienię-

dzy z Waszyngtonu i Brukseli. Premier Marek Belka na różnych spotkaniach puszcza oko z mniej więcej takim przesłaniem: jestem człowiekiem zaufania Amerykanów, sprawdzonym w Iraku, mam gwarancje, że do Warszawy spłynie rzeka dolarów np. z tytułu offsetu związanego z zakupem samolotów F16, ale nie tylko pod tym pretekstem. Amerykanie będą nas wzmacniać ponieważ po rejteradzie Hiszpanów, osłabła ich pozycja w Europie, chcą przy naszym udziale tę pozycję poprawić. Millera woleli już nie zasilać, gdyż według ich oceny jego rząd zbyt się uwikłał w niejasne interesy i działania; nie miał więc szans na utrzymanie się. To będą duże pieniądze, niemal drugi plan Marshalla. Poza tym, dostaniemy pieniądze z Brukseli, ponieważ umiejętnie wykorzystamy istniejące tam fundusze.

W tej sytuacji, co oczywiste, obóz lewicy nie spieszy się do wyborów, mając przed sobą szansę na odwrócenie negatywnych notowań w sondażach opinii publicznej. Niewątpliwie bowiem ożywienie gospodarcze i powszechna poprawa warunków bytowych ludzi musiała by wywołać uczucie wdzięczności wobec rządu. Już samo wypłacenie przez Brukselę na przełomie lat 2004 i 2005 dotacji dla wielu milionów rolników, może znacząco wpłynąć na zmianę w rankingach popularności partii i polityków.

Sugestie Belki mają cechy prawdopodobieństwa. Po pierwsze, gdyby Waszyngton prowadził racjonalną politykę, to jednym z jej instrumentów powinno być wzmacnianie europejskich sojuszników USA. Polska należy w Europie do państw szczególnego znaczenia dla Amerykanów. Po drugie, rzeczywiście można uzyskać z Brukseli znaczące pieniądze, pod warunkiem sensownych działań polskiego rządu i aparatu państwowego. No i po trzecie, o czym premier Belka już się nie zająknął, w konstruowaniu nowej ekipy rządowej zaangażowały się bezpośrednio Wojskowe Służby Informacyjne. Najbliższym współpracownikiem premiera, szefem jego kancelarii, jest Sławomir Cytrycki, człowiek WSI, które ostatnie miesiące spędził w Waszyngtonie, dogadując z Amerykanami ich przedsięwzięcia gospodarcze w Polsce.

Gdzie pieniądze i władza

Ostatnio wiele powiedziano o znaczącej roli WSI w III RP. Nie jest to zjawisko nowe. Po objęciu w 1981r. urzędu premiera przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego, a przez gen. Kiszczaka resortu spraw wewnętrznych, wojsko i wojskowe służby specjalne zaczęły bezpośrednio działać

w strukturach państwowych. Służba bezpieczeństwa znalazła się na drugim planie. Stan wojenny utrwalił tę sytuację. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych, WSW (poprzednia nazwa WSI) kontrolowało wszelkie inicjatywy polityczne i przedsięwzięcia biznesowe. Tzw. firmy polonijne, które były jaskółką kapitalizmu w Polsce, kariery biznesowe ludzi, którzy są obecnie władcami wielkich firm, stypendia zagraniczne, które dały początek karierom politycznych ważnych ludzi lewicy, stanowiły obszar co najmniej uważnej obserwacji i kontroli ze strony wojskówek. Co nie znaczy, że SB wycofała się z gry na tych obszarach. Po 1989 r. ludzie WSI byli obecni przy każdej większej prywatyzacji. Bezkarnie handlowali bronią. Wiele mówi o procesie polskiej transformacji fakt, że szef Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego miał swojego oficera prowadzącego z WSI. FOZZ, jak dużo na to wskazuje, był jednym z kanałów przerzutowych pieniędzy służb specjalnych imperium sowieckiego. Pieniądze te wróciły później do krajów byłego imperium już jako „kapitalistyczne”. Wojskówka niewątpliwie była mężem zaufania sowietów na terytorium Polski. Zauważmy, że jak wynika z niedawnych doniesień Rzeczpospolitej po powstaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego, doszło wprawdzie do ostrożnych zmian w MSW, ale premier zgodził się na warunek ministra Obrony Narodowej, zaufanego człowieka Jaruzelskiego, gen. Floriana Siwickiego, żeby nie ruszać WSW. I nikt ich nigdy nie ruszył. Ani żaden rząd III RP, ani żaden prezydent.

WSI, jako instytucja, mają olbrzymią wiedzę o pieniądzach w III RP. Można się spodziewać, że nie tylko przyglądali się temu jak państwowe zmieniało się w prywatne, czy temu jak zagraniczne wchodziło do gospodarki krajowej. Myślę, że dzięki swojej wiedzy i swoim ludziom lub współpracownikom lepiej kontrolują obieg pieniądza w Polsce niż Leszek Balcerowicz ze swoim NBP.

Politycznie wojskówka opierała się na centrali moskiewskiej. W PRL-u najpierw na Jaruzelskim i Kiszczaku, później uzyskali désinteressment Mazowieckiego, następnie wsparcie ze strony prezydenta Lecha Wałęsy. Po rozkładzie ZSRR, a zwłaszcza w wyniku szykowania Polski do przyjęcia do NATO, oddali swoje usługi Amerykanom. Okazali się bardzo przydatni, zwłaszcza na Bliskim Wschodzie. Ich pozycja polityczna w III RP stała się silna i autonomiczna wobec władz cywilnych. Siła WSI wynika również z konstytucyjnego podziału władzy wykonawczej między rząd i prezydenta. Wojsko, a zatem WSI, są w znacznej mierze w domenie prezydenta RP. Prezydent nie chce żadnych ograniczeń służb wojskowych, traktując je jako swoje. Dlatego

między innymi ostatnia reforma służb specjalnych była tak pokraczna i nieudana. Wydaje się, że WSI stoi za niejedną karierą polityczną i biznesową w III RP, mass mediów z tego nie wyłączając.

Jednak jawne działania gen. Dukaczewskiego oraz zajęcie czołowej pozycji w rządzie Belki przez Cytryckiego wskazują, że WSI przestaje z ukrycia wpływać na politykę. Nadeszła widać pora, gdy wszystkie ręce trzeba rzucić na pokład.

Do mnie, dzieci prezydenta!

Ambicje i plany polityczne prezydenta Kwaśniewskiego są dziś w dużej mierze sprzęgnięte ze zjawiskami groźnymi dla III RP. Żeby ratować Grupę Trzymającą Władzę i jej panowanie w państwie, prezydent mobilizuje całe swoje zaplecze i wpływy. Używa też straszaka w postaci populizmu. Ta operacja może mu się udać. Aleksander Kwaśniewski to doświadczony gracz. Przeprowadził partię postkomunistyczną przez najtrudniejszy dla niej okres początku lat 90-tych. Ale jego atutem są nie tylko umiejętności praktyczne. Mało kto już pamięta, że zwieńczeniem kariery Kwaśniewskiego w PRL-u była funkcja ministra sportu. W sowieckiej praktyce politycznej, wszystkie instytucje nakierowane na zagranicę (centrale handlowe, biura turystyczne, federacje sportowe itp., itd.) były infiltrowane i wykorzystywane przez służby specjalne, głównie wojskowe, GRU w ZSRR i WSW w PRL-u. Minister Sportu musiał być człowiekiem zaufania nie tylko kierownictwa partyjnego i nie tylko w kraju. Tak naprawdę, pozycja polityczna Kwaśniewskiego była o niebo wyższa niż by to wynikało z samej funkcji, formalnie nisko usytuowanej w hierarchii państwowej. Po tej przeszłości prezydenta, znaczonej dobrą współpracą z wojskówką, nie dziwi tłumna obecność oficerów i współpracowników WSI w jego Pałacu. Nie dziwi też, że gdy dziś Kwaśniewski musi sam zbudować rząd i zyskać dla niego poparcie parlamentarne, sięga po zaufanych ludzi z WSI. Po pierwsze, dlatego, że wielu działaczy SLD spaliło się publicznie korupcją i nieudolnością. Po drugie ponieważ Amerykanie chcą mieć gwarancje, że pieniądze, które wpompują w III RP nie zostaną ze szczerem rozkradzione i zmarnotrawione. Ludzie z wojskówki, to nie jest legion uczciwych poczciwców, zbawiających Ojczyznę, jednak Waszyngton widzi ich zapewne zgodnie ze sformułowaną tam niegdyś przy innej okazji regułą: to są wprawdzie sukinsyny, ale to nasze sukinsyny!

Polityczny plan Kwaśniewskiego jest przejrzysty. Belka ściąga pienią-

dze od Amerykanów i z Brukseli. Żeby nie był poddany destrukcji przez gry parlamentarne, ma oparcie w kadrach WSI. W ciągu roku następuje poprawa gospodarcza i poziomu życia ludzi. Belka startuje w wyborach prezydenckich 2005 r., a Kwaśniewski staje na czele obozu lewicy, który powstanie z różnych ugrupowań po wyborach parlamentarnych w 2005 r. Jeśli Belce się nie uda, do gry wkracza Oleksy. Nieprzypadkowo z wyścigu prezydenckiego zrezygnowała Jolanta Kwaśniewska. Dzięki temu prezydent ma otwarte pole do zawierania sojuszy i do konstruowania obozu lewicy, oczywiście odnowionego programowo i personalnie. WSI, po wykonaniu tej trudnej operacji, znów wraca na zaplecze.

Tymczasem, prawica...

szykuje się do objęcia rządów. Właściwie, w tej grze wszystkie ugrupowania prawicowe są zakładnikiem Platformy Obywatelskiej i jej wyniku wyborczego. Najpewniej, PO nie utrzyma swoich wysokich notowań. Świadczy o tym choćby znaczący spadek popularności Jana Rokity, gdy przestała pracować sejmowa komisja śledcza. Tusk, Gilowska i Rokita nie mają nowego pomysłu na ofensywę polityczną PO, to zaś co zaproponowali – wojna z Samoobroną – okazało się golem samobójczym. Trzeba więc będzie, po wyborach, tworzyć koalicję. W wariantcie centrowo-prawicowym, w koalicji mogą wziąć udział PO, PiS, LPR oraz, jeśli wejdą do parlamentu, Inicjatywa Centrum Zbigniewa Religi i Unia Wolności. Ta ostatnia może dogadać się z PO bez pośredników. Jednak bez pośrednictwa Jarosław Kaczyńskiego trudno będzie zszyć PO z LPR-em. Jeśli konieczność takiego połączenia wyznaczy arytmetyka parlamentarna, to PiS jako łącznik między Tuskiem i Giertychem, stanie się posiadaczem złotej akcji. Dlatego do wyborów będziemy obserwować stałe zbliżanie się PiS do LPR i szorstką przyjaźń z PO. Podobne są, zapewne, kalkulacje Inicjatywy Centrum. Uzyskać 6-7% głosów w wyborach i zyskać status cennego koalicjanta wobec PO, tak aby PO mogło stworzyć koalicję bez udziału LPR. Złota akcja z rąk Kaczyńskiego przeszłaby wówczas w posiadanie Religi.

Im jednak później odbędą się wybory parlamentarne, tym mniejsze szanse prawicy na ich wygranie. Albo bowiem Belka odniesie sukces i dzięki temu Kwaśniewski powtórnie uratuje lewicę w III RP, albo przy dalszym dryfowaniu rządu i państwa głosy zyska Lepper. W jednym i drugim wariantcie, może się okazać, że jedyną możliwością utworzenia rządu jest koalicja PO i lewicy. Front antylepperowski wytyczony już

przez Tuska i Kwaśniewskiego stanie się naturalną podstawą tak powstałego rządu. Oczywiście, nie z Rokitą jako premierem, ale może np. z Janem Krzysztofem Bieleckim, jako człowiekiem, którego wszystkie strony koalicji mogą uznać za bezpartyjnego fachowca?

Prawica zatem, choć szykuje się do władzy, może znowu obejść się smakiem. Nikomu nie trzeba przecież tłumaczyć, że rząd PO plus lewica – powstały przy udziale Kwaśniewskiego i Olechowskiego (współpracownik służb specjalnych MSW), to całkiem inny rząd niż przy udziale Rokity i Kaczyńskiego. Choć w jednej i w drugiej koalicji partią wiodącą będzie Platforma Obywatelska.

Stawiam euro przeciw orzechom, że te wszystkie obroty w polskiej polityce przyniosą skutki zgodne z maksymą starego księcia z powieści Tomasi di Lampedusy *Lampart*. Trzeba nieraz zmienić wszystko, żeby nic nie uległo zmianie. Grupa Trzymająca Władzę może spać spokojnie.

8

NIC NOWEGO

(wrzesień 2004 r.)

Miotanie się personalne pana premiera Belki (podwójny skandal w ministerstwie Sprawiedliwości!) wyraźnie pokazuje, że jest on zakładnikiem dotychczasowego układu politycznego. Wbrew wrażeniu, jakie starał się stworzyć na początku swojego urzędowania. Nie widać też żadnych sukcesów pana premiera w Waszyngtonie, Berlinie i Paryżu. Znosi się na to, że obecny rząd tak, jak to przewidywało wiele osób w momencie, gdy powstawał, ma po prostu trwać, czekając na cud odwrócenia się niekorzystnych dla lewicy notowań w sondażach wyborczych. Nie ma zamiaru i nie będzie porywał się na żadne polskie problemy, wymagające pilnego rozwiązania. Po raz kolejny tracimy czas.

Nadzieja jednak, że po najbliższych wyborach dojdzie w wyniku powstania nowego prawicowego rządu do gruntownej poprawy III RP jest zaklinaniem rzeczywistości. Wszystkie prognozy rezultatów wyborów parlamentarnych wskazują, że będziemy mieli do czynienia z rządem koalicyjnym, i to raczej trzy niż dwupartyjnym. Wchodzące w tej chwili w rachubę partie (PO, PiS i LPR) różnią się znacznie, a nieraz i zasadniczo, w swoim podejściu do państwa i gospodarki. A to oznacza, że powstanie rząd, którego podstawą będzie kompromis programowy. Jeśli tak, to warto spytać, jakie problemy muszą być w tym przyszłym kompromisie dostrzeżone i sensownie rozwiązane, aby nie dopuścić do dalszego dryfowania Polski. Bez sformułowania odpowiedzi jest wielce prawdopodobny rząd dla samego rządu, czyli to, czego dotkliwie doświadczamy od ostatnich wyborów.

Ten swoisty plan minimum, ale i realnie rzecz biorąc maksimum jednocześnie warto „przyłożyć” do poszczególnych partii i ich zdolności koalicyjnych, nim się odda głos w wyborach. Oto miarka, jakiej proponuję użyć.

Chińczyki trzymają się mocno...

a my coraz słabiej. Nasza polityka zagraniczna w ostatnich miesiącach bez słowa wyjaśnienia i dyskusji, nie mówiąc już o zmianie ministra od tych spraw, zaczęła sterować w innym kierunku niż dotychczas. Z równie oplakanyimi rezultatami, niestety. Rząd Millera związał się ściśle z USA. To była trafna decyzja, wynikająca z naszej racji stanu, wynikająca również z naszego członkostwa w NATO. Jednak po największych sukcesach III RP, czyli wstąpieniu do NATO i do UE, rząd spoczął na laurach. Wobec Waszyngtonu od paru lat, a wobec Niemiec i Francji od paru miesięcy zachowujemy się wasalnie. Żeby było śmieszniej, co jakiś czas publicznie grozimy paluszkami przywódcom tych państw. W tym histerycznym miotaniu się od poddaństwa wobec Waszyngtonu do poddaństwa wobec Paryża i Berlina ujawnia się brak w ośrodku państwowym głębszej myśli w sprawach międzynarodowych.

Tymczasem, wbrew temu, co rozmaici, głównie lewicowi, politycy i publicyści wmawiali opinii publicznej przez ostatnie lata naszym problemem jest to, co od wieków nim było. Niemcy i Rosja. Ekspansjonizm niemiecki, choć trzymany w ryzach przez Amerykanów, przez prawo i instytucje państwa demokratycznego, jednak daje czasem o sobie znać, czego ostatnio doświadczyliśmy w sprawie roszczeń wysiedleńców i konstytucji europejskiej. Gdy USA ograniczą swoją obecność w Europie, Berlin może jeszcze dobitniej zaznaczyć, kto tak naprawdę rządzi na naszym kontynencie. Nieskrywana, a dla Polaków groźna, miłość Niemiec i Francji do Rosji jest przecież dążeniem do podzielenia się przez te kraje władzą w tym rejonie świata i odsunięcia USA. Przywódcy Francji i Niemiec odsądzają od czci i wiary prezydenta Busha za to, że wojując z terroryzmem wkroczył do Iraku i obalił tam dyktaturę. Popierają zaś prezydenta Putina za to, że prowadzi ludobójczą wojnę w Czeczenii, której celem jest likwidacja całego narodu. Trudno o większą hipokryzję. Czego się jednak nie robi dla realizacji własnych ambicji politycznych!

Tragedia w Biesłanie, mająca cechy prowokacji w stylu carskiej „ochrony” czy sowieckiej bezpieki, nie zmieniła stanowiska Schroedera i Chiraka. Co gorsza, Biesłan pokazał, że Putin ma tylko jeden cel: odbudować imperium, wrócić do gry międzynarodowej, trzymać wszystkich za twarz. „Dosyć już tych uniesień, trzeba wreszcie zacząć kierować się rozsądkiem. Wszystko to razem wzięte, ta cała zagranica, ta cała wasza Europa, to tylko fantazja, nic więcej; i my wszyscy za granicą to

tylko fantazja...niech pan zapamięta moje słowa, sam się pan przekona!". Tak na temat możliwych zmian w Rosji mówi Fiodor Dostojewski na zakończenie „Idioty”. Niestety, Rosja jest całkiem inną cywilizacją niż europejska. Dostojewski świetnie opisał tę mentalność. Potrzeby duchowe zaspokaja się w sentymentalno-pijackich dysputach o Bogu i wartościach. Czyny zaś są, zwykle, okrutne i cyniczne. Ludzie mają siebie samych za nic, i chcą być tak traktowani. Naród rabów. Putin jest nieodrodnym synem Rosji.

Z tego, że granica między światłem i ciemnością biegnie na Bugu trzeba jednak wyciągnąć praktyczne wnioski polityczne. Nasza polityka zagraniczna rozpięta między światowymi aspiracjami USA, europejskimi ambicjami Niemiec i Francji i odradzającym się imperializmem rosyjskim, powinna sformułować cele i wytworzyć narzędzia skutecznej obrony polskiej racji stanu w tej nowej sytuacji. Nie uczyni tego władza państwowa, wisząca u klamki możliwych tego świata. To pierwsze, kto wie czy nie najważniejsze, zadanie dla przyszłej koalicji rządzącej.

Trąd w pałacach

Drugim zadaniem powinno być znalezienie lekarstwa na trąd, który uczynił z III RP państwo skorumpowane, niesprawne, marnotrawcze, usługowe wobec wszelkiego rodzaju mafii. Był kiedyś znany film włoski pt. „Trąd w Pałacu Sprawiedliwości” o korupcji sędziów i prokuratorów. W Polsce nie powstał taki film, choć materiału filmowego jest równie dużo, co w przeżartej niegdyś mafią republice Włoch. Oprócz tego, co zwykle pozwala rozwijać się mafię, czyli zwykłego przekupstwa urzędników, mamy do czynienia z deprawacją wielu środowisk politycznych i zawodowych. Aktywny udział urzędu prezydenckiego, samego pana prezydenta i jego żony, w działaniach stricte gospodarczych i to na styku sektora prywatnego i państwowego wymownie ukazuje skalę zjawiska. Co najgorsze, państwo Kwaśniewscy i ich akolici polityczni nie widzą w takich zachowaniach nic niestosownego. Podobnie jak pan prezydent zachowuje się wielu polityków i działaczy różnych partii.

Silnym filarem mafijności III RP jest korporacjonizm środowisk prawniczych, zwłaszcza sędziów i prokuratorów. Żeby daleko nie szukać przytoczę przykład przedostatniego i ostatniego ministrów Sprawiedliwości. Jeden, korzystając z immunitetu sędziowskiego, od 9 lat unika odpowiedzialności za potrącenie kobiety samochodem, drugi gdy nieszczęsny automobilista traci immunitet sędziowski, ratuje go miano-

waniem na wysoką funkcję prokuratorską, co łączy się z nowym immunitetem. I nie tylko nie widzi w tym nic złego, ale wręcz robi to ostentacyjnie, niemal się tym chełpiąc. Trafnie nazwał Stanisław Tym ludzi tak się zachowujących „śmieciami” w tytule swojego felietonu „Belka i śmiecie” (Rzeczpospolita, z 11-12 września 2004 r.). Oni rzeczywiście zaśmiejają III RP swoim postępowaniem. A mogą być pewni bezkarności, po pierwsze dlatego, że mają po swojej stronie prawo, broniące przede wszystkim interesu korporacji prawniczych, po drugie najwyższe kręgi polityczne. Przecież to są ludzie z nominacji premiera Marka Belki, odnowiciela naszego życia publicznego namaszczonego przez Aleksandra Kwaśniewskiego. Wszyscy razem zatem, że znowu zacytuję Tyma – mogą powiedzieć rodakom:

„Możecie się zżymać,
Wcale nam nie żal was,
Że możemy was dymać
Sadowski i Kalwas.”

Listę nazwisk w podpisie proszę wydłużyć.

Wszechobecna w naszym życiu publicznym korupcja, równie dotkliwa w samorządach, jak w układach rządowo-państwowych, będzie się panoszyć dopóki w klasie politycznej nie zapadnie decyzja i nie zostaną podjęte działania na rzecz ograniczenia tej patologii. Czy jednak politycy, z których część sama przeżarta jest trądem, zdobędą się na konieczne zmiany strukturalne i prawne w naszym państwie? Mieści się w tym uzdrowienie prawa i wymiaru sprawiedliwości, sprywatyzowanie wszystkiego, co jest jeszcze nie sprywatyzowane, ograniczenie administracji publicznej i sfery publicznej (służba zdrowia, oświata powinny być maksymalnie prywatne!).

Ponieważ klasą polityczną nie wstrząsają dostatecznie mocno kolejne afery ujawniane przez mass media, wydaje się, że warto spróbować zmiany ordynacji wyborczej. Wybory większościowe i jedno mandatowe okręgi wyborcze mogą przyczynić się do poprawy jakości elit politycznych. Partie wcale nie tracą wpływu na obsadę kandydatów w okręgach, jednak będą musiały starannie dobierać swoich faworytów. To lepszy sposób na poprawę jakości polityki niż projekty ustaw, zabraniających sprawowania mandatu poselskiego przez osoby skazane. Tym bardziej, że wyroki np. za zniesławienie mogły by być wygodnym narzędziem do rozprawienia się z opozycją i do ograniczenia wolności słowa.

Kontynuacja, regres czy zmiana?

Obecnie wyborca ma trzy oferty programowe. Regresu, czyli cofnięcia się do rozwiązań państwa etatystycznego i socjalnego, z elementami antydemokratycznymi (np. postulaty ograniczenia wolności słowa). Takie podejście charakteryzuje głównie Samoobronę. Propozycje pewnych rozwiązań w sferze gospodarczej i socjalnej, wywodzące się z ducha etatystycznego spotkać można także w SLD, LPR, SdPI, PSL i PiS. Kontynuację proponują głównie SLD, SdPI i ośrodek prezydencki. Także PO, choć postulująca zmiany, znajduje się w wyraźnym rozkroku między własnymi hasłami a wieloletnią praktyką współpracy z obecną władzą w sferze gospodarczej. Zmiany proponują głównie PiS, PO i LPR. Z tym, że PiS ma, niestety, tendencję do rozwiązań typu biurokratycznego (np. państwowa służba zdrowia, specjalny urząd centralny do walki z korupcją), PO mimo retoryki Tuska i Rokity jawi się jako partia zbyt mocno związana z obecnymi układami interesów, żeby była w stanie odwrócić dotychczasowe tendencje w polskiej polityce, LPR zaś przez swoje niejasne powiązania polityczne (antyeuropejskość i prorosyjskość na modłę Radia Maryja) może być groźna dla polskiej racji stanu.

Dodatkowych niejasności i zamieszania doda rozpoczynająca się kampania wyborcza. PSL, żeby się uratować, składa na ołtarzu polską rację stanu i chce referendum o wycofaniu wojsk z Iraku. PO szuka popularności w hasłach, wykorzystujących niechęć obywateli do polityków. Likwidacja Senatu, zmniejszenie o połowę Sejmu, ograniczenie immunitetu, to postulaty drugorzędne, albo wręcz groźne dla porządku demokratycznego. Jedyne dążenie do zmiany ordynacji wyborczej na większościową i z jedno mandatowymi okręgami wyborczymi ma ręce i nogi.

W polityce nie ma co jednak nadmiernie wybrzydzać. Praktycznie – no, może jeszcze dojdzie do tego partia prof. Zbigniewa Religi? – rząd, który ma szansę choć trochę poprawić III RP musi powstać z PO i PiS-u, ewentualnie z czymś dodatkowym (LPR, Unia Wolności, Partia Centrum Religi?). Każdy inny rząd, czy to z udziałem nowo-starego obozu lewicy, czy z udziałem Samoobrony, będzie gwarantem trwania dzisiejszych patologii, a może i pojawienia się jeszcze gorszych.

Przyszły rząd będzie jednak mocno ograniczony w swoich możliwościach reformowania III RP. Dlatego nie warto oczekiwać od niego zbyt wiele.

9

PRZEKŁADANIEC MAFIJNO-PAŃSTWOWY

(październik 2004 r.)

Wiadomo, że lepiej być młodym, zdrowym, bogatym i pięknym, niż starym, chorym, biednym i brzydkim. Można snuć rozmaite fantazje. Jest to często miłe, rzadko – pożyteczne. Jeśli jednak myśli się o dobrym funkcjonowaniu III RP, lepiej na zimno rozważyć nasze możliwości. Bez ulegania demagogom, niezależnie od intencji, jakie im przyświecają – mniej lub bardziej szlachetnych. Warto też przyjąć do wiadomości, że ani Waszyngton ani Bruksela nie naprawią naszego państwa. Rosja zaś i jej akolici mogą nas tylko jeszcze bardziej pogрузić. Musimy zrobić coś sami.

Dziurawa kapsuła prezydenta

Rząd Marka Belki pomysłany przez pana prezydenta jako kapsuła ratunkowa dla lewicy, zużywa się w tempie, które nawet dla Leszka Millera było długo nieosiągalne. Nic nie wyszło z rzekomych znakomych stosunków pana premiera z USA. MSZ jak nie wiedział, do czego – w interesie III RP – namówić Amerykanów, tak nadal nie wie. Polityka zagraniczna wyraźnie nie jest już przez nikogo planowana, ani sterowana. Nie znajdujemy sensownej odpowiedzi na zmieniającą się sytuację międzynarodową. Dlaczego minister Cimoszewicz nie wyjaśni w Sejmie, jaki ma pomysł na przeorientowywanie się Ameryki z zachodniej Europy na jej południową flankę i na, przypominające Rapallo, dogadywanie się Niemiec i Francji z Rosją? W tej chwili może nie wygląda to zbyt dramatycznie, jednak, kto wie, jakie to wyda owoce za 10 lat. To prawda, że będąc w NATO i UE nie stanowimy strefy buforowej, ale przecież Paryż i Berlin wyraźnie nie chcą zrezygnować z jedynowładztwa w określaniu polityki zagranicznej UE, próbując jednocze-

śnie przekształcić NATO w klub dyskusyjny. Temu przecież ma służyć koncepcja członkostwa UE w NATO. Jeśli dodać do tego nieustające starania Niemiec o stałe miejsce w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, mamy do czynienia z próbą nowego rozdania w europejskim i światowym układzie sił. Jakże żałośnie wypada w tej konfrontacji rząd Marka Belki, odzegnujący się od sejmowej uchwały, przypominającej Niemcom, kto w Europie ma do czego moralne prawo.

Jeśli chodzi o podwórko krajowe, to gnicie struktur państwowych trwa w najgorsze. Niesłychana nerwowość pana prezydenta na poczynania komisji śledczej do sprawy PKN Orlen jest w pełni zrozumiała. Ujawniające się powiązania pana prezydenta i jego żony ze światem prywatnego biznesu, szukającego okazji na styku z majątkiem państwowym, są zabójcze dla dalszych losów polityka, który mianował się patronem nowego obozu lewicy. Ten obóz jeszcze nie powstał, a jego lider in spe już musi się tłumaczyć, że nie jest człowiekiem nieuczciwym.

Tyle ma nam do zaproponowania obóz lewicy. Co proponuje główny pretendent do przyszłego rządu, Platforma Obywatelska?

Umysłowa zadyszka lidera

W propagandowej akcji 4 x tak, PO postuluje likwidację Senatu i immunitetu parlamentarnego, zmniejszenie o połowę liczby posłów, wybory większościowe w jedno mandatowych okręgach wyborczych. Równoległe PO domaga się zaprzestania finansowania partii politycznych z budżetu państwa. Propozycje te mogą liczyć na poklask obywateli zniechęconych do klasy politycznej. Przysporzą zatem głosów Platformie. Niestety, nie rozwiążą problemów państwa, a nawet mogą ich dodatkowo przysporzyć.

Zniesienie immunitetu oznacza, że parlamentarzyści będą narażeni na nękanie ze strony aparatu państwowego, będącego we władaniu aktualnego rządu. Są to potężne instytucje o wielkich i groźnych dla obywateli uprawnieniach, pozostające praktycznie poza publiczną, demokratyczną kontrolą: służby specjalne, prokuratura, służby skarbowe, policja, a nawet sądy.

Mniejsze są szkody z tego, że jakiś poseł uniknie wyroku za jazdę po pijanemu, niż z tego, że rząd będzie mógł bezkarnie gnębić opozycję. Jeśli PO sądzi, że nic jej nie grozi, gdyż to jej politycy stworzą najnowszy rząd, to myśli bardzo dojrutkowo. Równie bezmyślny, a jeszcze groźniejszy, jest pomysł, żeby nie dotować partii politycznych z budżetu.

tu państwa. Wbrew obiegowym opiniom, partie polityczne w Polsce są słabe, bez dużego zaplecza ludzkiego, intelektualnego, finansowego. Z tego wynikają różne złe skutki dla życia publicznego. Jednak lekarstwem nie jest dalsze osłabianie partii. Polityki nie można uprawiać bez pieniędzy. Czy pomysł PO ma doprowadzić do pełnej oligarchizacji polskiej sceny politycznej, do tego, że rozmaite grupy finansowe będą mogły bezpośrednio – jeszcze bardziej niż dziś – wpływać na życie polityczne? Obawy wzmocnienia analiza kolejnych elementów pakietu reform proponowanego przez PO: wybory większościowe (ale w dwóch turach) w jedno mandatowych okręgach oraz zmniejszenie o połowę liczby posłów. Połowa posłów oznacza dwukrotnie większe okręgi niż obecnie. W takich okręgach nie ma mowy o jakiegokolwiek więzi bezpośredniej między posłem a wyborcami. Znaczącą rolę w wyborach odegrają zatem pieniądze wydane na kampanię przez poszczególnych kandydatów. Skąd będą te pieniądze, stąd będą też posłowie. Dziękuję, postoję, jak mawiano niegdyś na warszawskim Powiślu.

Jedynie co do likwidacji Senatu trudno ocenić, czy przynieść to może skutki dobre czy złe. Ale jak na partię, która ma dziś największą szansę utworzyć rząd po wyborach, to przedstawia nam się PO z mało zachęcającej strony.

Wolę zdecydowanych reform państwa deklaruje też Prawo i Sprawiedliwość. Partia ta może stanowić istotny element nowego mariażu rządowego, z PO i być może jeszcze jakąś partią – LPR? PSL? UW? Partia Centrum Zbigniewa Religi? Za wiarygodnością PiS przemawia fakt, iż twórcy i liderzy tej partii, bracia Kaczyńscy, od lat konsekwentnie ostrzegali przed degeneracją III RP i proponowali podjęcie środków zaradczych m.in. w celu zahamowania korupcji. Nadto, Lech Kaczyński, jako prezydent Warszawy, wydał walkę różnym groźnym i charakterystycznym dla naszego państwa patologiom, które w stolicy znajdowały przez ostatnie lata świetne warunki do rozwoju. Czy tę walkę wygra, to już inna historia. Na pewno chce i podejmuje ryzyko działań korzystnych dla obywateli i państwa. Jednak zwolennicy sanacji III RP, którzy znajdują się w każdej z wymienionych partii opozycyjnych są więźniami polskiej ponurej rzeczywistości.

Money, money, money...

W naszym państwie mamy do czynienia z różnymi mafijnymi interesami, korporacjami, które utrwalają patologię (np. faktyczne po-

stawienie ponad prawem sędziów i prokuratorów), grą polityczną i finansową służb specjalnych krajowych i obcych (np. sprawa PKN Orlen, śmierć Marka Karpa, a wcześniej inspektora NIK, który badał aferę FOZZ, Michała Falzmana, tajemniczy wypadek prezes NIK, Waleriana Pański), powiązaniem gangsterów ze światem polityki (pierwsze z brzegu przykłady – Ireneusz Sekuła, Aleksander Gawronik), czy ze światem biznesu (np. Narodowe Fundusze Inwestycyjne – niegdyś okręt flagowy polskiej prywatyzacji rządu Jana Krzysztofa Bieleckiego i ministra Janusza Lewandowskiego – gdzie dokonuje się obecnie rozrachunków za pomocą maczety, vide sprawa Głowali). Patologia ta nie omija także instytucji kościelnych, że wspomnę przykład wydawnictwa „Stella Maris”.

Głównym spoiwem patologii polskiego państwa są pieniądze, pochodzące z przestępczej działalności. Są to dochody z narkotyków, prostytucji, hazardu, przemytu, rabunków, haraczy od przedsiębiorców, czyli z tradycyjnych źródeł zarobkowania gangsterów. Oprócz tego gangsterzy bogacą się dzięki urzędnikom państwowym (np. afera alkoholowa, która swój początek miała w wadliwym – pytanie: przypadkowo czy nie? – rozporządzeniu ministra Finansów, Leszka Balcerowicza) oraz dzięki politykom i agentom służb specjalnych, którzy prowadzą gry czasem w interesie państwa, a czasem gry czysto prywatne, biznesowe na własny szczyt (np. handel bronią z krajami objętymi embargiem, który nadzorowali agenci WSI).

Afera paliwowa, afery PKN Orlen, afery z kontraktem na dostawę gazu z Rosji do Polski, to są miliardy dolarów żywej gotówki do podziału między: rosyjskie służby specjalne, polskie służby specjalne, rosyjskie centrum władzy, polski centrum władz, rosyjskich oligarchów, polskich oligarchów. Kto ma tyle siły, żeby wyjaśnić takie afery, no i ukrócić je?!

To są przykłady najbardziej spektakularne. Jednak polska patologia jest o wiele głębsza. Wiele grup zawodowych traktuje państwo i prawo jak własny folwark. Wspomniałem już o korporacjach prawniczych. Mam nadzieję, że bufonada min. Kalwasa spowoduje wreszcie sprzeciw opinii publicznej i ukrócenie przywilejów prawników. W kolejce czekają lekarze, którzy za nic w świecie nie chcą dopuścić do prywatyzacji i wynikającej z niej reformy służby zdrowia, gdyż stracą w ten sposób możliwość prowadzenia prywatnej praktyki w państwowych placówkach z państwowym sprzętem, utrzymywanych na koszt podatnika. Podobnego mechanizmu „prywatyzacji bez prywatyzacji”, czyli czerpania prywatnych korzyści na koszt i ryzyko budżetu państwa, skutecznie

bronią związki zawodowe w wielu branżach (np. w energetyce, gdzie jak niedawno ujawnił prof. Krzysztof Żmijewski, pracuje trzy razy więcej ludzi niż w niemieckim koncernie E.O.N., sprzedając trzy razy mniej energii, co oznacza, że nasza energetyka jest dziewięć razy mniej wydajna od niemieckiej!).

Powtórzę pytanie: kto jest w stanie rozerwać splot tak potężnych interesów? Kto jest w stanie zapoczątkować skuteczną walkę z patologiami życia państwowego i gospodarczego? Jakich trzeba użyć sposobów, żeby mieć szansę na sukces w tej walce? Jak przekonać wyborców, żeby chcieli głosować za reformą państwa?

Szeryf i państwo

Skąd popularność szeryfa w westernach? Stąd, że bierze on stronę normalnych, porządných obywateli przeciw bandytom i złoczyńcom. Jest jednocześnie szeryf obrońcą prawa, bo prawo też służy normalnym obywatelom. To bardzo prosta recepta na przywracanie normalności w III RP, a przecież nie mająca nic wspólnego z populizmem. Jako taki praworządny szeryf wygrał wybory w Warszawie Lech Kaczyński. Czasem pod postać szeryfa podszywa się jakiś uzurpator, jak Tymiński i Lepper, zyskując duży poklask u obywateli. Sądzę, że na obywatelskiej tęsknocie za szeryfem jeszcze niejedyn populista zrobi karierę. Ale ta zrozumiała tęsknota ludzi za ukróceniem zła, ma drugą stronę. Jest nią tęsknota za stabilnym, sensownym prawem, które weźmie w obronę normalnych obywateli przed bezprawiem instytucji państwowych i przestępców. Jeśli drobny restaurator czy sklepikarz w byle miasteczku musi płacić haracz gangsterom za „ochronę” i nie ma pomocy z policji, prokuratury, ani innych organów władzy, ponieważ policjanci, prokuratorzy i urzędnicy, są opłacani przez tychże gangsterów, to nic dziwnego, że powszechna jest niechęć do polityków. Ich – choć przecież nie wszyscy przyłożyli do tego rękę – obwinia się, że stworzyli lub co najmniej dopuścili do powstania systemu mafijnego w III RP. Wszyscy normalni ludzie chcieliby mieć poczucie bezpieczeństwa. Dlatego rozglądają się za kimś, kto im to obieca. Myślę jednak, że choćbyśmy nie wiem, jakie mieli zastrzeżenia do polskiej klasy politycznej, to musimy sobie jasno powiedzieć: bez polityków reforma państwa jest niemożliwa! Tylko politycy mogą jej dokonać. Politycy przestrzegający reguł demokratycznego państwa prawa. Każda inne rozwiązanie to populizm lub rewolucja, oznaczające śmierć demokracji, zastąpionej przez jakąś

formę totalizmu. Oczywiście, degrengolada Polski powoduje nieraz niecierpliwość u ludzi, dążących do pozytywnych zmian. Tacy niecierpliwi politycy próbują iść na skróty, lekceważąc literę lub ducha prawa. Powstają też projekty biurokratyczne typu specjalny urząd do zwalczania korupcji, będące tylko pozornym rozwiązaniem problemu. Idę o każdy zakład, że powstanie takiego urzędu antykorupcyjnego nie zmniejszyłoby ani o jotę zakresu korupcji, ale znacznie podniosłoby „opłaty” za załatwienie tego czy tamtego.

Ograniczenie zjawisk patologicznych wymaga zmian systemowych w państwie i zmian prawa. Wymaga także jak najszybszej prywatyzacji wszystkiego, co jest jeszcze państwowe. Ale tak naprawdę zasadnicza reforma III RP zależy od woli polityków i od ich myśli. To oni muszą chcieć zmienić Polskę i mieć pomysł jak to zrobić. Ta zmiana może być zainicjowana w parlamencie i rządzie po najbliższych wyborach. Gołym okiem widoczny jest chaos w państwie. O jaką ważną sprawę nie pytać, okazuje się, że nie ma żadnego planu na czas dłuższy niż najbliższy tydzień, wszystko jedno czy dotyczy to naszych relacji z USA, Niemcami, Francją, Rosją, czy np. bezpieczeństwa energetycznego kraju. Właśnie dlatego, że III RP rozpaczliwie cierpi na brak centrum kierowniczego, na brak strategii i taktyki w polityce państwowej – rozmaite grupy interesu, w tym mafia, mogą Polskę bezkarnie traktować tak, jak to widzimy. Jak łup.

Nie ma jednak sensu narzekać na naszą klasę polityczną. Podsycanie niechęci obywateli do polityków, zdobywanie w ten sposób poparcia w wyborach jest przedsięwzięciem szkodliwym dla państwa. Lepiej oddawać w wyborach głos na partie, które chcą naprawiać państwo, a przez pomysły typu jedno mandatowe okręgi wyborcze, wymuszać staranniejszy dobór przez kierownictwa partii kandydatów na funkcje wybieralne. Nie ma przecież rozsądnej alternatywy dla demokracji parlamentarnej i systemu wielopartyjnego. Nikt poza politykami wybranymi w demokratycznych wyborach nie ma szansy uporać się z polskim mafijno-państwowym przekładańcem.

10

ZAJRZEĆ POD ATRAPĘ

(grudzień 2004 r.)

Ustalenie faktów na temat przejmowania polskiego sektora paliwo-energetycznego przez koncerny zagraniczne mogłoby dać nam odpowiedź na pytanie, kto rządzi III RP. To wiedza o zasadniczym wręcz znaczeniu dla praktyki politycznej. Rząd polski, ten lub kolejny, gdyby nawet miał wolę działania zgodnego z naszą racją stanu, bez tej wiedzy będzie jedynie kolejnym teatrem marionetek. Przełom w polskiej polityce musi bowiem zacząć się od odebrania władzy uzurpatorom i przywrócenia jej suwerennym instytucjom Państwa Polskiego. Dlatego tak ważna jest praca sejmowej komisji śledczej do spraw PKN ORLEN. I nie tyle chodzi tu o doprowadzenie kogokolwiek przed sąd, ale o ujawnienie jak to wszystko przebiegało...

Posłużę się przykładem drobnej na pozór sprawy. W trakcie przesłuchania przed komisją śledczą, wiceminister skarbu państwa odpowiedzialny m.in. za nadzór nad PKN ORLEN, stwierdził, że spotkał się ze Zbigniewem W., jako kandydatem na prezesa koncernu, rozmawiali o sprawach ogólnych, ale o wizji rozwoju koncernu czy w ogóle na tematy merytoryczne związane z koncernem, nie. Ot, spotkanie towarzyskie. Wiceminister, chwalony przez opozycyjnego posła z komisji jako bardzo wybitny profesjonalista¹, mówi o tym bez żenady. Dlaczego nie miałby tak mówić, skoro nikt – literalnie nikt z posłów, ani spośród sprawozdawców medialnych, czy komentatorów – nie zwrócił na ten fakt najmniejszej uwagi. Choć to właśnie przecież ten wiceminister, wysoki urzędnik państwowy, był wynajęty przez podatników do pilnowania naszych interesów w majątku państwowym, w tym w udziałach w PKN ORLEN. Miał dostojną funkcję i stosowny zakres obowiązków. Przecinał, reprezentował i podpisywał. Tylko nie miał nic do powiedze-

nia w ważnych sprawach. No, ale taka jest właśnie rola atrapy Ma przysłonić prawdziwą władzę.

Triumf czystego wariactwa

Pierwszą szansą na zajrzenie, co kryje się pod atrapą, była afera FOZZ-u, a kolejną – ART.B. Obie zostały zmarnowane, gdyż utonęły w czeluściach wymiaru sprawiedliwości. Pozostała po nich tylko pewna hipoteza, określana zwykle mianem czystego wariactwa. Otóż, w jej myśl FOZZ jako instytucja, a ART.B okazjonalnie, służyły – jako jeden z licznych kanałów - transferowi pieniędzy sowieckich służb specjalnych na Zachód. Przy okazji tego transferu, można było robić „interesy na boku” z czego korzystały różne grupy w Polsce. Pieniądze sowieckie, które dotarły na Zachód chowały się tam pod szyldami firm o angielskich nazwach, rejestrowanych w tzw. rajach podatkowych, i mogły wracać do państw byłych demoludów, aby nadal pracować dla Moskwy. W Polsce, pieniądze te wspomagały wcześniej przygotowaną infrastrukturę firm i ludzi. Rosjanie od setek lat dysponowali w Polsce – z krótką przerwą w latach 1918-39 – potężną agenturą. Po PRL-u odziedziczyli m.in. funkcjonariuszy i współpracowników służb specjalnych, kadre wojskową, nomenklaturową kadre urzędniczą, aktyw PZPR i stronnictw SD i ZSL, aparat związków zawodowych, w tym także agentów ulokowanych w „Solidarności”, struktury typu spółdzielczość pracy i mieszkaniowa, agencje ochrony itd. itp. Było do kogo sięgnąć i na kim się oprzeć. Oprócz tego, przygotowywano dobrze wykształconych janczarów, którzy świetnie mogli sobie radzić także w warunkach kapitalizmu i demokracji.

Bezpieczeństwo państwowe III RP nakazuje pamiętać o tych mechanizmach. Jest kilka znaków szczególnych, które pozwalają wyodrębnić – jak to się nazywa w epidemiologii – grupy szczególnego ryzyka. Stypendyści Fulbraighta, słuchacze praskiej szkoły aktywu, właściciele i menedżerowie tzw. firm polonijnych, ludzie, którzy w PRL-u, zwłaszcza w latach 70-tych i 80-tych otrzymywali paszporty, głównie konsularne, i zezwolenia na prowadzenie działalności gospodarczej zagranicą i z zagranicą. Spoiwem dla tych ludzi były struktury służb specjalnych, cywilnych i wojskowych. Ludzie o takich „znakach szczególnych” zajmują obecnie czołowe pozycje w polityce, biznesie i mass mediach. Oczywiście, to nie znaczy, że każdy, kto wyjechał na stypendium lub dostał paszport konsularny jest agentem obcego wywiadu itd. itp. A na-

wet, jeżeli jest, to nie koniecznie rosyjskiego. Mam nadzieję, że nie muszę tłumaczyć takich oczywistości?! Z informacji o „znakach szczególnych” nie wynika, że są to agenci rosyjscy, albo – że nie ma agentów rosyjskich bez takich znaków. Jednym słowem, to jedynie materiał pomocniczy przy próbie znalezienia odpowiedzi na pytanie, gdzie w Polsce jest władza?

Nie słowa, ale czyny

Szansą na zajrzenie pod atrapę była komisja, badającą aferę Rywina. Komisja wiele ujawniła, ale – choćby z racji problemu, jaki badała – jedynie sprawy wewnętrzne, bez powiązań zagranicznych. Większą szansą jest komisja PKN ORLEN. Nic więc dziwnego, że stała się ona celem bezpardonowego ataku. Ale jej działania też podlegają ocenie i weryfikacji. Jeśli zostanie ustalona prawda o wpływach i działaniach rosyjskich w polskim sektorze paliwowym i energetycznym, to opinia publiczna będzie mogła ocenić również rolę poszczególnych członków komisji śledczej. Nie ukrywam, że budzi moje zdziwienie, iż na bohatera pozytywnego wyrósł minister Kaczmarek, który chciał opchnąć Rosjanom, co się tylko da, a przed Trybunał Stanu ma trafić Zbigniew Siemiątkowski, który ujawnił istotne dla zagrożenia rosyjskiego informacje. Z tego zastrzeżenia wcale nie wynika jednak, że np. Jan Kulczyk, to rycerz polskiej suwerenności. Może w tej sprawie trudno o jakichkolwiek szlachetnych rycerzy? Może różni gangsterzy i agenci tłukli się o to, komu przypadnie prowizja? **I może ten rozgardiasz, jak sugerują niektórzy specjaliści od Rosji, miał swoje źródło w wojnie Putina z oligarchami, co przeniosło się na rosyjskie interesy i powiązania w Polsce? Może tak być, że jedni nadają na drugich, dzięki czemu mamy wreszcie okazję się czegoś dowiedzieć o władzy.** Ale może też niektórzy wysocy urzędnicy państwowi zachowali się przyzwoicie i w efekcie zahamowali planowane, a złe dla Polski, transakcje? To można wyjaśnić tylko śledząc, jakie i jak zapadały ważne w tych sprawach decyzje. Nie zastąpią tego deklaracje bohaterów dramatu, ani wrzawa medialna.

Warto jednocześnie pamiętać, że do **uzależnienia III RP od Rosji przyczyniły się różne rządy, także rząd Hanny Suchockiej**, zawierający „kontrakt stulecia” na dostawy gazu (bardzo w tym wspierany przez prezydenta Wałęsę) i sankcjonujący system dziwnego pośrednictwa przy tych strategicznych dla Polski dostawach. To była niewyjaśniona wyprzedaż udziałów w gdańskim Naftoporcie. To była również totalna

niemoc każdego kolejnego rządu w przeprowadzeniu planu dywersyfikacji dostaw ropy i gazu dla naszego kraju. Marian Krzaklewski, Jerzy Buzek i Janusz Steinhoff razem z AWS i Unią Wolności mieli ochotę i energię na wprowadzenie 4 reform, co w efekcie wyeliminowało ich z parlamentu, ale zabrakło im woli politycznej na zbudowanie podwalin pod polską suwerenność energetyczną. Komisja śledcza ma możliwość zbadania tych wszystkich spraw tajemniczych, a ważnych.

Tak naprawdę, wnioski polityczne, jakie wynikną z odsłaniania afery ORLEN-u staną się podstawą działań każdego rządu, który chciałby w Polsce odzyskać władzę.

11

OBROTY CIAŁ POLITYCZNYCH

(grudzień 2004 r.)

Zakładam na chwilę, że deklaracje polityczne pana premiera Marka Belki mają swoje pokrycie w jego chęciach, woli i marzeniach. Przychodzi mi to z trudem, ale jestem skłonny w chwili pisania tego tekstu przyjąć założenie, że pan premier chce:

- Oczyszczyć państwo z poważnych patologii, w tym z zależności od obcej agentury,
- zapewnić III RP stały dopływ olbrzymich funduszy z UE i zagwarantować efektywne wykorzystanie tych funduszy,
- zakotwiczyć USA w naszej gospodarce, wojsku, nauce i technologii,
- ubezpieczyć kraj pod względem energetycznym i surowcowym,
- stworzyć nowoczesny i zamożny system edukacyjny,
- ograniczyć bezrobocie przez pobudzenie inwestycji drogowych i mieszkaniowych.

Zakładam taki wariant idealistyczny, może naiwny?, ponieważ każdy obecny premier rządu polskiego, jeśli byłby człowiekiem dobrej woli i patriotą, powinien kierować się wymienionymi wskazaniami.

Zaplecze parlamentarne premiera Belki stanowi głównie skorumpowane i przeżarte różnymi nieprawościami SLD. Ta partia walczy już nie tylko o wejście do następnego parlamentu, ale wręcz o życie – ponieważ postulat jej delegalizacji, sformułowany ostatnio przez Jarosława Kaczyńskiego, ma coraz solidniejsze uzasadnienie w faktografii przestępstw, a nie jedynie we frazeologii walki politycznej. Wsparcia politycznego udziela premierowi Belce pan prezydent Kwaśniewski. Wielce zresztą jest prawdopodobna teza, że zamysłem pana prezydenta przy tworzeniu tego rządu było skonstruowanie, między innymi przy

pomocy współpracowników służb specjalnych (głównie wojskowych, ale nie tylko), wehikułu, który pozwoli przewieźć lewicę przez wzburzone fale najbliższych wyborów. Taktycznie nie był to głupi pomysł, ale pękł jak bańka mydlana w wyniku kłótni w samym SLD, a następnie – w wyniku tego, czego już dowiedzieliśmy się dzięki działaniu sejmowej komisji śledczej do spraw PKN Orlen.

Szansą lewicy na złapanie oddechu i przeżycie jest odcięcie się, ucieczka od SLD. Zrozumiała to część działaczy np. Marek Borowski czy Tomasz Nałęcz, ale ich ruch jest mało konsekwentny, a przede wszystkim – bez najmniejszej dynamiki. Symbolem SdPI staje się Andrzej Celiński, który – nawet jeżeli nieraz ma rację – robi wrażenie hamulcowego w komisji śledczej. Przy tym obciążają go związki z bliskim współpracownikiem biznesmena Dohnalą – mistrza w korzystaniu z kapitalizmu politycznego i gry między potężnymi grupami interesów w Polsce i w Rosji. Uciekać od SLD próbuje też Unia Pracy z Izabelą Jarugą-Nowacką, jednak wybrała ona kierunek i sposób, który gwarantuje jej nowemu ugrupowaniu wynik wyborczy w okolicach 0,1%.

Sytuacja SLD przypomina schyłek epoki AWS. Premier Jerzy Buzek był wówczas namawiany, żeby odciął się od AWS, stworzył własny obóz polityczny i spróbował ocalić prawicę. Nie zdecydował się na taką grę. Wtedy to bracia Kaczyńscy, dzięki cudem i z poręki Buzka uzyskanej nominacji Lecha na szefa resortu sprawiedliwości, zyskali szansę powrotu do ekstraklasy politycznej. I szansy tej nie zmarnowali, tworząc – po klęsce AWS i jej pochodnych – całkiem solidną bazę dla prawicy. Czy i kto stanie się Kaczyńskimi lewicy?

Czyli znowu – wszystkie oczy skierowane na prezydenta Kwaśniewskiego? Lewica może skorzystać z kwestii wypowiedzianej gorączkowo przez reportera telewizji publicznej Tomasza Lisa do ówczesnego prezydenta Lecha Wałęsę w dniu, kiedy w Sejmie ważyły się losy lustracji i rządu Jana Olszewskiego: niech pan nas ratuje, panie prezydencie! Wałęsa spełnił prośbę Lisa. Upłynęło trochę lat i Tomasz Lis wyrósł na popularnego dziennikarza politycznego w Polsce. Zapewne wstydy się tamtego okrzyku. Obawiam się jednak, że Wałęsa nie wstydy się tego, że 4 czerwca 1992r. obalił rząd Jana Olszewskiego. Jakby jednak nie było, Kwaśniewski jest w łatwiejszej sytuacji. Nie musi obalać rządu Belki. Ale i w trudniejszej – powinien go z całych sił wesprzeć. Tych sił zaś za dużo nie ma. Obciążają go grzechy ludzi z najbliższego otoczenia. Sam też ma grzechów niemało. Jest jednak sprawa ważniejsza od wszel-

kich przewin. Tą sprawą jest polska racja stanu. A obecnie ta nasza racja stanu wyraża się w punktach wymienionych na wstępie tekstu. To zaś oznacza, że nie ma czasu do stracenia. Jeśli procesy pozytywne mają się zacząć dopiero po przyszłorocznych, najpewniej październikowych, wyborach parlamentarnych, to możemy ponieść jako państwo jeszcze dotkliwsze straty niż do tej pory.

I znowu – na użytek tego tekstu zakładam, choć zgrzytam przy tym zębami na własną naiwność, że prezydent RP zechce zakończyć kadencję, demonstrując namacalnie wszem i wobec swoją dobrą wolę w pracy na rzecz Polski. To zaś byłoby już coś, bo pan premier z dobrą wolą i pan prezydent z dobrą wolą, stanowią w państwie siłę, której mało, kto może się przeciwstawić.

Ale ktoś na pewno może. Kto? Po pierwsze, ich otoczenie i zaplecze, czy szerzej – cały obecny rządzący establishment, ponieważ ma dużo do stracenia, gdyż w bajzlu, jaki jest do tej pory, wiele zyskiwał. Po drugie – rozmaite grupy interesu, najczęściej zagraniczne. Po trzecie – obce potencje powodowane po części biznesem, po „większej połowie” własnymi celami politycznymi strategicznymi lub taktycznymi. Żeby zrobić cokolwiek pozytywnego, premier i prezydent powinni całkowicie porzucić SLD, kosząc ludzi z nominacji tej partii równo z trawą. Sądzę zresztą, że pan premier Belka i pan prezydent Kwaśniewski mają sto razy lepszą wiedzę na temat afery Orlenu niż wszyscy członkowie komisji śledczej i liderzy opozycji razem wzięci. Przecież najciekawsze materiały ujawnione w tej sprawie pochodzą ze służb specjalnych. Premier i prezydent wiedzą więc doskonale, jakie personalia kryją się za określeniami typu „grupa trzymająca władzę”, „obce grupy interesu”, „stronnictwo prorosyjskie”. Mogą zatem przystąpić do działań konkretnych wcześniej niż robi to rząd Rokity i Kaczyńskich. Namawiałbym ich na to, jeśli chcą ocalić lewicę w Polsce, że o racji stanu nie wspomnę.

Uwalnianie się od patologii w III RP może być dziś łatwiejsza niż jeszcze parę miesięcy temu. Potężne grupy interesu (np. paliwowo-energetyczne), mające swoje umocowania w Rosji, są w stanie rozgardiaszu i puszczone, na chwilę zapewne, ale zawsze, samopas. Wynika to z defensywy Putina, który po zwycięstwie nad Yukosem, przeżywa ciężkie chwile na Ukrainie. Walka Juszczenki sprawiła, że Amerykanie znowu stali się aktywni w naszej części Europy. To może ułatwić przywracanie normalności w Polsce.

Gdyby Belka i Kwaśniewski chcieli zacząć poważną batalię politycz-

ną – o zarysowanych wyżej celach – mieliby do swojej dyspozycji poważne aktywa. Wsparcie Amerykanów, obiektywne wsparcie opozycji (choćby przez działanie komisji śledczej, ale nie tylko), profesjonalne służby specjalne (a przynajmniej część tych służb), poparcie opinii publicznej. To bardzo dużo jak na premiera, który ma 10 procent poparcia i jak na prezydenta, któremu za chwilę może grozić Trybunał Stanu.

Zależność od Rosji lub Niemiec i Francji jest dziś poważnym zagrożeniem dla polskich interesów. W orbicie tej zależności znajdują się nie tylko środowiska polityczne, biznesowe, administracyjne i służb wszelakich, wywodzące się z PRL-u i PZPR. Są tam także ludzie z centrum i z prawicy. Dowodnie świadczy o tym historia paliwowo-energetycznych perypetii III RP. Jednocześnie wielu z dawnych ludzi Rosji zmieniło barwy klubowe na amerykańskie. To jest korzystne dla Polski. To warto wykorzystać i uszanować. Zależność od USA może być dla nas dolegliwa, ale na pewno tylko ona daje nam możliwość obrony przed ekspansją Putina wspieranego przez Schroedera i Chiraka.

Prowadzona na serio batalia o sanację III RP musiałaby zacząć się od przeciwstawienia się tej ekspansji i osłabienia wpływów stronnictwa prorosyjskiego w Polsce. To zaś umożliwiłoby całkiem nowe relacje między władzą a opozycją. Belka i Kwaśniewski, rozpoczynający sanację III RP, staliby się partnerami politycznymi Rokity i Kaczyńskich, rywalami oczywiście, ale nie wrogami do unicestwienia. Mógłby powstać swoisty pomost między różnymi obozami politycznymi, który ułatwiłby cywilizowane rządzenie III RP. Taki, zakładam, cel przyświeca rozmaitym pomysłom ożywienia centrum sceny politycznej, czy to idącym ze strony Partii Centrum i Zbigniewa Religi, czy ze strony Unii Wolności i Tadeusza Mazowieckiego. Zresztą, kto wie, jakie jeszcze będziemy obserwować obroty, zmiany i konstelacje na scenie politycznej nim wreszcie dojdzie do wyborów?!

Rzecz nie w tym, kto jak przemaluje swój stary szyld i ilu wyborców złowi. Rzecz w tym, kto chce Polskę naprawić, a kto chce obronić układ obecny. Idę o każdy zakład, że gdyby premier i prezydent chcieli na serio zadbać o silną i suwerenną Polskę, znaleźliby wspólny język z opozycją, nie przed telewizyjnymi kamerami, ale w ciszy gabinetów, tam, gdzie naprawdę decyduje się polityka. Niczego jednak nie osiągną, jeśli całe zamieszanie polityczne, nowo-stare inicjatywy itd. będą z ich strony tylko chwytem taktycznym, mającym na celu zwiedzenie wyborców. Całe doświadczenie poucza mnie, że właśnie o to chodzi.

Niestety! Po pierwsze dlatego, że szkoda Polski. Po drugie, moim

zdaniem, Belka i Kwaśniewski mają o co grać. Jeśli rzeczywiście są, jak nieraz sugerują, najwierniejszymi z wiernych i najzaufańszymi z zaufanych USA. Alternatywą jest dla nich – i ich środowisk, partii – śmierć polityczna, a może i cywilna poniesiona w imię obrony nie polskich, lecz rosyjskich, interesów.

MY, MEDIA

WSTĘP

W drugiej połowie lat 90-tych prowadziłem w „Rzeczpospolitej” (w dodatku „Plus-Minus”) rubrykę poświęconą temu, co wytwarzają polskie mass media, pt. „Małpia złośliwość”. W efekcie, powstał z tego mini-przegląd najrozmaitszych technik manipulacji i innych grzechów głównych polskiego dziennikarstwa. Upływ czasu wykazał, że grzechy te nie zanikają, ale raczej twórczo się wzbogacają, mimo ciągłego mówienia o etosie „czwartej władzy”. Mam nadzieję, że choćby częściowe ujawnienie tego pozwoli obywatelom zachować zdrowy rozsądek w odbiorze strawy serwowanej im przez mass media. A jak mają się zachowywać politycy radzę na zakończenie tego fragmentu książki – patrz tekst na str. 197.

Osobne miejsce w świecie mediów zajmują media publiczne, utrzymywane z podatków obywateli. Są one bardzo ważnym elementem życia publicznego i kształtowania opinii. Tymczasem dzieje się z nimi źle. Bez wyrwania mediów publicznych politykom i komercji, nie naprawimy tego stanu rzeczy. Niby, dlaczego obywatele mają się godzić na podatek (abonament), z którego profity czerpią partie polityczne i prywatne firmy produkcji telewizyjnej, filmowej i radiowej. A gdzie jest w tym interes zwykłego, szarego człowieka?, chciałoby się zapytać. Więc pytam.

Pytam również dlatego, że podobnie, jak trzy pierwsze władze (ustawodawcza, wykonawcza, sądownicza) nie są wyjęte spod oceny obywatelskiej, tak samo władza czwarta, czyli mass media. Niezależnie od tego, czy prywatne czy państwowe. Oczywiście, bronią się one przed dociekliwością osób postronnych. O ileż przecież przyjemniej uzurpować sobie prawo wypowiedzi w imieniu opinii publicznej i nieraz pod tę opinię się podszywać, zamiast poddawać się kontroli ze strony oby-

wateli! Jednak interesy biznesowe i polityczne właścicieli mass mediów, czy dziennikarzy powinny być równie przejrzyste jak instytucje rządowe. Wynika to wprost z roli mass mediów we współczesnej demokracji, z ich wpływu na opinię publiczną i wybory polityczne obywateli.

Polskie dziennikarstwo ma na swoim koncie wiele zasług. Dziennikarze odkryli nie jedno świństwo. Wiele działań polskich mediów przyczyniło się do naprawy Rzeczypospolitej. Ale też wiele jest w mediach niejasnych powiązań, korupcji, szemranych interesów, hipokryzji. Bo czymże jak nie hipokryzją jest działalność tzw. tabloidów czy pism kolorowych, które propagują populizm, prostactwo, a następnie fałszywie dziwią się takim postawom w społeczeństwie? Na schizofrenię muszą też cierpieć szefowie telewizji komercyjnych, którzy lokują programy obywatelskie obok populistycznej propagandy, prymitywnych reality show czy pornografii. A zdarza się to również w telewizji publicznej!

Dla dobra wspólnego obywatele powinni mieć na mass media baczenie nie mniejsze niż media mają na polityków.

A. JAK TO SIĘ ROBI

1

MAŁPIA ZŁOŚLIWOŚĆ

(październik 1996 r.)

Gdy słyszę, że premier Cimoszewicz nawołuje dziennikarzy do przestrzegania zasad etyki zawodowej, zaś minister Siemiątkowski odgraża się, iż przekaże premierowi raport o związkach świata dziennikarskiego ze światem przestępczym, to chce mi się śmiać. Z obu panów, rzecz jasna, z których jeden lepiej by zrobił, gdyby podumał nad własną przeszłością funkcjonariusza PRL, a drugi strzegł własnej żony przed kontaktami ze światem przestępczym, zwłaszcza wtedy, gdy użycza jej samochodu służbowego MSW.

Nie zmienia to jednak faktu, że wielu dziennikarzy ciężko grzeszy przeciwko dekalogowi swej profesji. Co gorsza, nie mam złudzeń, że uda się w tym przedmiocie cokolwiek zmienić na lepsze. Jeżeli zatem zabieram głos w tej sprawie, to żeby zakłócić spokój tym, którzy uważają się za elitę polskich mass mediów.

Fakty są niczym, cel jest wszystkim

24 września br. „Gazeta Wyborcza” opublikowała na pierwszej stronie informację o oświadczeniu Jerzego Giedroycia po tym, jak minister kultury, na polecenie premiera, odpowiedział Giedroyciowi na jego list otwarty do premiera. Trochę to skomplikowane, ale oświadczenie Giedroycia było jasne i zrozumiałe. „To jest unik ze strony premiera”, oświadczył. Oczywiście, przecież Giedroyc pisał do premiera, a otrzymał odpowiedź od kogoś innego. Premier zrobił unik. A co zrobiła „GW”. Zatyłowała tę informację: „Unik ministra Podkańskiego”. Jak to się mogło stać, żeby premier, ze słów Giedroycia, stał się, na przestrzeni dwóch gazetowych centymetrów, ministrem? Czytelnik uważny

zaduma się nad niefrasobliwością redaktora dyżurnego, który sprokurował taki błąd. Czytelnik podejrzliwy pomyśli, że nic nie jest przypadkowe: dla szefa „GW” bowiem, o czym wszystkim wiadomo, premier Cimoszewicz jest wielkim, dobrym cacy, a minister Podkański paskudnym nikiem. Naprawiono więc „błąd” Giedroycia, który lekkomyślnie skrytykował premiera, zamiast skoncentrować się tylko na krytyce ministra. Czytelnik normalny zaś, w ogóle nie zwróci na to wszystko uwagi, a w podświadomości utkwii mu, że minister z PSL-u znowu się wygłupił.

I może właśnie o tego czytelnika zwykłego chodzi najbardziej, gdy tytułami nadaje się nową treść wydarzeniom?

Chór ma lepiej

Trzymajmy się nadal przykładu nieszczęsnego ministra kultury Podkańskiego. Minister zwolnił Andrzeja Rosnera, głównego człowieka w ministerstwie od przyznawania dotacji na wydawanie książek. Trzeba przyznać, że minister kultury już wcześniej uczciwie zapracował na to, żeby stać się pośmiewiskiem mass mediów. Dlatego po zwolnieniu Rosnera dziennikarze nie szczędzili złośliwości pod adresem szefa resortu kultury. Ale w tym wielkim chórze rozżalonych, że Rosner stracił posadę, zabrakło choćby jednego głosu namysłu nad samą sprawą dotacji do książek. Przecież powstaje np. pytanie, czy podatnicy powinni finansować działalność prywatnych wydawców? Jeśli zaś mają wspierać druk wartościowych książek – choć nie jestem co do tego przekonany – to czy nie lepiej dotować biblioteki i czytelnie, żeby miały pieniądze na zakupy? Wydawcy niech konkurują ze sobą na rynku, a dotacją dla nich będzie sam zakup ich produktu? Dużo znaków zapytania, żadnych odpowiedzi. Mass media pominęły te kwestie milczeniem, jednak klepały, jak za panią matką, pacierz o złym ministrze i dobrym dyrektorze. A minister, choćby nie wiem jak był PRL-owski i nomenklaturowy, a dyrektor choćby nie wiem jak solidarnościowy i podziemny, to w konkretnej sprawie rację może mieć raz jeden, raz drugi. Racje merytoryczne bowiem nie rozkładają się według klucza politycznego czy partyjnego. Owszem, tego chcą politycy, bo to im bardzo upraszcza życie; na szczęście świat jest barwniejszy, niż się wyznawcom polityki wydaje.

Ani centrum, ani uwaga

Sztandarową audycją publicystyczno-polityczną telewizji jest od niedawna „W centrum uwagi”. „Wiadomości” przynoszą z założenia informacje, a „w centrum...” pogłębia – tak można streścić ambicje decydentów z Woronicza. Audycja ta powstała w miejsce znienawidzonego przez polityków (zwłaszcza koalicji SLD-PSL) programu „Puls dnia”.

Oglądam zatem np. program, w którym p. Pieńkowska omawia transakcję z Rosją na dostawę gazu („wielka rura”). Pojawia się kilku polityków na ekranie, minister z rządu mówi, że ta transakcja jest dobra dla Polski, polityk z opozycji, że nie jest dobra. Jako widz mogę na słowo honoru wierzyć jednemu lub drugiemu, albo nikomu nie wierzyć. Ale pojawia się na ekranie ekspert, profesor – jak podkreśla – bezpartyjny, apolityczny. Zaczyna mówić, że umowy międzynarodowe w sprawie tranzytu gazu są takie, iż Moskwa może nam zakręcić kurek, jednocześnie posyłając gaz do Niemiec, a zatem kluczowe twierdzenie polskich władz, że nie grozi nam szantaż energetyczny ze strony Kremla, jest nieprawdziwe. Niestety, profesor nie dopowiada swojej myśli ani nie przedstawia dalszych argumentów, gdyż... „brak telewizyjnego czasu”! Pani Pieńkowska przerywa i przechodzi do następnego rozmówcy i następnego tematu. Otóż to: brak czasu. „W centrum uwagi” prezentuje kilka tematów i wielu rozmówców. Każdy zdąży, co najwyżej, powiedzieć kilka banałów, zdań ogólnikowych lub początkowych – i ... „panu (pani) już dziękujemy”. W efekcie, jest to taka sama „sieczka” informacyjna, jak w „Wiadomościach”. Informacje nie mają swojej genezy, nie są osadzone w kontekście, ani nie wynikają z nich żadne rokowania na przyszłość. „Jednym uchem włata, drugim – wylata”, żeby przypomnieć stare szkolne powiedzonko. Niby wszystko zostało podane do publicznej wiadomości, ale widz jak był ciemny przed, tak i ciemny, niczym tabaka w rogu, pozostał po programie.

Ironia losu sprawiła, że „W centrum uwagi” – wzorcowy obok „Wiadomości” program pokazujący, jak z informacji uczynić dezinformację, wyparł „Plus dnia”, program polityczny, ale niezależny od polityków. Wszystko jest więc jasne.

Sztuka błędu

Niestety, chwalony tu przeze mnie pośrednio Wiesław Walendziak za próby uniezależnienia programu telewizyjnego od wpływów polityczno-partyjnych i za „Puls dnia” – nie jest aż tak bardzo kryształowym bohaterem mojego romansu. Był właśnie uprzejmy porozmawiać „na ekranie” z prezydentem Kwaśniewskim. Spytał go np. docieklewie, dlaczego tenże prezydent Kwaśniewski nie skorzystał ze „sprawy Oleksego” i nie zmienił kierownictwa SdRP, nie nadał tej partii nowego oblicza, nie odciął socjaldemokracji od PRL-u? Pomijając już absurdalność pytania o to człowieka, równie mocno zanurzonego w PRL jak Oleksy i inni liderzy SdRP, to przecież nawet średnio rozgarnięty uczeń odpowiedziałby to, co odpowiedział Walendziakowi Kwaśniewski: pan mi tu proponuje cyniczną grę polityczną, oskarżono niewinnego człowieka (Oleksego), prokurator umorzył postępowanie, a w ogóle SdRP to fajna partia, gdyż dba o swoich i składa się z ludzi lojalnych i uczciwych. No, i Walendziak słuca odpowiedzi Kwaśniewskiego, milcząc, bo co mu pozostało. Widz jest tak samo oniemiały jak Walendziak. I cała rozmowa na tę modłę. Ale widz niewinny, widz nie odpowiada za to, że dziennikarz nie jest przygotowany do rozmowy z politykiem. Nieprzygotowanie zaś w swoich skutkach okazuje się być takim samym wykroczeniem wobec etyki zawodowej, jak świadoma manipulacja, czy – tak postulowana przez nowego prezesa telewizji publicznej, Miazka – „życzliwość dla polityków”, będąca formą dworskich pogwarek. I kto potrafi rozsądzić, co było błędem w sztuce, a co sztuką błędu, przecież, czasem wygodniej być złym dziennikarzem.

Money, money

Ale jeżeli błędem jest „odpuszczenie” rozmowy z prezydentem, to jak nazwać bratanie się dziennikarzy z gangsterami? Oczywiście, mam na myśli osławiony bankiet telewizyjnego „Teleexpressu” w mafijnym klubie „Dekadent” z udziałem chłopców z Pruszkowa czy innego Wołomina; prawdę mówiąc, myślą mi się ci gangsterzy. Sądząc z relacji prasowych, pewien stopień życzliwości dla owych „chłopców” dał się wyczuć u najwyższych rangą dygnitarzy telewizyjnych obecnych na tym bankiecie. Zapewne z tego to powodu prezes Miazek – lubiący życzliwość jako taką – wyznacza do wyjaśnienia sprawy człowieka odpowiedzialnego za całe to zamieszanie, szefa Telewizyjnej Agencji Informacyjnej. Ten szef, którego

nazwiska nie wymienię, gdyż mam staromodne przekonanie, że nie wypada tego robić w dobrym towarzystwie, dzielnie wyjaśnił, że właściwie nic się nie stało (a dla świętego spokoju jakiegoś tam biedaka skarcił publicznie, a nawet z pracy zwolnił czy zdegradował). Ale na tym nie koniec. Tenże szef TAI pojawia się przed kamerą i oznajmia zdumionej publiczności, że jeżeli nie skończy się w gazetach z tym rozrabiactwem, że jakoby „Teleexpress” polubił gangsterów, to on ujawni swoją wiedzę i zdjęcia ze spotkania tychże gangsterów, w tym samym klubie, z dziennikarzami innego potężnego medium, bynajmniej zresztą nie publicznego (zdjęcia dostał od gangsterów, jak rozumiem?).

Na człowieku, który nie pojmie, że świat bywa skomplikowany, mogłoby to wyrzucić wrażenie, że szefem informacji telewizji publicznej – czyli najpotężniejszej gazety w kraju – jest facet, będący w dobrej komitywie z gangsterami i nie cofający się przed szantażem publicznym.

Ale to tylko tzw. szary obywatel oniemiał, gdyż mass media nie takie już rzeczy widziały i nie przejmują się byle czym. Dlatego dziennikarze szybko znudzili się bankietem w klubie „Dekadent”, ograniczając się jedynie do wykazania, jak ten niegdyś zwyczajny klub muzyczny dostał się w ręce mafii. Gdyby jakiś polityk pochopnie zajrzał do tego klubu, och, wówczas zainteresowano by się najdrobniejszymi szczegółami. Na przykład, pytaniem, skąd ta życzliwość dla gangsterów ze strony ważnych redaktorów z Woronicza? Może „Teleexpress” nieprzypadkowo był forpoczta disco polo, o którym to gatunku muzyki mówi się, że stanowi żyłę złota dla organizacji przestępczych? Faktem w każdym razie jest, że nie tylko Pawlak i Kwaśniewski lubią disco polo, ale i disco polo lubi postkomunę; wystarczy posłuchać uważnie słów rozmaitych piosek, żeby nie mieć w tej sprawie wątpliwości. I faktem jest również, że disco polo to gigantyczne pieniądze.

Etyka selektywna

Wróćmy jednak do klubu „Dekadent” i do „Gazety Wyborczej”, żeby zamknęło się koło tego tekstu, gdyż od tejże gazety zacząłem listę wspomnień wobec dziennikarzy. „GW” dzielnie demaskowała klub „Dekadent” i ... natychmiast o tym swoim osiągnięciu zapomniała. Zapewne dlatego też 6 września pamiętliwy czytelnik mógł być zdumiony, że oto na pierwszej stronie informatora kulturalnego „GW” zachęca go do odwiedzenia klubu „Dekadent”. W tekście redakcyjnym, nie reklamowym.

Przypowieść o źdźble i belce w oku byłaby tu być może najlepszym komentarzem, gdyby nie moja złośliwa świadomość, że „GW” i tak wie zawsze lepiej od innych. I że co złe dla „Teleexpressu” może być dobre dla czytelników „GW”.

2

PLURALISTYCZNE WODOGŁOWIE

(listopad 1996 r.)

Nie tylko politycy są miłośnikami własnych słów. Kiedy oglądam telewizję albo przeglądam gazety, odnoszę często wrażenie, że koledzy dziennikarze popadli w samouwielbienie.

Najprostszym sposobem, żeby zapewnić sobie przewagę nad zaproszonymi do telewizji gośćmi jest montaż nakręconego programu. Dam przykład z ostatnich tygodni. Brałem udział, wraz z kilkoma jeszcze osobami, w audycji poświęconej lustracji wśród dziennikarzy. Prowadzący program (o nazwie „Tök-szok”) Jacek Żakowski i Piotr Najsztub nie oszczędzili czasu dla omówienia tej kontrowersyjnej dla niektórych kwestii. I, jak to w takiej rozmowie bywa, dużo głądziliśmy, mówiliśmy nie na temat, wtrącaliśmy uwagi o sprawach marginalnych, a przy okazji udało nam się też nieco powiedzieć o meritum zagadnienia. Redaktorzy, co chwalebne, postanowili oszczędzić widza, wybrali z dyskusji fragmenty wypowiedzi i zmontowali program. A wielu dziennikarzy i wiele redakcji niestety używa tego sposobu na dowiedzenie, że ich pogląd jest słuszny, że oni mają rację, że – jak we wspomnianej audycji telewizyjnej – lustracja jest be, Żakowski i Najsztub cacy, a zwolennicy lustracji, to nie potrafiące się wysłowić głąby.

Leniwi wyznawcy

Porażeni miłością do siebie samych i swoich poglądów – niezależnie czy będzie to porażenie stałe, czy chwilowe – są, rzecz jasna, utrapieniem naszej profesji, zwłaszcza że liczy się ich na pęczki, a ja sobie pozwoliłem przytoczyć jedynie przykład z elity elit dziennikarstwa.

Jednak nie tylko tacy, jak oni, grzeszą i nie tylko ich radosna działalność powoduje błędy w sztuce mass mediów.

Oto, dalej rozpatrując zagadnienie, napotykamy leniwych wyznawców pluralizmu. Ci zacni redaktorzy przejęli się nie na żarty zwycięstwem demokracji na gruzach PRL-u, a ponieważ przechodzili jej kurs w tempie przyśpieszonym, to zapamiętali jedynie, że najważniejszy jest bożek pluralizmu partyjnego. Wydaje im się, że jeżeli zaproszą do studia lub na łamy gazety reprezentantów rozmaitych partii, to ze sporządzonego w ten sposób koktajlu propagandy wielopartyjnej odbiorca mediów wyłowi sobie prawdę o danej sprawie. Nic bardziej błędnego! Przekonują o tym np. telewizyjne programy „Forum” i „Pytania o Polskę”. Prędzej można się podczas ich oglądania nabawić pluralistycznego wodogłowia niż cokolwiek zrozumieć. Poza jedną prawdą, rzecz jasna. Bardzo cenną. Taką mianowicie, że partie, jeśli już chcą do czegoś przekonać obywateli, powinny w tym celu używać broszur, zebrań z posłami, wieców, wszystkiego poza radiem, prasą i telewizją. Mass media bowiem to domena dziennikarzy, publicystów, popularyzatorów rozmaitej maści, filozofów, outsiderów politycznych (sceptyków i entuzjastów). Generalnie zaś, ludzi nie biorących udziału w grze partyjnej i politycznej.

Racje partyjne bowiem kształtują się często według nader dziwnych zasad. Partie prawicowe dzisiaj w Polsce, na ołtarzu sojuszu wyborczego ze związkami zawodowymi, poświęcają system podatkowy i tempo oraz kształt prywatyzacji. PSL z kolei, pod hasłem ochrony rodzimego rolnictwa, uruchamia potężną pompę finansową w postaci dotacji, tanich kredytów itp., żeby pieniądze z budżetu państwa przerzucić do „zaprzyjaźnionych firm”, bynajmniej nie do żadnych rolników. SLD zaś, deklarując miłość do prywatyzacji, robi to samo co PSL, a na dodatek pod nazwą Narodowych Funduszy Inwestycyjnych utrwała panowanie centralnej administracji państwowej nad znacznym obszarem polskiej gospodarki. Gdy zatem zaprosić przedstawicieli różnych partii, będą chwalić, niczym pliszki własne ogonki, swoje programy i propozycje, narzucać własne oceny, głusi na rzeczowe argumenty oponentów, gdyż dla nich to element gry, walki politycznej, a publiczne dysputy mają służyć zdobywaniu głosów dla siebie i odbieraniu ich przeciwnikom, a nie wyszukiwaniu sensownych rozwiązań. Dlatego widz czy czytelnik nie ma szansy na obserwację poważnej dyskusji, np. jakie działania powinien podjąć ustawodawca, żeby polska gospodarka mogła się rozwijać bez przeszkód administracyjno-prawnych. Przy wejściu do każdej re-

dakcji powinien zatem wisieć napis: „akwizytorom i politykom, dziękujemy!”.

Entuzjaści cudzego szczęścia

Zakałą naszego zawodu są jednak nie tylko redaktorzy zakochani w sobie i swoich poglądach, ani leniwi wyznawcy bożka pluralizmu. Równie groźni są pasjonaci cudzego szczęścia. Oni to właśnie lepiej od innych ludzi wiedzą, co jest, a co nie jest postępowe, co jest, a co nie jest szlachetne i dobre, co wymaga poparcia, a co potępienia. Postępowa jest tolerancja jako taka, wszystko jedno, czego by dotyczyła, ale nie jest postępowe przywiązanie do wartości. Postępowa jest kultura masowa, ale nie jest postępową religia.

Najzacieklej o cudze szczęście walczy „Gazeta Wyborcza”. Gdy np. redaktorzy tego zacnego dziennika obawiają się, że Lech Wałęsa może zagrozić „naszej młodej polskiej demokracji”, to natychmiast drukują – a było tak parę lat temu – „informacje” o tym, że ludzie prezydenta sondują w Waszyngtonie reakcje Amerykanów na ewentualny prezydencki zamach stanu w Polsce. Wielki przyjaciel „GW”, Bronisław Geremek, natychmiast po tej publikacji rozpoczyna kampanię polityczną przeciw Belwederowi. A że żadnych zagrożeń nie ma? Cóż, można użyć zgrabnej formuły „fakt prasowy”, co zwalnia od odpowiedzialności za słowo, a poza tym – działania podjęto w szczytnym celu obrony demokracji i wolności innych obywateli, więc to usprawiedliwia użyte środki.

Kolejnym klasycznym przykładem deformacji dziennikarstwa w hasło szlachetnych celach są programy telewizyjne Elżbiety Jaworowicz „Sprawa dla reportera”. Autorka, wbrew podstawowym zasadom rzemiosła reporterskiego, nie wysłuchuje wszystkich stron konfliktu, nie poszukuje racji, które mogą być jednoznaczne, ale mogą też być podzielone. Wydaje z siebie tylko emocjonalne okrzyki, rozgorączkowana wypowiada jakieś chaotyczne kwestie, ale wbrew tej rozwichrzonej formie, bardzo precyzyjnie zmierza do z góry założonej tezy. A teza ta we wszystkich programach pani Jaworowicz brzmi następująco: prywatyzacja to złodziejstwo, politycy i urzędnicy to szuje, jedynie robotnicy mają rację, no i rolnicy, no i ludzie ciężkiej fizycznej pracy, a ponieważ ci właśnie ludzie są najmądrzejsi i najszlachetniejsi, to im pani Jaworowicz nisko się kłania, po polsku, czapką do ziemi. I widz już sam nie wie, dlaczego ci mądrzy, szlachetni ludzie nie pokończyli żadnych szkół, nie porobili dyplomów, nie wspięli się po szczeblach drabiny społecznej?

A przecież ani p. Jaworowicz, ani redaktorzy „GW”, ani inni entuzjaści cudzego szczęścia, za nic w świecie się nie przyznają, iż przykrajają podawane przez siebie informacje czy przekazywane relacje do własnych wyobrażeń o tym, co dobre i potrzebne, co może przysłużyć się w danej chwili do szczęścia ogólnego. Albo wręcz je wymyślają, gdyż nic tak dobrze nie służy czytelnikowi, jak fakt prasowy.

Wygnanie sensu

W efekcie tej działalności redaktorów pełnych samouwielbienia, leniwych pluralistów i pasjonatów cudzego szczęścia, niewiele pozostaje miejsca na świat rzeczywisty w mass mediach i na próbę objaśnienia go, uchwycenia istoty wydarzeń. Tym bardziej że pokutują jeszcze dinozaury propagandowe w rodzaju pism partyjnych (np. „Trybuna”), usługowych wobec władzy programów telewizyjnych (np. „Tydzień prezydenta”), kolumny promocyjne partii lub ośrodków władzy w gazetach (np. b. kolumna rządowa w „Rzeczpospolitej”)

Gdzie np. pomieściłby się człowiek, który jest przeciw aborcji i przeciw karze śmierci jednocześnie? Politycy są albo za aborcją i przeciw karze śmierci (to lewica), albo przeciw aborcji i za karą śmierci (to prawica). I poszczególne partie wymagają od obywateli, żeby ci ich poparli, czy wręcz na takie poparcie się powołują. Świat jest bardziej urozmaicony i kolorowy niż się politykom zdaje. Powinnością dziennikarzy jest, po prostu, informowanie o tym świecie i relacjonowanie tego, co ważne dla innych obywateli.

Na szczęście, nie wszystkie mass media i nie wszyscy dziennikarze ulegli degrengoladzie zawodowej. Podawałem wcześniej przykłady negatywne, z większą zdecydowaniem przyjemnością przywołam teraz wzorce pozytywne. Zespoły reporterskie stacji radiowych, jak np. RMF FM, „Zetki”, III Programu PR, WaWy, czy większości gazet codziennych („GW”, „Życie”) zwyczajnie informują, a w interesie nas wszystkich – podpytują, naciskają rozmówców, wykradają tajemnice, czyli robią to, co zaleca elementarz dziennikarstwa. Jeżeli już się zaczyna jakaś manipulacja, to na wyższym szczeblu, przy redagowaniu gazety czy audycji telewizyjnej i radiowej, kiedy to można odpowiednim tytułem i zdjęciem „ustawić” całą wiadomość, jak to komu wygodnie. W ostatnich dniach widać to było wyraźnie np. w „GW” czy „Wprost”, które sympatyzowały z konkurentami Pawłaka do przywództwa w PSL-u i dawały temu wyraz. Czy to znaczy, że dziennikarze nie mogą mieć

poglądów, ani nie mogą oceniać, wartościować? Oczywiście, mogą. Upieram się jednak przy pewnym drobiazgu, żeby koledzy najpierw podawali informacje, a dopiero potem komentowali, a już broń Boże, żeby nie komentowali poprzez fałszowanie informacji. To, niestety, często spotykana metoda.

Komentarz, opinia, ocena to ważne elementy dziennikarstwa, gdyż mass media to nie tylko przekazywanie informacji, to również pomoc przy próbie zrozumienia naszej rzeczywistości. Dla mnie osobiście wartościowe są opinie oryginalne, zwracające uwagę na coś, co pomija stadne myślenie. Dlatego lubię czytać Stanisława Michalkiewicza w „Najwyższym Czasie!”, Jacka Kwiecińskiego i Piotra Wierzbickiego w „Gazecie Polskiej”, Sławomira Mrożka, Stanisława Lema i Jerzego Pilcha w „Tygodniku Powszechnym”, Michała Ogórka w „Gazecie Wyborczej”, Jadwigę Staniszkis (w różnych miejscach)... Na pewno kogoś i pominąłem, przepraszam. Ale w sumie, ilu was? Zostaje więc dużo czasu na lekturę książek i spaceru. Może to i dobrze.

3

DZIŚ: PODRÓBY

(styczeń 1997 r.)

W mediach znajduje się dużo reklam, gdyż to one zapewniają redakcjom wysokie dochody. Sprzedaż egzemplarzy gazet, abonamentów i dekodatorów telewizyjnych, przynosi zdecydowanie mniejsze pieniądze. Radio zaś może się utrzymać wyłącznie z reklam.

Mnie reklamy denerwują. Rozumiem jednak ich konieczność, nawet gdy stacja telewizyjna przerywa film, żeby zachwalać uroki margaryny lub masła. Zgodnie z prawem, reklama musi być wyraźnie oddzielona od części redakcyjnej i najczęściej tak właśnie jest. Ze zdumieniem jednak natrafiłem w ostatnich tygodniach na ślady mniej rzetelnego wobec odbiorcy mediów postępowania.

Podróbka za pieniądze

Oto w grudniowym magazynie „Rzeczpospolitej” (nr 12/52) znajduje się publikacja z cyklu „Ziemia nieznana” pod tytułem „Łódź – naturalne emocje i język biznesu”. Jest to obszerny reportaż, poświęcony temu dużemu miastu. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie pewien drobiazg, reportaż jest upstrzony reklamami różnych łódzkich firm. Naliczyłem dziewięć tych firm. Może jestem nadmiernie podejrzliwy, ale jako czytelnik wolałbym mieć pewność, że zarobione przez „Rzeczpospolitą” na tych reklamach pieniądze nie wpłynęły w najmniejszym stopniu na treść reportażu.

Tekst najwyraźniej finansowany przez swojego bogatera, a udający tekst dziennikarski, znalazłem w noworocznym numerze „Gazety Polskiej”. Autorka (?) sławi w nim pewną firmę wysyłkową; robi to nie żałując słów, a zwłaszcza pochlebnych przymiotników, by na koniec ko-

lumny zatytułowanej „Moda”, a nie „Reklama”, podać adres i numery telefonów tej firmy. Tytuł całości: „Kolorowo, fantazyjnie, bajecznie”. Czytelnik jednak ma prawo być w nieco gorszym nastroju.

Inny przykład. Profesor doktor habilitowany, przedstawiony czytelnikowi, jakżeby inaczej, jako wybitny autorytet, zachwala konkretny preparat do walki z otyłością. Nazwa preparatu jest podana kilkakrotnie, całkiem jakby leczenie miało dotyczyć sklerozy. Ten ewidentnie reklamowy tekst, pomieszczony w magazynie „Gazety Wyborczej” (nr 49/197), udaje tekst dziennikarski, acz uważnego czytelnika zaniepokoi zapewne brak nazwiska dziennikarza, prowadzącego wywiad (?) z owym profesorem doktorem habilitowanym, jak również inny rodzaj czcionki, jaką zastosowano przy tej publikacji, w przeciwieństwie do dziennikarskiej części magazynu. Redakcja więc niby okiem (ostrzegawczo) mrugnęła w stronę czytelnika, ale jakoś tak nieśmiało, za to pieniądze za reklamę zapewne zainkasowała całkiem śmiało, i to prawdopodobnie większe niż zazwyczaj, za podróbkę normalnej gazety własnie.

Z przyczyn wiadomych

Ale pracę dziennikarską pozoruje się nie tylko dla pieniędzy. Coś mnie podkuśiło, żeby w sylwestrowe późne popołudnie włączyć telewizję Polsat (godz. 18.30). Ujrzałem wówczas skupioną twarz marszałka Zycha, który głosem pełnym namaszczenia czytał okrągłe zdania o pełnej poświęcenia pracy Sejmu w minionym roku. No cóż, taka to uroda polityków, że lubią się chwalić. Marszałek siedział w ładnym fotelu, na tle kominka z buzującymi ogniem polanami drewna, na kolanach miał zaś rozłożony album, z którego właśnie czytał rzezone słowa. Było tak, jak powinno być w dniu kończącym rok. Zdziwiłem się jedynie, że Polsat nie ma tzw. teletromptera, czyli urządzenia do czytania tekstu przed kamerą (widz sądzi, iż delikwent mówi jak z nut). No, ale to młoda stacja i nie na wszystko ją jeszcze stać. Dlatego marszałek miał kartkę ze swoim przemówieniem schowaną w albumie, na którego okładce dało się dostrzec napis „Varsovia”. I już uspokojony słowami marszałka, że Sejm zrobił, co mógł, chciałem zmienić program, kiedy na ekranie ukazała się dziennikarka(?) i zadała panu marszałkowi kolejne, jak się okazało, pytanie. Ten zadumał się przez chwilę nad nową, zaskakującą kwestią, przewrócił kolejną kartkę w albumie – i zaczął czytać odpowiedź...

Nie ma co jednak wydziwiać nad Polsatem, skoro najwyższe w kraju ciało do dbania o interes widzów i słuchaczy, Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, pofatygowała się do prokuratora, żeby tylko zaopiekowała nadawaniem przez telewizję kablową nowego polskojęzycznego programu (RTL 7). O ile jeszcze przy sporze z Graus o stację telewizyjną Polonia 1, Krajowa Rada mogła argumentować koniecznością wprowadzenia ładu w eterze i zgodnego z prawem rozdziału częstotliwości, to już emisja w kablówce nikomu nie zawadza. Nikomu poza wspomnianą Radą, która okazała się gronem osób czułych na oczekiwania polityków SLD i biznesmenów o wielu paszportach. Całkiem zaś niezłych na potrzeby widzów, którym najbardziej dogadza przecież sytuacja dużego wyboru między programami telewizyjnymi.

Można wprawdzie sarkastycznie zauważyć, że świat mediów to w dużej mierze świat pozorów, a zatem nie powinno nas dziwić pozorowanie pracy dziennikarskiej przez niektóre redakcje, czy też pozorowanie pracy na rzecz niezależnych mediów przez Krajową Radę Radiofonii i Telewizji. Niemniej w interesie własnego, zawodowego zdrowia psychicznego, i w interesie odbiorcy mediów, trzeba wyrazić zdziwienie tymi faktami, nawet w sytuacji braku nadziei poprawy.

Kto, gdzie, jak?

Problemem dodatkowym jest jednak i to, że nie bardzo jest gdzie owo zdziwienie wyrażać. Koledzy z „Rzeczpospolitej” prosili mnie usilnie, żebym koniecznie przypiął łatkę ich pismu (co z ochotą zrobiłem), albowiem nie chcą uchodzić za jedynych sprawiedliwych. No i mają rację, przecież każda redakcja zajmująca się wykroczeniami przeciw kodeksowi zawodowemu dziennikarzy będzie podejrzana o stronniczość. Jest wprawdzie, skądinąd interesujące, pismo „Press”, poświęcone naszej profesji, jednak wydaje je w Poznaniu spółka z o.o., a więc znowu jest to czyjś (czyj?) stronniczy interes. Stowarzyszenia zaś dziennikarskie albo mają charakter związku zawodowego, albo są skompromitowane moralnie (jak SDRP, związek z epoki stanu wojennego), albo ledwie dychają (jak stare SDP Stefana Bratkowskiego).

Ale, powtórzę, dziwić się trzeba. Będę to więc robić nadal. Stronniczo, rzecz jasna.

4

NA PIERWSZY ZĄB

(luty 1997 r.)

Gdyby ktoś, równie zawzięty jak piszący te słowa, kupił 22 stycznia wszystkie gazety o tzw. ambicjach opiniotwórczych i rzucił okiem na ich pierwsze strony, musiałby niezawodnie dojść do wniosku, że są one wydawane w różnych krajach. Jeżeli bowiem redaktor gazety X uznał, że jakaś informacja jest na tyle ważna, żeby ją wyeksponować na pierwszej stronie, to redaktorzy pozostałych gazet mieli całkiem inne zdanie na ten temat.

W kolejności alfabetycznej, redaktor „Gazety Wyborczej” zachwyił się wypowiedzią Kwaśniewskiego w Budapeszcie w sprawie NATO i tej wypowiedzi oraz spotkaniom Kwaśniewskiego na Węgrzech poświęcił tzw. czołówkę gazety. Ciekawe, że nikt inny – łącznie z redaktorem „Trybuny” – nie zauważył na pierwszej stronie wyprawy prezydenta RP.

W „Rzeczpospolitej” redaktora bardziej od NATO fascynował problem cel na zboże, choć rząd nic (wówczas) nie postanowił jeszcze w tej sprawie. Na usprawiedliwienie redaktora „Rz” dodam, że dwie inne gazety znalazły miejsce na pierwszych swych stronach dla problemu cel zbożowych (dla krótkiej informacji – „GW”, dla dłuższej – „Życie”).

W „Sztandarze” uznano, że tematem dnia są studia wieczorowe i zaočné. W „Trybunie” zaś nikt nie miał ani cienia wątpliwości, że czytelnik nie może się doczekać relacji z rozpoczynającej się w dniu wydania gazety Rady Generalnej Międzynarodówki Socjalistycznej, na której miał zadebiutować pan Józef Oleksy. To zatem wydarzenie – solidarnie nie odnotowane przez inne gazety na żadnym, nawet najbardziej poślednim (choćby wśród ogłoszeń) – miejscu, stało się hitem gazety związanej z SdRP.

Z kolei „Życie” wprowadza nas w wir wydarzeń krajowych i próbuje przyciągnąć czytelnika rozpoczynając się właśnie w Sejmie debatą budżetową (co krótko odnotowują także „GW” i „Rz”).

Właściwie jednak, to jedynie redaktor „Życia Warszawy” mógł być pewien, że nikt nie powieli jego „czołówki”. Na najbardziej eksponowanym miejscu zamieścił on bowiem wywiady z aktorkami Demi Moore i Cher.

Co w karcie dań

Pierwsza strona gazety jest zwykle wypadkową orientacji politycznych redaktora i wydawcy, chęci przyciągnięcia nowego czytelnika, ambicją sprostania konkurencji w przekazywaniu informacji, błędów w sztuce i świadomych wyborów.

Najłatwiej jest zapewne komponować pierwszą stronę „Rzeczpospolitej”, która ma zaiste imponującą wielkość. Nic zatem dziwnego, że 22 stycznia pomieściło się tam aż 9 dużych tekstów, 14 małych, 2 zdjęcia i ... reklamy. Wszystkie te publikacje, poza reklamami, odsyłały czytelnika do środka gazety, były zatem czymś w rodzaju rozbudowanego spisu treści. Podobną techniką posługują się i pozostałe gazety, choć nie tak konsekwentnie i całościowo. Najbardziej zbliżone do „Rz” pod tym względem są „Życie” i „GW”. Ta ostatnia zresztą stara się – mimo małego formatu wydrukować na pierwszej stronie jak najwięcej informacji i w tym rankingu zajmuje po „Rz” drugie miejsce (6 dużych i 6 małych). Pod względem informacyjnym wyraźnie in minus od pozostałych odbiegają „Sztandar” i „Trybuna”, a zwłaszcza „Życie Warszawy”, jeśli wziąć pod uwagę jego format. Odnoszę zresztą wrażenie, że „Życie Warszawy” w ogóle straciło ambicje opiniotwórcze, o czym świadczy publikowanie raz w tygodniu dodatku promującego disco polo i wywiady z aktorkami zamiast informacji.

Wszystkie gazety łączy zamiłowanie do mieszania informacji z minipublicystyką, dwie („GW” i „Trybuna”) eksponują również komentarz polityczny. Właściwie nie ma gazety czysto informacyjnej, a choćby tylko jednej takiej pierwszej strony. Też nie jestem wolny od ciągów do komentowania, dlatego powiem bez skrępowania, że po przeglądzie z 22 stycznia „Sztandar” i „Życie Warszawy” jawią mi się jako gazety lekceważące informację, o zacięciu raczej tygodnikowym niż dziennikarskim, „Trybuna” jako gazeta partyjna (wizyta Oleksego w Radzie Międzynarodówki najbardziej wyeksponowanym tekstem), pozostałe

zaś mają zacięcie polityczne („GW”), polityczno-gospodarcze („Życie”) i gospodarczo-polityczne („Rz”).

Potrawy różne, smaki te same

Cztery gazety zaserwowały na pierwszej stronie informację o tym samym wydarzeniu: spotkaniu Kohla z Klaussem i deklaracji pojednania czesko-niemieckiego. „Rz” pomieściła duży tekst aprobująco-ceremonialny. „Życie” oficjalne duże zdjęcie polityków, witających się na lotnisku, co przecież byłoby warte odnotowania jedynie, gdyby jeden drugiemu nie podał ręki, „Trybuna” malutkie oficjalne zdjęcie i takież tekst. Za to „GW” przebudziła śpiących już czytelników, publikując, obok krótkiej informacji o samym wydarzeniu, dynamiczne zdjęcie ludzi protestujących przeciw spotkaniu i deklaracji pojednania. Wprawdzie nie-uważny odbiorca gazety mógłby odnieść wrażenie, że „GW” jest przeciwna pojednaniu, co jako żywo nie miało i nigdy nie będzie mogło mieć miejsca w tej akurat gazecie, jednak czasem trzeba zaryzykować, jeżeli chce się redagować gazetę „ruszającą się”.

Co jednak gazety tak naprawdę sądzą o pojednaniu, nie sposób było wywnioskować z ich pierwszych stron. Wszystkie odsyłały do tekstów wewnątrz numerów. Jest to zresztą maniera spotykana w całej prasie a ma ona jawnie na celu utrudnianie życia czytelnikowi. Na pierwszej stronie mamy albo zapowiedź, albo napoczętą informację – a reszty szukaj człowieku na jakichś dalszych stronach. Jeszcze dobrze jak odsyłacz jest prawidłowy, a przecież w druku często mylą się te drobne cyferki, no i wertuj całą gazetę. A później wracaj znowu na stronę pierwszą!

No, ale właśnie. Wracam i ja. Kohl i Klaus zjednoczyli aż cztery dzienniki warszawskie. Nie udało się to nikomu innemu. Jeszcze cła na zboże i debata budżetowa miały pewne powodzenie, gdyż poświęciły im trochę miejsca na pierwszej stronie „GW”, „Życie”, i „Rz”. I to jedne tematy wspólne.

Jak wspomniałem na początku, omawianych 6 gazet sprawia wrażenie jakby były one wydawane w różnych krajach. A przecież czytelnik, który ryzykując zdrowiem (psychicznym), przeczytałby uważnie wszystkie teksty opublikowane na ich pierwszych stronach, zgodziłby się zapewne z moją opinią, że jadł tę samą zupę. Skąd to podobieństwo smaków mimo różnych potraw?

Nie jest to dla mnie jasne. Może chodzi o taką samą technikę pisarską tekstów informacyjno-publicystycznych? A takie przecież dominu-

ją na pierwszych stronach. Najpierw pojawia się nazwa tematu. W tym dniu były to tematy następujące: mienie żydowskie, państwowy tygodnik, prywatyzacja sektora paliwowego, projekt tranzytu dla Rosjan, reforma prawa karnego, wyrób pieczętek, grzechy byłego wojewody gdańskiego, zmiany w OC, obligacje trzyletnie, transfer Marka Citki, bezrobocie, olimpiada zimowa w Zakopanem, reforma ubezpieczeń zdrowotnych. Po tytułach są dwa zdania wprowadzenia, następnie jedna lub kilka krótkich wypowiedzi (parozdaniowych) ludzi, którzy są „blisko tematu”, następnie zaś odesłanie – albo do środka gazety, albo do dyskusji w przyszłości lub parlamencie, albo w rządzie, lub do szykowanego projektu ustawy czy też innego zarządzenia. Teksty te nie zawierają skondensowanej informacji o poruszonym problemie, co najwyżej zapis obecnie wypowiedzianych o nim poglądów, i to też nader wybiórczy.

Na koniec zatem ja też wypowiem wybiórczą opinię o poruszonym problemie. Otóż, problemem pierwszych stron gazet warszawskich jest informacja jako taka. Redaktorzy wyraźnie upodobili sobie koktajl: tekst informacyjno-publicystyczny plus tekst – zapowiedź tego, co w środku gazety. W skrajnych wypadkach „okraszane” jest to tekstem propagandowo-partyjnym („Trybuna”), a zdarza się i komentarz nie jako wyodrębniony tekst, ale wpleciony w tekst niby-informacyjny. Zalecam zatem powrót do źródła dziennikarstwa: po pierwsze informować.

PS.

Po poprzedniej „Małpiej złośliwości” (Plus Minus nr 2/9) otrzymałem list od szefa Magazynu „Rzeczpospolitej”, Jacka Lutomskiego, a w nim protest przeciw posądzeniu, że na treść reportażu o mieście Łodzi, pomieszczonego w tymże Magazynie, mogą mieć wpływ przedsiębiorcy z tego miasta, których reklamy ulokowano w tekście reportażu. Przyjmuję to do wiadomości, dziękując za uprzejmy list, ale chcę dodać, że moja supozycja nie była informacją, tylko uwagą osobistą, a zatem subiektywną, że nie jest najzdrowiej kwestować gdzieś za pieniądze i opisywać to miejsce jednocześnie. Mogą się bowiem wówczas rodzić pokusy, którym – jak mnie zapewnia Jacek Lutomski – Magazyn „Rzeczpospolitej” się oparł.

5

MIMO WSZYSTKO – DZIWNE

(marzec 1997 r.)

Zdaniem telewizyjnej „Panoramy” (29 grudnia, 21.00) Butroz Ghali jest sekretarzem generalnym ONZ, ale już w kolejnej informacji staje się sekretarzem „ustępującym”. Podobnie w tej samej „Panoramie” list od wojskowych popierających manifestantów w Belgradzie jest listem rzekomym, aby po niewielu sekundach, w kolejnej informacji, stać się listem po prostu, bez żadnego znaku zapytania. No, i telewizyjny jest w kropce, co jest informacją, a co mija się z prawdą. Podobne kłopoty przeżyli czytelnicy „Życia”, jeżeli akurat interesowali się rozłamem w Unii Wolności. Otóż, 8 stycznia „Życie” doniosło, że UW opuściło (tu cztery nazwiska) posłów.

Następnego zaś dnia, już w tytule „Życie” informowało „sześciu posłów odeszło...”, niestety jednak redakcja nadal podawała jedynie cztery nazwiska i czytelnik zdany był na własną domyślność lub zaradność.

Nie sądzę jednak, żeby i najbystrzejszy czytelnik poradził sobie z następującym wywodem: „Muzeum Historii Ruchu Ludowego zostało właścicielem Pałacu Blanka – pod koniec roku budynek podarowały mu bankrutujące Pracownie Konserwacji Zabytków. Transakcję popierał minister kultury Zdzisław Podkański. Klasycystyczny pałac przy Senatorskiej 14 oddano nowemu właścicielowi razem z wynajmującym go od dwóch lat Bankiem Wschodnio-Europejskim. Miesięczny czynsz, który dotychczas wpływał na konto PKZ, to kilkaset tysięcy złotych. Pracownie podarowały budynek wart wiele milionów złotych, co prawda z ponadpółmilionowym długiem, który obciąża hipotekę pałacu. Bankrutujące pracownie są bowiem zadłużone wobec ZUS-u i skarbu państwa na ponad kilkanaście milionów złotych” („Gazeta Stołeczna” z 15 stycznia). Pomijając już ten dziwolak, że zdaniem „Gazety” jedna

instytucja podarowała drugiej bank – co przecież nie było przejawem hojności, a jedynie niezręczności stylistycznej dziennikarzy – czytelnik traci orientację w sprawie tak ważnej jak pieniądze. Jeżeli bowiem PKZ uzyskiwały miesięcznie kilkaset tysięcy złotych czynszu, to półmilionowy dług hipoteczny nie mógł stanowić problemu. Z kolei, jeśli dług wobec skarbu państwa jest tak duży, to dlaczego nie znalazł odzwierciedlenia w hipotece? Poza tym, co tak naprawdę znaczą określenia: „kilkaset” (200 czy 900?) i co znaczy „wiele milionów złotych”? Jak na tekst piętnujący niegospodarność trochę za dużo znaków zapytania.

Nie tylko niechlujstwo

Czytelnik zachłanny, studiujący więcej niż jedną gazetę codzienną, jest narażony na stresy dodatkowe, czyli rozbieżności w kwestiach elementarnych, faktograficznych w relacjach z tych samych zdarzeń w różnych pismach. Oto 16 stycznia prasa doniosła o makabrycznej zbrodni. Dwóch nastolatków dla zakładu zabiło jednego i usiłowało zabić drugiego mężczyznę. Według „Życia”, „ok. godz. 4 nad ranem dwaj 16-letni chłopcy podeszli do mężczyzny spacerującego z psem. (...) Młodzi bandyci pocięli mu twarz, szyję, ramiona i dłoń. Mężczyzna stracił przytomność, ale przeżył. Pięć minut później, kilkaset metrów od miejsca pierwszej napaści, wyszukali kolejną ofiarę. (...) Napadnięty wykrwawił się na śmierć”. W „Gazecie Wyborczej” czytamy jednak inną wersję: „Okolo godz. 3 nad ranem dwaj 17-latkowie napadli na samotnego przechodnia. Kawalkami szkła przecięli mu tętnicę szyjną. 44-letni mężczyzna zmarł z wykrwawienia. Po tym napadzie chłopcy zaatakowali mężczyznę spacerującego z psem. (...) Tym razem napadnięty zdołał się wyrwać”. Nie ta godzina napadu, nie ta kolejność zdarzeń, nie ten wiek sprawców, a przecież – najpewniej – to samo źródło informacji, czyli oficer dyżurny komendy policji.

Mamy zatem do czynienia z czystym niechlujstwem informacyjnym samych dziennikarzy, co w tym ostatnim przykładzie, mimo że tak widoczne, nie jest może najważniejsze, gdyż czytelnikowi jest zapewne wszystko jedno, kto kogo, w jakiej kolejności itd. Ciekawsze że „GW” poinformowała, iż jeden z zabójców w parę godzin po morderstwie służył jako ministrant do mszy, a „Życie” ani się o tym zająknęło.

Tak od wykroczeń, czyli np. niechlujstwa w podawaniu informacji, przechodzimy do przestępstw, czyli naginania informacji do własnych potrzeb (politycznych lub innych). W reportażu pomieszczonym w ko-

lorowym magazynie „Gazety Wyborczej” (3. 01) autor, Leszek K. Talko, pisząc o działaniach jednego z bohaterów swojego reportażu wspomina, że narysował on dla potrzeb KPN-u ulotkę nawołującą „do zniesienia dyktatury komunistycznej, otwarcia granic, wolnych wyborów, likwidacji aparatu biurokratycznego. Wszystko to w 1971 r. I dodaje kąśliwie: „Nie wiadomo, co by zrobił naród po zapoznaniu się z ulotką”. Rzecz w tym, że bezpieka aresztowała ich, nim zdolali rozkolportować ulotki, a nie lubiany przez autora reportażu bohater trafił na półtora roku do więzienia. Zapewne reportera „GW” denerwuje, że ktoś krytyczne przez niego oceniany ma osiągnięcia, np. wykazał się wielką odwagą cywilną. Po odpowiedź zaś, co może zrobić naród po zapoznaniu się z ulotkami, odsyłam Leszka K. Talko do jego pryncypała, Adama Michnika. który przecież świetnie zna siłę słowa i sam za słowo właśnie siedział w więzieniu.

Oczywiście, przestępstwem są także plagiaty. Ale jak zakwalifikować autoplgiaty? Wykroczenie, przestępstwo, złamanie dobrych obyczajów czy nic istotnego?

W interesującej radiostacji „Wawa”, komentator Piotr Zaremba zwykł raz w tygodniu raczyć słuchacza tym, co był napisał do gazety „Życie”. W tejże samej radiostacji, autor zabawnych audycji kabaretowych (dialogi z panem redaktorem) używa swojego charakterystycznego głosu i sposobu wysławiania się do reklam. Ale może nie jest to nadużyciem, skoro do reklam wynajmują się popularni spikerzy telewizyjni, znani aktorzy, a nawet znani lekarze, jak Jerzy Woy-Wojciechowski, reklamujący buerlecithin w „Twoim Stylu”? Zaś poważne pismo branżowe poświęcone mediom, „Press”, zamieszcza kryptoreklamę RTL-7 w postaci, skądinąd bardzo sympatycznej, fotografii dyrektora generalnego tej stacji i stosownego (?) tekstu.

Lem i Małpa

Kryptoreklama, plagiat, autoplgiat i takie różne, to najczęściej skrętnie skrywane grzechy i grzeszki. Tym bardziej jest porażająca szczerłość spotykana w mediach tu i ówdzie. Trzy przykłady z ostatnich tygodni. Z ulotki reklamowej jednej z lecznic („Arthromed”): „Ceny, jakie proponujemy są konkurencyjne nawet w stosunku do łąpówek”.

To była szczerłość celowa. Ale jest i szczerłość przypadkowa, kiedy to treść zdarzeń sama się odsłania, wbrew dziejopisom i dziennikarzom. Z wielką pompą „GW” obwieściła o prezydenckiej „Karcie Kultury Pol-

skiej". Z tej to okazji nawet jeden z autorów tej karty, Andrzej Rosner, pomieścił w „GW” (19 lutego) duży artykuł o wielkiej wadze tej inicjatywy Aleksandra Kwaśniewskiego. Artykuł zilustrowano zdjęciem prezydenta, rozmawiającego z reżyserem Jerzym Kawalerowiczem. Traf chciał jednak, albo i sam diabeł, że w tym samym czasie Jerzy Urban pomieścił na pierwszej stronie swojego tygodnika („Nie” nr 8) zdjęcie tyłka swojej żony, w artystycznej fotografii tegoż samego Jerzego Kawalerowicza.

A na zakończenie, szczerść ujmująca. Stanisław Lem, zapytany przez dziennikarza, Piotra Cieślińskiego, z komputerowego dodatku do „Gazety Wyborczej”, o posługiwanie się komputerem, odpowiada: „Osobiście nie umiem posługiwać się komputerem”. Wielka nagroda i dla pisarza, i dla dziennikarza. Umówmy się, że jest to pierwsza nagroda „małpiej złośliwości” tzw. Małpa, przyznawana co kwartał dla najbardziej niespodziewanego, ale i miłego zdarzenia w polskich mediach. Kto normalny wpadłby na pomysł, żeby pytać Lema, czy potrzebny mu komputer?

6

PO PROSTU FAKTY

(kwiecień 1997 r.)

Najpierw cytat: „Fakty” nie są i nie będą grupą jakiegokolwiek nacisku. Nie reprezentują też niczych interesów, poza interesami państwa. Podkreślam: państwa, a nie rządu. Niezależnie kto ten rząd sprawuje. (...) zajmują pozycję neutralną politycznie (...) całkiem świadomie rezygnują z tematyki czysto politycznej na swoich łamach. Po cóż bowiem zajmować się sporami międzypartyjnymi, walkami o wpływy i elektorat, skoro tylko 9% Polaków deklaruje „żywe zainteresowanie polityką”?

Tak w pierwszym numerze tygodnika „Fakty” (z 27.02.97) napisał jego szef, Artur Howzan. Słowa, rzecz jasna, nie dotrzymał, a pismo aż pęcznieje od tekstów politycznych (przykładowo w numerach 1-4, o Bugaju, Balcerowiczu, Krzaklewskim, spółkach pod kontrolą polityków, o ważnych osobistościach życia publicznego, które były tajnymi współpracownikami SB, o odwoływaniu wojewodów przez poszczególne rządy itp. itd.). Nie mam o to pretensji, gdyż tygodnik polityczny – a takim są „Fakty” – musi zajmować się polityką. Nie dziwi mnie też rozmijanie się słów i faktów w wydaniu Howzana. Po pierwsze, stara się on teraz zmylić pogonie i wmówić czytelnikom, że pismo powołane przez władzę rządową (min. Leszka Millera) i finansowane z pieniędzy podatników (bez pytania ich o zgodę) oraz posługujące się nieuczciwymi metodami walki na rynku (dumping, pod postacią niezwykle niskiej „ceny promocyjnej”) jest ideałem wolnej prasy i rzecznikiem interesu obywateli. Po drugie, Howzan wiernie, razem ze swoim opiekunem Millerem, służył w stanie wojennym systemowi kneblowania wolnego słowa i ma wprawę w radzeniu sobie z faktami.

Nie dziwi zatem główne przesłanie Millera-Howzana: „Obywatelu

(czytelniku), polityka to nie jest zajęcie dla ciebie, ty pomyśl o sprawach życia codziennego, a my ci w tym pomożemy”.

Politykę niech robi rząd, on wie lepiej?

Władza chce więcej

No, ale jeżeli pozwolić rządowi, żeby sam robił politykę, to on chce więcej i więcej. Chce także władzy nad mediami. Koronny przykład stanowią losy telewizji, podobno publicznej, a i ostatnie poczynania w tej mierze rzeczniczki Jakubowskiej. Zażądała ona bowiem, żeby „Wiadomości” telewizyjne wyświetliły fragmenty wybrane z policyjnej kasety przez służby informacyjne rządu z zajęć w Ministerstwie Skarbu 19 marca (okupacja gmachu przez górników i usuwanie ich siłą przez policję). Za PRL-u telewizja też nadawała filmy kręcone przez SB jako źródło prawdy ostatecznej. Zatem i tu wraca nowe! Nieuważny obserwator życia mediów mógłby, co najwyżej, być zdziwiony, że spór o policyjny filmik wybuchł między Jakubowską a szefem „Wiadomości”, Snopkiewiczem, skoro para ta kilka lat temu opuściła telewizję w – jak to nazwali – proteście przeciwko naciskom polityków (rządzących) na dziennikarzy (niezależnych). Snopkiewicz jest nadal dziennikarzem, a Jakubowska została urzędnikiem przy rządzie i zapewne dlatego zmieniła zdanie w odwiecznym sporze między władzą a mediami. Jedyne ktoś o nieco lepszej pamięci mógłby sobie przypomnieć, że Jakubowska zawsze była w świecie władzy, gdyż jej PRL-owskie dziennikarstwo wyrażało się najpełniej w rzewnych filmach o I sekretarzu KC PZPR końca lat 80. Była zatem bardzo odpowiedzialną pracownicą frontu i Snopkiewicz mógłby o tym pamiętać, gdyby chciał i nie nakładać na nią stroju dziennikarki niezależnej. Ale nałożył – i teraz ma za swoje.

A propos, Snopkiewicz. Został on właśnie nowy szefem Telewizyjnej Agencji Informacyjnej, czyli największej gazety w Polsce. I, oczywiście, zapowiada niezależność od nacisków politycznych. Podobnie jak Howzan i „Fakty”. Ważne są jednak nie słowa, o które zawsze najłatwiej, ale czyny. Polecałbym widzom ostrożność w oczekiwaniach. Oczywiście, gdy Howzan, Miller czy Jakubowska mówią o niezależności, to wiadomo, co o tym myśleć. Wystarczy sobie przypomnieć, co ci ludzie robili i robią. Jeżeli chodzi o Snopkiewicza, to jego dokonania zawodowe rokują dobrze „Wiadomościom”, z czego się cieszę jako ich wierny, acz zgorzkniały z irytacji, widz. Ale ostry spór Snopkiewicza

z Jakubowską, wbrew pozorom, nie wróży dobrze. Bo, przecież, jednak fragment tej żalosalnej propagandowej kasety szef TAI wyemitował. To zaś był już moim zdaniem, skandal zawodowy. Telewizja może pokazać albo własną relację, albo własny wybór z cudzego nagrania z odpowiednim, tłumaczącym sprawę, komentarzem.

Słowa, słowa, słowa

Ale co ja się tak czepiam?! Przecież w naszym fachu znowu nastał złoty czas dla tandeciarzy. Jak w PRL-u. „Fakty” to doprawdy drobiazg, jeżeli uwzględnić, że nie pracuje w tym tygodniku nikt, kto naprawdę liczy się w naszej branży. W takiej „Polityce” jednak to co innego. Z czytelnikami żegna się Daniel Passent, felietonista o uznanej pozycji w ostatnich kilkudziesięciu latach. Żegna się, gdyż wyjeżdża w ambasadory (Chile), a urzędnikowi państwowemu nie wypada komentować, poza tym pisał już tak długo... No i po tygodniu w miejscu felietonu Passenta czytelnik znajduje tekst niejakiego Bywalca („Polityka” nr 14 z 5.04.97) pisany jakby ręką Passenta (genius loci?) i z aluzyjnym tytułem nowej rubryki „Koniec świata” (Chile?). Zresztą, ktoś o pamięci nieco lepszej niż Snopkiewicza wobec Jakubowskiej, mógłby pamiętać, że już kiedyś za PRL-u, był w „Polityce” Bywalec, a honoraria odbierał Passent.

A więc znowu, nagadał, nagadał, a rzeczywistość jest inna? Wniosek z tego wszystkiego jest prosty, aż banalny: równie uważnie, co słowom do nas wypowiedzanym, trzeba przyglądać się ludziom, którzy je wypowiadają. I pamiętać o ich czynach. W sumie, wiedzieć swoje – opierając się na faktach, rzecz jasna.

7

PRASOWE CHWYTY

(czerwiec 1997 r.)

Podobno jest taki szczególny sposób oddziaływania na telewidza i kinomana, że umieszcza się znak reklamowanego produktu na co n-tej klatce filmowej, co z kolei powoduje, iż widz niby ogląda zwyczajny film, ale jego podświadomość nasiąka ukrytą przez nadawcę treścią. Mass media też tak postępują na codzień, choć robią to mniej subtelnie. Najbardziej znane metody to stosowanie tytułu, który narzuca interpretację danego wydarzenia lub problemu, albo odpowiedniej dla tego celu ilustracji.

Pisać po ludzku

Ale najpierw parę słów o rzadziej stosowanym chwycie. Oto pisząc lub mówiąc np. o astronomi, dorzucamy niespodziewanie uwagę, że gdyby liberalizm (jeżeli wola – wstaw tu inne określenie) był racjonalny, to człowiek już dawno podbiłby kosmos. Niby wiąże się to z tematem (bo kosmos), ale nie bardzo. I ma raczej na uwadze cel polityczny, a nie związany z astronomią. W dodatku „Dom – budownictwo, nieruchomości, wnętrza” („Gazeta Wyborcza” z 19 marca br.), Piotr Pacewicz, pisząc o kryzysie w budownictwie mieszkaniowym, napomyka nagle: „Nie ma kapitału, nie ma rynku kapitałowego... Wszystko prawda. Ale jednego jestem pewien, tak źle nie musiało być. Trzeba było mniej energii poświęcić na lustrację, aborcję, rozmaite siekierki, mniej zajmować się budownictwem republiki kolesiów, a bardziej mieszkań dla obywateli”. Cóż, gdyby w miejsce „siekierek” wstawić pojęcia polityczne, aprobowane przez Piotra Pacewicza, np. „siłę spokoju” bądź „grubą kreskę”, to miałyby to taką samą wartość poznawczą, jak wywód

poprzedni. Czyli zerową. Nie tylko bowiem należy mieszkać po ludzku, ale i warto w ten sam sposób pisać.

Z równą, co autor „GW” po publicystyce, zgrabnością poruszają się autorzy niektórych reklam w języku polskim (?). „Na początku było Światło. Teraz jest Osram” (vide np.: „Dom i wnętrze” nr 2/97), albo „Jasne jak słońce Osram” (vide np. „Cztery Kąty” nr 4/97). Inna z kolei firma usiłuje nas przekonać do swoich wyrobów tekstem: „Rynny, o których słyszałeś, gdy nie byłeś jeszcze zalany”.

A propos, „zalanie”. Zbigniew Boniek w całostronicowych reklamach w gazetach i na tablicach ogłoszeniowych zachęca do Kodeksu Polskiego Kibica, ale czyni to na tle, a właściwie w środku, nalepki piwa „Lech”. Jakby to skomentowali chłopcy z warszawskiego Powiśla: sędzi farmazony o sporcie, a chodzi mu o szmal i ochlaj. Rzeczywiście coś dla kibica.

Jak Boniek o kibiców, tak Telekomunikacja Polska S.A. troszczy się o Polaków. Oto jej rzecznik prasowy, Krzysztof Bartnicki, obwieszcza w płatnej reklamie: „Celem nadrzędnym Telekomunikacji Polskiej S.A. jest zapewnienie telefonu każdemu, kto tego oczekuje. Liczba wniosków o telefon sięga 2,3mln”. Gdyby sięgała jeszcze większej liczby oczekujących – często od wielu lat – Telekomunikacja byłaby jeszcze dumniejsza?

Z językiem polskim – jak sądzą domorośli dziennikarze, spece od reklamy i urzędnicy – można zrobić prawie wszystko. Na szczęście, język potrafi nam się odwdzięczyć pięknym za nadobne. I bezlitośnie obnaża nowomowę i bzdurę.

Wystarczy tytuł

Prawdziwe szkody może jednak przynieść manipulowany tytuł, nie mający wiele wspólnego z treścią przekazywaną pod nim, ale za to wiele z pożądaną przez redakcję interpretacją danej sprawy. Słusznie ubolewa nad tym Sławomir Mrozek w „GW” z 19-20 kwietnia: „«Niemiec zabił» – taki tytuł między innymi zobaczyłem w codziennej gazecie i przeczytałem o co poszło”. A poszło o to, że w zderzeniu się samochodów z rejestracją niemiecką i polską zginął obywatel. Tyle i tylko tyle. „Dłaczego więc – sarkastycznie pyta Mrozek – tytuł notatki brzmiał tylko «Niemiec zabił», a nie «Niemiec zabił Polaka»? Otóż dlatego, że choć Niemiec szczególnie lubi zabijać Polaków, to – jak wiadomo – w zasadzie nie przebiera i zabija każdego kto podleci. A więc w imię obiektywizmu

i antyszowinizmu. Ale dlaczego «Niemiec zabił»? Dlaczego akurat taki tytuł, a nie inny, który by nie nasuwał powyższych pytań? Mam nadzieję – pointuje Mrozek – że tylko z głupoty i zamiłowania do efektywnych tytułów, tej manii, na którą chorują prawie wszystkie polskie gazety.”

Ja też mam nadzieję, że tylko z tych powodów w tygodniku „Polityka” (z 5 kwietnia br.) możemy przeczytać artykuł pod tytułem „Co Polak kradnie”, choć przecież nie dlatego kradnie, że jest Polakiem. Albo w „GW” (z 8 maja), że „Zabili, bo Czarny”, choć z opisu tej ponurej historii wynika, iż wszyscy w nią zamieszani, łącznie ze wzmiankowanym w tytule przedstawicielem rasy, zamieszkującej głównie Afrykę, byli „nawaleni” jakby bez przerwy czytali plakaty Bońka, nadto, co tu ukrywać, byli tzw. elementem kryminalnym. Więc może akurat to zabójstwo nie było przejawem rasizmu?

Tytuł zatem też, podobnie jak niezręczna stylistyka, może dokonać autodemaskacji redaktora i autora. W „Rzeczpospolitej” z 23 maja br. na pierwszej stronie, na wielce eksponowanym miejscu, stoi jak byk tytuł następujący: „Polska przegrała ze swoim obywatelem”. Rzecz dotyczy tego, że sądy polskie od wielu lat nie były w stanie rozpatrzyć sprawy o zwrot nieruchomości, zabranej w 1951 r. matce wspomnianego w tytule obywatela, a Komitet Ministrów Rady Europy uznał takie postępowanie za naruszenie przez Polskę Europejskiej Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności. Taka decyzja, pierwsza zresztą jeśli chodzi o nasze państwo, jest wstępem do przyznania poszkodowanemu odszkodowania. To wielkie zwycięstwo praw człowieka, ale „Rzeczpospolita” woli w tym widzieć porażkę Polski. Co dziwi tym bardziej, że to wcale nie Polska przegrała, ale polski rząd, sądownictwo, biurokracja po prostu. Zwycięstwo praw człowieka, praw polskiego obywatela, to w istocie zwycięstwo Polski, a porażka złego aparatu państwowego...

Pasja wpływania na rzeczywistość, bez oglądania się na sposoby, to nader silny narkotyk. Jak widać, silniejszy niż przestrogi wybitnego pisarza, Sławomira Mrożka.

Aż strach zatem pomyśleć, co zobaczymy na ekranach naszych telewizorów, skoro nowy szef Telewizyjnej Agencji Informacyjnej, Jacek Snopkiewicz, wynajął profesjonalnego reżysera do telewizyjnych „Wiadomości”. Reżyser zapowiedział, że dobierze się nam do skóry. I wejdzie przez ekran do naszych domów.

Gazety już wchodzą, używając do tego celu szokujących fotografii.

Atak na oczy i etykę

Dwa przykłady i jeszcze więcej wątpliwości. W „Życiu” z 11 kwietnia br. znajdziemy na stronie trzeciej zdjęcie z podpisem: „Dewastacje cmentarzy są w Polsce coraz częstsze”. Na zdjęciu zaś tajemnicza, odwrócona do nas tyłem, postać mężczyzny z drągiem w ręku właśnie zmierza rozbić nagrobek. Idę o każdy zakład, że fotoreporter „Życia” nie tyle złapał złoczyńcę na gorącym uczynku, ile namówił kogoś do pozowania. Inscenizacja w słusznej sprawie?

No, ale ta podróbka, to małe piwo w porównaniu ze zdjęciem AP, zamieszczonym na pierwszej stronie „Rzeczpospolitej” z 19 maja br. Na fotografii widzimy na pierwszym planie przewracającego się mężczyznę, trzymającego się za piersi, a w pewnym oddaleniu sylwetkę człowieka z bronią w ręku. Podpis pod zdjęciem informuje: „Rebelianci Laurenta-Desire Kabili przyjęli kontrolę nad Kinszasą. W mieście panował wczoraj spokój, jednak sporadycznie dochodziło do wymiany ognia między wrogimi wojskami, a także do egzekucji. Jedną z ofiar był nie zidentyfikowany mężczyzna, którego najpierw przyprowadzono do koszar, w których żołnierze wierni Mobutu zdawali broń, a następnie wyprowadzono na pustą ulicę i rozstrzelano”.

Pomijając pytanie, na które od lat padają wzajemnie się wykluczające odpowiedzi, czy fotograf (reporter prasowy, operator telewizyjny itd.) ma w takiej sytuacji robić zdjęcie czy ratować człowieka, któremu grozi śmierć i jaką ma w ogóle szansę na interwencję – można spytać, czy nie jest czasem tak, iż wyprowadzono tego nieszczęśnika przed koszary, zamiast zabić go w środku, co byłoby, zapewne i logiczniejsze, i bezpieczniejsze – specjalnie w celu zrobienia zdjęcia? Dla pieniędzy? Na postrach? Z euforii zwycięstwa? A może – aż strach pomyśleć – ten człowiek nie byłby zabity, gdyby nie było w pobliżu usłużnego aparatu fotograficznego?

Nie wiem. Ale przecież w każdym wariantcie intencja tego zdjęcia była zła, a nawet wręcz zbrodnicza. I szkoda, że są reporterzy i agencje gotowe za takie inscenizacje płacić grube pieniądze.

8

POSEZONOWA WYPRZEDAŻ

(wrzesień 1997 r.)

Przez wakacje uzbierało się nieco przykładów rodem z oślej łączki polskich mass mediów. Ale głównym powodem zwlekania z publikacją do września była nie litość, tylko chęć zdystansowania się od emocji powodziowych. Otóż bowiem powódź nie tylko załaziła południe Polski, ale również – niejako przy okazji – zatopiła resztki tego, co pozostało po telewizji publicznej. Nie chciałem jednak o tym pisać w dniach, gdy tak wielu ludzi przeżywało tragedię. Ale po kolei.

Pisarz odwiedził, redaktorzy raczyli, poziom padł

W maju przyjechał do Polski jeden z najwybitniejszych żyjących naszych pisarzy, Gustaw Herling-Grudziński. Oczywiście, oblegali go dziennikarze. Chcieli wywiadów, chcieli czegoś, co nadawałoby się na pierwsze strony gazet. Zapewne nie oczekiwali sensacji, ale refleksji, myśli, której tak brakuje w polskim życiu publicznym. I pisarz dzielił się swoimi opiniami. Z korzyścią dla czytelników gazet, odbiorców radia i telewizji. Ze szczególną rewerencją przywitała pisarza „Rzeczpospolita”, której jest on stałym autorem. Ale już w „Życiu” rewerencji starczyło tylko dla pisarza, wobec czytelników było jej mniej i dlatego nie oszczędzono nam zdjęć i opisów w rodzaju „redaktor powitał, rozmawiał, powiedział” (vide: „Życie” z 24-25 maja). W dobrej firmie takie wypadki jednak dziwią.

Jak na przykład w dobrym programie zabawowym panów Młynarskiego, Ogórka, Daukszewicza i Jaroszyńskiego („Cafe Fusy”, pr. 1 TVP, 19 czerwca godz. 21.00), nagle, jak zgrzyt metalu po szkłe, zabrzmiał

dowcip o pani prokurator, która powiedziała, że gdyby została zgwałcona, to znając procedury policyjno-prokuratorsko-sądowe, nie złożyłaby doniesienia, żeby oszczędzić sobie publicznych upokorzeń. Panowie z „Cafe’ Fusy” a vista dodali kolejne upokorzenie: domniemanie, że może zgwałcona kobieta nie odczuła przykrości..., a wręcz przyjemność? Bardzo śmieszne.

Wpadka przy pracy? Mam nadzieję, że nie zapowiedź dostosowania się do discopolowego poziomu, jaki charakteryzuje większość programów rozrywkowych w telewizji (publicznej i komercyjnych bez różnicy).

Kuriozalne wręcz obniżenie poziomu zanotował telewizyjny film dokumentalny. 19 czerwca w pr. 1 TVP nadano film o tzw. żywych torpedach, które to torpedy miały być rzekomo prowokacją polskiego wywiadu przed II wojną światową. Teza o prowokacji i tajnej operacji była eksponowana w zapowiedziach filmu. W filmie wypowiadają się żyjący jeszcze ochotnicy do tychże żywych torped mobilizowani przez różne przedwojenne armie. Nie ma ani słowa o prowokacji polskiego wywiadu, ani jednej próby rozszyfrowania rzekomej tajemnicy. Dopiero, gdy film się kończy, zdumiony widz czyta napis na planszy, że żywe torpedy były, być może, tajną operacją polskiego wywiadu. Jak, gdzie, kiedy?! Ach, to już nie zmartwienie twórców filmu (reż. Andrzej Sroczyński). Film sensacyjny bez sensacji? Może i to jest patent; na pewno zaś ułatwia pracę.

Logika i wybory

5 września w „Gazecie Wyborczej” znalazłem zastanawiający passus: „Tylko kilka miast w Polsce może pochwalić się niemal identycznymi wynikami jak wyniki wyborów. W wyborach w 1993 r. najbardziej zbliżone wyniki miały miasta: Węgliniec (Jeleniogórskie), Wołów (Wrocławskie), Świebodzin (Zielonogórskie) i Strzelin (Wrocławskie). Wybór padł na Wieruszów”. W pojęciu logiki tradycyjnej ten wywód Agnieszki Kublik jest bezsensowny, jednak w logice wyborczej niewątpliwie się mieści. Jak przecież doniósł Grzegorz Sroczyński w „Życiu” (z 6-7 września), na plakatach wyborczych AWS i Unii Wolności do głosowania zachęcają Polaków uśmiechnięci cudzoziemcy. Cieszą się, że oni nie muszą głosować?

Czy słusznie jednak czepiam się informacyjnego tekstu Agnieszki K., skoro jego oczywisty lapsus wynikał zapewne z pośpiechu. W polskich gazetach można znaleźć „lapsusy” wynikające z przyczyn głębszych, ze

swoistego widzenia osobno spraw, które osobne nie są. W „Tygodniku Powszechnym” (nr 32 z 10 sierpnia) na stronie 16 znajdujemy słowa potępienia przez Józefę Hannelową akcji na rzecz usunięcia komunistycznych notabli z Alei Zasłużonych (zasłużonych, podkreślmy to) warszawskiego cmentarza na Powązkach: „Młodzi nie chcą czekać. Chcą jakby namacalnie do swego osądu przyłożyć rękę. Potwierdzają, że szukanie wrogów jest im bardzo potrzebne, a może i niezbędne do istnienia, i że tych wrogów można znajdować także na cmentarzach, gdy żywych jest jakby za mało. (...) Cmentarze nie jako miejsca myśli pełnych wdzięczności, lecz jako teren wymierzania wyroków – to perspektywa, której zasięgu nie sposób jeszcze przewidzieć. Jeśli tego nie rozumiem, może pora odchodzić?”. A na stronie trzeciej tegoż „TP” Michał Okoński ubolewa, na marginesie wypowiedzi osławionego wiceministra Szamałka: „Zamazywanie historii, relatywizm moralny, brak odpowiedzialności za słowa i czyny, to najwyraźniej nieodłączne cechy SLD”.

Ejże, a czy czasem nie ma z tym relatywizmem coś wspólnego przyzwolenie na chowanie zbrodniarzy w alejach zasłużonych (zasłużonych, podkreślę uparcie znowu)?

Zrobieni „na żywo”

9 lipca powódź zawitała do telewizji. Najpierw w pr. 2 TVP Katarzyna Dowbor zebrała o 21.30 różnych gości, którzy apelowali o pomoc dla powodzian, ale nie potrafili podać ani adresów oddziałów PCK, ani innych adresów, pod które pomoc można wysłać, bo przecież nie pocztą na Berdyczów? Przy okazji, Katarzyna D. pochwaliła się, że telewizja utworzyła specjalne konto dla powodzian i wpłaciła już tam pieniądze (numer konta upiornie długi, nie do zapamiętania ani przepisania z ekranu). Następnie, program 1 tejże TVP nadał o 22.30 audycję „Widziałem...” Marii Wiernikowskiej. Jako informacja – do niczego. Chaotyczne obrazki z helikoptera wojskowego, brak rozeznania w sytuacji ogólnej. O 23.00 – „W centrum uwagi”, prowadzone przez Tadeusza Zwiefkę, i wreszcie jakieś informacje: że meteorolodzy ostrzegali, że brak państwowego systemu bezpieczeństwa, że taka woda w dorzeczu Wisły to dopiero byłaby katastrofa. Ale za tymi informacjami nie idzie dociekliwość ani przepytywanie osób odpowiedzialnych za bezpieczeństwo państwa, za system ostrzegawczy przed katastrofami, za system ratowniczy.

Tak to się zaczęło na małym ekranie. Nie było relacji „na żywo” z terenów powodzi. Nie było przez wiele, wiele dni studia informacyjnego. Powstały ad hoc (i chwała im za to) studia pomocy dla powodzian, Maria Wiernikowska (i chwała jej za to!) swoimi reportażami unaoczniała całej Polsce grozę sytuacji, ale na Woronicza nikt nie zadbał, żeby telewizja wypełniła wobec widzów funkcję informacyjną, czyli swój psi obowiązek, a nie żadną łaskę. Gdy zdesperowany Tadeusz Kraśko zadał Wiernikowskiej pytanie, które części Wrocławia są zalane, a które nie, usłyszał zdumiony, a wraz z nim cała Polska: „Nie znam dobrze Wrocławia, nie mogę powiedzieć” (13 lipca, 1 pr. TVP, godz. 20.50 „Widziałam...”).

Telewidz musiał zatem odnieść wrażenie – i ja takie wrażenie odniosłem – że kilku dziennikarzy o dobrej woli i determinacji zawodowej, usiłowało niejako na własną rękę wprowadzić powódź do programów telewizyjnych. Przy oporze kierownictwa tej firmy i jej programów informacyjnych. Jeżeli jedynym wysłannikiem telewizji na początku powodzi jest reporterka bez własnych środków lokomocji, bez helikoptera, bez zespołu współpracowników, a zatem bez możliwości ogarnięcia całości zjawiska, to intencje szefostwa nie mogły być czyste. Bo nigdy nie uwierzę, że są to ludzie głupi. Jacek Snopkiewicz, szef telewizyjnej informacji, nie dosyć przecież, że jest doświadczonym dziennikarzem, to na dodatek parę tygodni przed powodzią zapowiadał, że zrobi telewizję informacyjną „na żywo” (vide: „Polityka” nr 21). No i niebo zesłało mu najbardziej dramatyczne informacje, jakie mógł sobie wymyślić. I co? I figa z makiem; tyle dostał telewidz „na żywo”. Telewidz miał być tak samo zagubiony, jak samotna Wiernikowska, i tak samo jak ona nie mieć szans na ogarnięcie całości. Od całości były bowiem koncesjonowane przez rząd propagandowe transmisje ze sztabów powodziowych. Transmitowane „na żywo”! Oto jak się spełnił ideał Snopkiewicza. TVP była w dniach powodzi zła profesjonalnie nie dlatego, że taka jest, tylko dlatego, że taka chciała być. Nowa forma cenzury?

* * *

Zakończmy jednak akcentem przyjemniejszym. Pora na kolejną nagrodę kwartalną (z letnim opóźnieniem) za największe (pozytywne!) osiągnięcie medialne. W moich oczach na to miano zasłużyło opublikowane przez „Gazetę Wyborczą” zdjęcie Romana Jagielińskiego, z dymi-

sją w rękę i z aureolą złocistego żyrandola na głowę („GW” z 11.04.). Jagieliński wygląda jak kabotyn, a „GW” przecież konsekwentnie broniła Jagielińskiego wręcz forowała go. Zdjęcie ośmiesza jej faworyta, ale jest znakomite. Redaktorzy nie mogli się oprzeć. I chwała im za uznanie prymatu racji profesjonalnych nad politycznymi. Autorem zdjęcia jest Sławomir Kamiński. Gratuluję i jemu, i redaktorowi prowadzącemu tamto wydanie gazety.

9

POLITYKA, POLITYKA

(listopad 1997 r.)

We wrześniu wybory, w październiku – formowanie koalicji i rządu. Dużo, bardzo dużo polityki na co dzień. Jak w tym wszystkim wypadły gazety codzienne wydawane w Warszawie? „Pobrałem” pięć próbek (w przeddzień wyborów, w dzień po wyborach oraz 10, 14 i 24 października) z 7 dzienników: „Express Wieczorny”, „Gazeta Wyborcza”, „Rzeczpospolita”, „Super Express”, „Trybuna”, „Życie” i „Życie Warszawy”.

Cisza i emocje

Na 48 godzin przed wyborami parlamentarnymi zapadła – prawnie rzecz ujmując – „cisza wyborcza”, czyli zakaz agitacji i ogłaszania sondaży. Trzy gazety („GW”, „Rzeczpospolita” i „Życie”) opublikowały nie sondaże, a prognozy wyborcze, co merytorycznie wyszło na to samo, a raczej skutecznie ośmieszyło przepis prawny. Ale to stało się na dwa dni przed pójściem wyborców do urn. Zaś w sobotę przedwyborczą, GW, „Życie” i „Rzeczpospolita” zachowały cnotę bezstronności, podobnie „Express Wieczorny” i „Życie Warszawy”, jednak „Super Express” nie potrafił już ukryć, jak bardzo zależy mu na zwycięstwie Leszka Balcerowicza i jego partii; wyeksponował badania sondażowe, z których wynikało, że Leszek Balcerowicz jest człowiekiem, od którego z pełnym zaufaniem kupiłbyś samochód. Żarliwość i zaangażowanie „Super Expressu” było jednak niczym wobec pierwszej strony „Trybuny”, która w całości została przerobiona na plakat antyprawicowy, gdzie określenia typu „chamstwo powszechne”, „bandytyzm i złodziejstwo”, „płaczliwy patriotyzm” swoim poziomem szły w zawody z rysunkami autorstwa Diatlika.

Sympatie polityczne i sposób traktowania wiadomości wyborczych nie uległy, rzecz jasna, zmianom po ogłoszeniu wyników. Charakterystyczne jednak, że trzy najpoważniejsze i największe dzienniki dały niemal jednobrzmiące tytuły. GW – Zwycięstwo AWS, „Życie” – „AWS: smak zwycięstwa”, „Rzeczpospolita” – „Wyraźne zwycięstwo AWS”. Podobnie zatytułował swoją pierwszą stronę „Express Wieczorny” – „Solidarność wygrywa”. Z wyniku wyborów wyraźnie był niezadowolony „Super Express”, który dał tytuł: „Teraz AWS”, licząc zapewne na podświadome skojarzenie swoich czytelników z efektywnym skrótem TKM („Tera k...my”), jakim charakteryzowano przed wyborami postawę niektórych polityków AWS-u. Przy okazji, SE posłużył się kłamstwem matematycznym, dodając do tego tytułu od razu drugi: „Nie będzie większości bez Unii Wolności” (to zresztą też odwoływało się do podświadomości czytelników, w której być może tkwi jeszcze stare bojowe zawołanie ze stanu wojennego: „Nie ma wolności bez Solidarności?”), jakby nie było innych partii w parlamencie.

„Trybuna” zaś nadal nie skrywała swojej nienawiści do prawicy, pisząc: „4 tysiące rusza na Warszawę?”, co miało oznaczać, że teraz na pewno zaczną się tzw. czystki personalne.

Emocje w dół, sympatie w górę

10 października nikt już nie przeżywał wyniku wyborczego, za to gazety ogarnęła pasja odgadywania składu koalicji i rządu. „Rzeczpospolita” informuje, że „Krzaklewski chce sam wyznaczyć premiera”, w czym zawarta jest lekka, wręcz subtelna, przygana. „Życie” nie gani przewodniczącego AWS, ale go za to samo chwali w tytule: „Dwa asy i joker Krzaklewskiego”. Gracze karciani wiedzą doskonale, że trudno o lepszą kartę niż podany zestaw. GW, poirytowana sposobem zachowania lidera zwycięskiego ugrupowania, zauważa w tytule na pierwszej stronie: „Marian Krzaklewski: Ważne jest tylko to, co ja mówię”. W podobnym tonie wypowiada się „Trybuna”: „Wie tylko Krzaklewski”. A SE sprowadza politykę do poziomu swoich czytelników, nazywając Krzaklewskiego, w tekście o nim i jego żonie, „tatuśkiem”. „Życie Warszawy” natomiast chyba wzięło rozbrat z polityką.

A oto te same gazety po czterech dniach. „Życie Warszawy” znowu ucieka z polityką z pierwszej strony, popularne EW i SE też już chyba znudziły się tworzeniem koalicji i skoncentrowały na sensacjach innego rodzaju, tylko „Rzeczpospolita” wytrwale usiłuje opisywać sytuację po-

lityczną w tytułach, tym razem sygnalizując konflikt między przyszłymi koalicjantami: „Kto komu ustąpi”. Konflikt sygnalizuje też „Gazeta Wyborcza”, choć nieco go bagatelizuje tytułem: „Kto pierwszy pozna premiera”. „Życie” z kolei sugeruje ustępstwa Unii Wolności, pisząc: „Unia przelicytowała?”, „Trybuna” zaś, jak zwykle w swoistej i wyborczej formie określa rozmowy koalicyjne mianem „Jak jamnik rozmawiał z brytanem...”, a Krzaklewskiego konsekwentnie – na wzór tygodnika „NIE” – nazywa „Wodzem”.

Znużenie nade wszystko

24 października, według zapowiedzi desygnowanego premiera, miał być ostatecznie ogłoszony skład rządu. Nie został. Gazety chyba się znużyły bezpłodnym oczekiwaniem. „Życie” donosi z wyraźnym zniecierpliwieniem: „Nowy rząd dopiero w środę” i dodaje wyjaśnienie: „Spór o Ministerstwo Sprawiedliwości”. „Super Express”, „Express Wieczorny” i „Życie Warszawy” w ogóle nie wpuszczają tematyki rządowej na pierwszą stronę, ograniczając się do wzmianek w głębi numeru. Podobnie, jeśli chodzi o pierwszą stronę, zachowuje się „Rzeczpospolita”. Nie inaczej GW, choć ta rozpoczyna na czołówce rozważania, co zrobić ze służbami specjalnymi, a wiąże się to wprost ze sporem o resort sprawiedliwości, zasygnalizowanym w tytule „Życia”.

I aż nudno dodawać, ale trzeba z kronikarskiego obowiązku, że „Trybuna” nadal szydzi z Krzaklewskiego w ogromnym tytule „Prawdziwe oblicze Wielkiego Mariana”, z odpowiednio dobranym zdjęciem.

* * *

W chwili, gdy Państwo czytacie te słowa, jest już, mam nadzieję, nowy rząd – i każdy zna nazwiska nowych ministrów. Proszę więc same-mu sprawdzić i ocenić, jakie emocje wywołały nominacje w poszczególnych dziennikach. Miłej lektury!

10

PO ROKU

(styczeń 1998 r.)

Wspomniałem już kiedyś w tym miejscu o samoświadczającej się reklamie. Główną przyczyną, że reklama stawała się antyreklamą, była nieporadność językowa przy tłumaczeniu frazesów reklamowych z angielskiego na polski. Ale równie nieprzewidywalnym w skutkach może być, jak się niedawno okazało, entuzjastyczne działanie promocyjne mass mediów. Oto np. wchodząca na rynek telewizja TVN uznała za lokomotywę swojej oglądalności relację z walki bokserskiej między Andrzejem Gołotą a Lennoxem Lewisem. Na nieszczęście dla TVN, nie była to transmisja bezpośrednia, a relacja spóźniona o kilkadziesiąt godzin. Gdy więc wszyscy wiedzieli już o niesławnym laniu, jakie zainkasował Gołota i chcieli o nim jak najszybciej zapomnieć, TVN kusiała w wielkich kolorowych reklamach w gazetach (np. w „Gazecie Wyborczej” z 6 października): „Cios po ciosie. Obejrzyj w TVN...itd.”.

Prawdą jest jednak, że my, dziennikarze, jesteśmy sto razy śmieszniejsi w wyczynianych głupstwach od specjalistów od reklamy i promocji. W „Rzeczpospolitej” (z 30 października) znajdujemy tekst o antysemitkich publikacjach z 1968 r. kandydatki na urząd ministra kultury. Sama kandydatka mówi tak: „... artykuły, przyznając podłe i głupie, sygnowane moim nazwiskiem”. Ten niejasny język u osoby oskarżonej nie dziwi, ale i sam dziennikarz ulega magii nowomowy kandydatki i stwierdza: „*«Życie» opublikowało tekst, w którym zasugerowało, że... była... autorką antysemitkich... itd.*”. Sygnowano, zasugerowano... Ale nie koniec na tym. Dwa tygodnie później „Rzeczpospolita” (z 15-16 listopada) zamieszcza następujący passus (Jerzy Haszczyński w wywiadzie z Tiną Rosenberg): „...napisała... tekst o treści pośrednio antysemitkiej”. Sygnowano, zasugerowano, pośrednio antysemitki... I czytel-

nik ma poważne wątpliwości, dlaczego autorka sygnowanego tekstu nie objęła pośrednio choćby sugerowanego jej stolca ministerialnego?

Niestety, dziennikarze często z lenistwa albo niewiedzy przejmują język i argumentację swoich informatorów. Nawet nie starają się nabrać profesjonalnego dystansu do tego, co opisują, że o przydatności własnego zdania już nie wspomnę.

Gnębą nas nie tylko nasze niedoskonałości, ale również właściciele i wydawcy mass mediów. W mijającym roku – i tu już przechodzę do spraw naprawdę poważnych, jak przystało na felieton, zamykający stary rok i otwierający nowy – otóż, w tym mijającym roku, stały się dwie sprawy ważne złe i jedna dobra. O dobrej na końcu.

Bardzo dużo zamieszania wywołał wydawca „Dziennika Bałtyckiego”, który postanowił na ołtarzu dobrych stosunków z władzami państwowymi złożyć niezależność dziennikarską i zabronił gazecie publikacji krytycznych o prezydencie Kwaśniewskim, a do tego ostatniego wystosował list z przeprosinami za dotychczasowe publikacje i z zapewnieniem, że to się więcej nie powtórzy. Jak to złośliwie, a trafnie, skomentowała „Polityka” (nr 40, Ewa Wilk), byliśmy świadkami, „hołdu bawarskiego”, z tej to bowiem pięknej krainy jest właściciel i wydawca DB, Neue Passauer Presse.

Złośliwości złośliwościami, oburzenie w mass mediach oburzeniem, ale idę o każdy zakład, że wydawcy DB nie spadł, w sensie honorowym, żaden włos z głowy. Na pewno nadal jest ważnym człowiekiem stowarzyszeń wydawców itd., itp., i razem z innymi tworzy ramy prawne i klimat dla niezależnego dziennikarstwa.

O niezależne mass media walczą też zapewne członkowie Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, ponieważ złożyli stosowny – i jak twierdzą w tym duchu – projekt nowelizacji dotychczasowej ustawy. Jak w starej anegdocie, kto zepsuł zegarek, ten rwie się do jego naprawy? Przecież Krajowa Rada dopuściła do krańcowego upolitycznienia i upartyjnienia mediów publicznych! I to jest właśnie druga ważna zła sprawa, jaka stała się w polskich mediach w mijającym roku.

A propos, upartyjnienia. Mówi się w tym kontekście wyłącznie o ochronieniu dziennikarzy i wydawców przed dominacją władzy i polityków. Ale właśnie z oficjalnych sprawozdań powyborczych dowiedzieliśmy się, że współwłaściciel „Gazety Wyborczej” finansował kampanię Unii Wolności. Może więc przyjdzie nam niebawem chronić polityków przed bogatymi i wpływowymi wydawcami?

I na koniec coś optymistycznego. To dobre, co się stało na rynku

mediów, to pojawienie się nowych telewizji prywatnych. Z tej okazji dokonałem przeglądu emitowanych już dzienników w 5 stacjach telewizyjnych (dwa programy TV publicznej, RTL 7, TVN, Polsat), ale wnioski są mało interesujące: telewizje przekazują informacje, czasem – rzadko – da się wyczuć sympatie polityczne, w każdym razie nie jest to nachalne, wiadomości ze świata są wszędzie traktowane po macoszemu – i to tyle. W sumie, nie ma o czym mówić. A właściwie, jest o czym: mamy wreszcie wybór, jakiego do tej pory nie było na rynku telewizyjnym, zdominowanym przez publicznego molocha, przekazywane informacje można różnie wartościować, można je różnie podawać, i różne wnioski z nich wyciągać. A widz sobie wybiera, co mu odpowiada. To jest to dobre właśnie i życzę Państwu i sobie, żeby nowy rok był rokiem nadal zwiększającego się wyboru na rynku mass mediów.

11

NOWALIJKI I STAROCIE

(luty 1998 r.)

W ostatnich miesiącach pojawiły się dwie nowe stacje telewizyjne: TVN i Nasza Telewizja, jedna warszawska stacja radiowa „Pogoda”, gazeta codzienna „Nasz Dziennik” i tygodnik ilustrowany „Magazyn”, dodatek do „Rzeczpospolitej”. Czy zaproponowały one coś nowego swoim widzom, słuchaczom i czytelnikom? Coś, czego jeszcze nie było na rynku medialnym?

Na pierwszy rzut oka – nie. Nowym telewizjom i radiu przyjrzą się dokładniej w najbliższych tygodniach i z tego, co zobaczą, zdam państwu relację w marcowej „Małpie”. Na razie, tylko dwie wstępne uwagi: TVN i Nasza idą utartym torem – opera mydlana, prościutki teleturniej czy inny show, filmy akcji, seriale. Audycje o włos ambitniejsze od rozmów w maglu są spychane na margines lub w ogóle wypychane z programu. Wyjątkiem, potwierdzającym regułę, są znakomite reportaże Edwarda Miszczaka w TVN. Co do Radia „Pogoda” zaś, to budzi ono moje uznanie spokojnym, kulturalnym tonem spikerki i starannym doborem przebojów z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Miły oddech po wrzaskliwych stacjach, atakujących cały wszechświat. Ale, jak mówię, rzecz wymaga staranniejszego zbadania, co niebawem uczynię. Dzisiaj, przyjrzymy się nowym gazetom.

Pro domo sua

„Magazyn”, dodatek do „Rzeczpospolitej”, nie jest tak całkiem nowym tworem, gdyż ukazywał się od kilku lat najpierw w rytmie comiesięcznym, a potem codwutygodniowym – i w innym, o połowę mniejszym, formacie. Teraz jest to tygodnik, kolorowy, bogato ilustrowany

i w dużym formacie. Sądząc z pierwszych pięciu numerów, recepta na ten magazyn jest prosta: dużo agresywnej ilustracji, także jak najwięcej kolorowej reklamy, wielu popularnych ludzi jako bohaterów publikacji (głównie aktorów, sportowców, polityków), a także – jako autorów (np. aktorka, relacjonująca wyprawę turystyczną do egzotycznego kraju), kilka felietonów, film, moda, krzyżówka (raczej mało wymagająca).

W efekcie ogląda się to gładko, ale w głowie niewiele zostaje. Jest, przynajmniej dla mnie, czymś zdumiewającym, że w „Magazynie” nie ukazały się teksty o Clintonie, Iraku, Bliskim Wschodzie – toż to przecież decydują się, być może, losy świata, afera goni sensację, sensacja idzie o lepsze z pogrozkami władców o wojnie światowej, a tu – w „Magazynie” – ani dudu.

Ewidentnie najsilniejszym punktem magazynu są okładki, malowane (zestawiane, rysowane) przez plastyków (m. in. Rafał Olbiński!). Są to okładki o kilka klas lepsze od tych ilustrowanych zdjęciami. Okładki plastyczne są „trudne” w odbiorze, wymagają pomyślenia, nie pozwalają na jałowe gapienie się, jak na stereotypową fotografię. A przecież są jednocześnie niesłychanie atrakcyjne. Radziłbym redaktorom, żeby poszli w tę trudniejszą stronę.

Nasz, czyli...

„Nasz Dziennik” wystartował przy dużym zainteresowaniu publicznym. Jest na rynku potrzeba i miejsce dla dziennika o sympatiach pracowniczych, a po drugie – gazetę tę firmują te same środowiska, które wspierają i współtworzą Radio Maryja. To nader liczna grupa ludzi. Od strony wizualnej, „Nasz Dziennik” jest pismem ubogim, jakby programowo zgrzebnym, o małej objętości, z marnymi i nielicznymi fotografiami, łamanym bez polotu i dynamiki. Ta gazeta nie zachęca, aby wziąć ją do ręki. Ale dla czytelnika dużo ważniejsza jest treść, tym bardziej że – jak zauważyła redakcja w artykule wstępnym pierwszego numeru: „Od dawna Polacy oczekiwali na nowe pismo codzienne, które byłoby źródłem wiarygodnych wiadomości o Polsce i świecie, o polityce, gospodarce, Kościele, czy polskiej wsi, Czekali na dziennik, informujący o sprawach wielkich i małych, jednoznacznych i kontrowersyjnych, zarazem o tym, co dla wielu jest niewygodne, co chcą ukryć i przemilczeć. Chcemy dać Polakom «Nasz Dziennik», który będzie odtrutką na zalew kłamstwa i manipulacji ze strony lewicy, przez demaskowanie jej, ale także przez pokazywanie Prawdy, Dobra i Piękna”.

To, co najbardziej rzuca się w oczy, to nieukrywanie przez redakcję poglądu, sądu własnego o opisaną sprawę. „Nasz Dziennik”, jak lubi – to bezwarunkowo, jak nie lubi – to również do końca. Oto np. znajdujemy notatkę o proteście „grupy mieszkańców” osiedla w Zielonej Górze przeciwko instalacji masztów i nadajników Radia Maryja i Radia „Nadzieja” (także katolickie), gdyż boją się promieniowania. Lęk to zrozumiały, jeśli wspomnieć gwałtowne protesty przeciw budowie masztu Polskiego Radia w Konstancynie czy ostrzeżenia lekarskie w sprawie pola elektromagnetycznego wytwarzanego przez telefony komórkowe. Ale redakcja „ND” wie swoje i komentuje tytułem: „Promieniowanie czy...?”. No właśnie – czy co? Podejrzewam, że gdyby radiostacje były lewicowe, to informacja o proteście została by opatrzona tytułem pełnym troski o zdrowie mieszkańców Zielonej Góry.

Ma więc „Nasz Dziennik” cechę właściwą prawie całej polskiej prasie, i w ogóle niemal wszystkim polskim mediom, że nie potrafi wznieść się ponad osobiste, partyjne, grupowe sympatie i antypatie. Niewątpliwą jednak zaletą „ND” jest nieukrywanie tego. Odróżnia to korzystnie tę gazetę od innych stroniczych mediów, przybranych w togi obiektywizmu.

Po pierwszych kilkunastu dniach ukazywania się dziennika, trudno o pełną ocenę. Zatem jeszcze tylko parę spostrzeżeń. Negatywne: uboga informacja, nieobecność w piśmie ważnych dla polskiej racji stanu wydarzeń w polityce amerykańskiej, stwarzanie wrażenia, że Irak jest ofiarą amerykańskiej agresji, wytwarzanie niechęci do Unii Europejskiej (kuriozalny i niesmaczny wręcz tytuł: „Między Katyniem a Maastricht”, nr 7). Pozytywne: wydobywanie spraw przemilczanych w innych gazetach (np. sprzedaż bardzo dochodowej poznańskiej „Polfy” i konsekwencje tego dla polskiego rynku leków, nr 4), ucieczka od taniej popularności i publikowanie codziennie tekstów ambitniejszych, pobudzających do refleksji, na stronie „Myśl jest bronią”.

A propos tych tekstów ambitniejszych, kariera Radia Maryja – jak myślę – wzięła się w dużej mierze z tego, że radio to zaproponowało swoim słuchaczom rozmowę o sprawach istotnych, o wartościach, dylematach moralnych itd., itp., a nie infantylny szczebiot o niczym, jak w innych licznych radiach i telewizjach. Czyli Radio Maryja weszło na pole opuszczone przez radio publiczne, które w pogoni za stacjami komercyjnymi zapomniało o swoich obowiązkach (podobnie jak telewizja publiczna, zresztą). To pokazuje, jak ogromne jest zapotrzebowanie na rozmowę istotną, jak bardzo czytelnicy, widzowie czy słuchacze tego

pragną! I w tym jest szansa dla prawicowego dziennika, a i dla takiej stacji telewizyjnej, gdyby powstała... Na razie „ND” tego pola nie zajął.

* * *

Rozmowy istotnej rzeczywiście brakuje. Media ulegają presji bezmózgowia, prezentowanego przez kolorowe piśmidełka, robione według sznytu popularnej prasy niemieckiej. Tylko temu mogę przypisać, że relacje polskich gazet, stacji radiowych i telewizyjnych z „afery rozporkowej” Clintona koncentrowały się na stronie obyczajowej albo na reperkusjach w USA i dla tamtejszych układów, a prawie nikt z szanownych redaktorów nie zadał pytania, zdawałoby się, elementarnego: jakie mogą być konsekwencje tej afery dla Polski?

No, ale kto ma o to pytać? Chyba nie korespondentka telewizji publicznej w USA, Dorota Warakomska, która na ulicach Hawany odpytywała publicznie Kubańczyków, czy kochają Fidela?! Oczywiście, że kochają...

12

RÓWNANIE W DÓŁ

(marzec 1998 r.)

Zapowiedziałem ostatnio relację z oglądu nowych mediów elektronicznych: telewizji TVN i Naszej Telewizji oraz Radia Pogoda, od tego zatem wypada dzisiaj zacząć.

Obie telewizje stosują sprawdzoną przez innych recepturę. Seriale, filmy sensacyjne, teleturnieje, audiotele i inne konkursy dla widzów, własne programy informacyjne, talk-show i odrobina publicystyki. TVN dodaje do tego trochę reportaży i filmy erotyczne, a Nasza – codzienne studio na żywo z udziałem publiczności. Żadnych więc zaskoczeń, ale to, co mi się spodobało, to wyjątkowa dbałość w TVN o jakość formalną programów, o ich atrakcyjne opakowanie. Czy to będzie teleturniej Krzysztofa Ibisza „Wszystko albo nic”, czy audiotele przy okazji programu informacyjno-publicystycznego „Co za dzień”, prostota nie przemienia się w prostactwo.

Są też programy ambitniejsze, jak choćby chwalone już przeze mnie, najlepsze w tej chwili w polskich mediach, reportaże Edwarda Miszczyka „W drodze”. Widać w tym rękę Mariusza Waltera, który już przed laty potrafił nadać w PRL-owskiej telewizji Studiu 2 charakter jakby z innej, nie tylko tamtej, propagandowo-zgrzebnej, bajki. Teraz stoi chyba przed jeszcze trudniejszym zadaniem – walczyć na rynku o widza ze stacjami, schlebiającymi raczej niskim gustom i instynktom.

I już powoli ustępuje koniecznościom z tego wynikającym. Pojawiają się filmy erotyczne, kino akcji wypiera publicystykę i programy autorskie. Mimo że TVN – to telewizja gwiazd. Wspomniany już Ibisz, następnie Lis i Miecugow w „Faktach”, Małgorzata Domagalik, Monika Olejnik. Wszyscy oni zdobyli popularność w telewizji publicznej. Jedna Olejnik ciężko zapracowała na nią w III programie Polskiego Radia.

Walter wszystkich ściągnął do siebie, a Domagalik wcześniej wylansował z udziałem regionalnego ośrodka telewizji w Warszawie (jego szefa, Piotra Radziszewskiego, również zatrudnił u siebie).

Ten ostatni sposób nie budzi mojego entuzjazmu, ale można przecież powiedzieć, że to problem TVP, a nie TVN. Podobnie nie podoba mi się, że tak znakomita reporterka polityczna, jak Monika Olejnik, rano przepytuje polityków w radiu publicznym, a wieczorem – w telewizji prywatnej. Często tych samych, zresztą.

Nie ma jeszcze, na szczęście, w TVN disco polo. Ale są programy z dziećmi, które śpiewają, naśladując sławnych dorosłych wykonawców. Podobne programy można znaleźć i w innych stacjach telewizyjnych. Wszystkie one robią na mnie nieprzyjemne wrażenie. Dziewczynki i chłopcy śpiewają o miłości między kobietą i mężczyzną, wyginają się w erotycznych pozach, mizdrzą się do kamery, jak gwiazdy estrady – jednym słowem: raj dla pedofilów.

Tak się paradoksalnie składa, że audycje muzyczne z młodzieżą i dziećmi, to w mojej ocenie najmocniejszy punkt Naszej Telewizji. Nagrodą dla najlepiej śpiewających jest nagranie w Naszej własnego teledysku. Nie ma w tych programach dysonansów estetycznej czy moralnej natury. Rzecz godna pochwały. Niestety, na tym moje pochwały się kończą. Programy publicystyczne („Ręce do góry”), rozmowy w „Studiu Agnes”, konkursy „Domino”), większość seriali i filmów, są na bardzo niskim poziomie. Nasza podąża wypróbowaną drogą Polsatu: jak najmniejszym kosztem dostarczyć stawy najmniej wyrobionym widzom, którzy przecież stanowią lwią część widowni. Ale od Polsatu odróżnia in minus tę stację amatorszczyzna w robocie dziennikarskiej i produkcji własnej. No i zdecydowanie gorszy wybór filmów. Polsat stać obecnie na nader ciekawą ofertę filmową, Naszej – nie.

TVN też, choć w inny i zdecydowanie oględniejszy sposób, czyni koncesje na rzecz, mówiąc w przenośni, discopolowej wersji telewizji. Czy to oznacza, że za rok wszystkie prywatne telewizje będą wyglądały jak Polsat?

Z Naszą jednak wiąże się sprawa o wiele ciekawsza, niż jakość jej programu. Nie ma pewności, kto jest właścicielem tej stacji. Część udziałów wykupił właściciel TVN, część – jak niesie wieść gminna z Wrocławia – firma z tegoż miasta, powiązana z Zygmuntem Solorzem (właściciel Polsatu). Byłoby zatem tak, że dwaj konkurenci wykupili trzeciego? Myślę, że sprawa wyjaśni się najdalej za kilka miesięcy.

Co do radia Pogoda, nie przeżywa ono kłopotów z własnością, ale

z pieniędzmi chyba tak. Można tak sądzić po małej liczbie reklam w programie i po niezbyt bogatej ofercie muzycznej. Owszem, Radio Pogoda słucha się przyjemnie, po pierwsze dlatego, że nadaje wiele starych przebojów, a po drugie – ponieważ spikerka jest stonowana, a reklamy nie przerywają programu zbyt często. Jak już jednak pojawi się reklama lub prowadzącego program podkusi gadulstwo, to stacja ta upodabnia się do pozostałych komercyjnych jazgotów. To nie na moje ucho, choć zdaję sobie sprawę, iż nie jest to kryterium rozstrzygające.

A propos radia, wystartowało Inforadio, stacja wymyślona przed laty przez Eugeniusza Smolara i on też kieruje tym przedsięwzięciem. Pomysł następujący, dostawa istotnych dla biznesu polskiego i zagranicznego informacji politycznych i gospodarczych. Parę lat temu Smolar zaproponował Polskiej Agencji Prasowej przystąpienie do spółki. Byłem tym, jako ówczesny szef PAP, zainteresowany, gdyż mogło to Agencję wzbogacić (dosłownie, ale także i o środki oddziaływania, a jednocześnie zneutralizować ewentualną konkurencję. Teraz w składzie udziałowców Inforadia PAP-u nie widzę. Jest to więc ewidentnie inicjatywa konkurencyjna wobec Agencji, no i bardzo dobrze. Co mnie jednak razi, to fakt, że Smolar jest jednocześnie członkiem Rady Nadzorczej PAP. Co zatem z kodeksową przeciwiezasadą, zabraniającą pracy w firmach konkurencyjnych?! A może się czepiam, skoro była posłanka Wiesława Ziółkowska jest członkiem Rady Polityki Pieniężnej III RP, choć jej mąż pracuje w banku komercyjnym i ewidentnie może mieć korzyść z ewentualnych wcześniejszych informacji? Pani Ziółkowska jeszcze się odgraża, że odda do sądu każdego, kto będzie suponował coś w tej kwestii. No więc suponuję, także w wypadku pana Smolara, pani Olejnik czy pani Domagalik, i byłego szefa warszawskiego ośrodka telewizji publicznej, Piotra Radziszewskiego.

Presja pieniądza na mass media pcha je w stronę tandety. Kierunek i poziom, jak już widać, wyznaczył Polsat. Myślę, że przejawem tandety w naszym życiu publicznym są również przytoczone przykłady postępowania i łączenia ról, które nie powinny być łączone, gdyż tworzy to sytuacje dwuznaczne. Ale może się mylę? Może przejawem są właśnie te moje uwagi? Przejawem staromodnego gustu, nie pasującego do reguł rządzących dniem dzisiejszym?

13

PODRÓBK I MANIPULACJE

(maj 1998 r.)

Zagrożenia dla wolności słowa są modnym tematem. Ostatnio wiele słów na ten temat padło przy okazji dyskusji o filmie „Witajcie w życiu”. Szczególnie potępiono decyzje sądów, wstrzymujące emisję filmu do czasu rozpatrzenia pozwów o naruszenie dóbr osobistych kilku osób występujących w tym filmie. Mam zdanie odmienne od większości wypowiadających się w tej kwestii dziennikarzy, a zwłaszcza od sygnatariuszy listu otwartego redaktorów naczelnych najważniejszych gazet i innych mass mediów, gdyż uważam, że wolność słowa nie jest wartością absolutną, a na pewno nie jest nadrzędna wobec ochrony dóbr osobistych ludzi prywatnych. Dlatego wstrzymuję się z omówieniem tej sprawy do czasu rozpatrzenia jej przez sąd. Zresztą, materiał do rozważań sżykuje się nader ciekawy: oprócz wspomnianej sprawy, wyrok w rozprawie przeciw tygodnikowi „Nie” z oskarżenia Jarosława Kaczyńskiego, ciąg dalszy sprawy Kwaśniewski kontra „Życie”, rozpatrzenie zastrzeżeń wobec filmu „Arizona” (twórcy tego filmu dokumentalnego też są oskarżeni o naruszenie dóbr osobistych występujących w filmie osób).

Ale narzuca się już dziś parę uwag. Film dokumentalny jest formą dziennikarską, nie artystyczną, dlatego transformacja rzeczywistości podlega tu ocenom prawnym i moralnym, nie zaś tylko estetycznym. Nie może być tak, że twórcy filmów oszukują swoich bohaterów, np. poprzez umieszczanie ich w sytuacjach zainscenizowanych albo wykorzystywanie wypowiedzi uzyskanych tylko do użytku prywatnego. Oczywiście, łatwiej jest film dokumentalny „stworzyć” z podróbek rzeczywistości lub stronniczo zmontować z kilometrów nagranej taśmy, niż uzyskać możliwie obiektywny zapis kamery. Z problemów tych najle-

piej zdają sobie sprawę reporterzy, którzy mogą korzystać z prawa ochrony źródła swoich informacji, ale przecież nie znaczy to, że mogą napisać dowolną bzdurę, powołując się na anonimowego świadka, a bohaterowie ich tekstów też mają prawo do ochrony, i nie mogą być traktowani jak ofiary złożone na ołtarzu słusznej sprawy. A taki ton pobrzmiwał w wypowiedziach reżyserów wspomnianych filmów.

Najkrócej: zasada wolności słowa nie może służyć jako parawan do ukrycia błędów warsztatowych czy wręcz zamierzonego szkodnictwa dziennikarzy.

Wbrew pozorom jednak media nie są tak groźne. Ktoś przezorny potrafi nimi sam manipulować, zamiast stać się ich ofiarą. Na przykład, „Gazeta Wyborcza” opublikowała artykuły demaskujące nieuczciwe spółki i spółdzielnie, budujące mieszkania, a właściwie wyłudzające od ludzi pieniądze pod pretekstem budowy. Niestety, dział ogłoszeń „GW” nadal jakby nigdy nic drukuje anonse nieuczciwych firm (patrz np. „Gazeta nieruchomości stołeczne”, dodatek do „GW” z 18 marca br.). Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń? To prawda, ale przecież „GW” odmówiła zamieszczania anonsów agencji towarzyskich uważając, że byłby to proceder nieuczciwy, na pograniczu stręczycielstwa. W tym wypadku jednak, potępieni za nieuczciwość spokojnie manipulują gazetą, wykorzystując ją do swojego procederu. Robią to za pomocą pieniędzy. Ale są też sposoby tańsze. Wystarczy zrobić konferencję prasową.

16 kwietnia br. we wszystkich gazetach warszawskich ukazał się niemal identyczny tekst o szkaradnym postępowaniu wojewody warszawskiego wobec firmy „Cefarm”. Już same tytuły odpowiednio nastrajały czytelnika: „Kierownik z teczki” („Express Wieczorny”), „Przywieziona w teczce, wyjedzie na taczkach?” („Gazeta Wyborcza”), „Wojewoda znów zamieszkał” („Trybuna”), „Z kapelusza” („Życie Warszawy”), „Nic nie wiedzą o Figurskiej” („Życie”). Treść prezentowanych w tekstach opinii dziennikarskich nie odbiegała od wymowy tytułów. Naprawdę jedynie bardzo uważny czytelnik miał szansę doczytać się, że „Cefarm” to bogate przedsiębiorstwo państwowe, którego szefostwo już przygotowało prywatyzację i najprawdopodobniej boi się, iż wojewoda z nowej władzy przysłała do firmy dyrektora z kwalifikacjami i spoza układow, a to może popsuć tak dobrze zapowiadający się interes. Stąd protest?

Najłatwiej wówczas, jak już wspomniałem, przedstawić własną wersję wydarzeń i liczyć na lenistwo, głupotę lub złe intencje dziennikarzy.

Zła wola wzięła górę – zgodnie z kalkulacjami szefostwa „Cefarmu” – w gazetach, które z powodów politycznych nie lubią nowego wojewody. Inni, z lenistwa zapewne, też zadowolili się relacją jednej strony konfliktu, co gorsza biorąc za dobrą monetę każdy argument. A dla superleniwych był jeszcze do pomocy PAP, który nadał depeszę w tej sprawie równie „dociekliwą”, jak przedstawione wyżej. Niektóre redakcje zatem wcale nie musiały wysyłać dziennikarzy na konferencję „Cefarmu”. Prawda, że prosty sposób na manipulację?

Inna sprawa, że nie tylko dziennikarze są w takich wypadkach winni temu, że manipulacja bierze górę. Z ciekawości obserwowałem bowiem, czy wojewoda warszawski podejmie w mediach jakiś kontratak? Nic z tych rzeczy, zamilkł jak niemowa. Prawdopodobnie uważa, że dziennikarze go nie lubią, więc sam zamyka się w twierdzy niechęci i zamiast szukać porozumienia, rozmawiać, milczy wyniośle? Jeżeli tak jest, to po pierwsze współczuję ludziom, których będzie ten wojewoda mianował, gdyż nie mogą liczyć na jego pomoc. A po drugie, może i media mają rację, źle pisząc o wojewodzie, skoro ten nie rozumie, że jego obowiązkiem, jako polityka i urzędnika rządowego, jest utrzymywanie dobrych stosunków z prasą?

14

MEDIA MANIPULUJĄ, CO MAJĄ ROBIĆ POLITYCY?

(grudzień 2000 r.)

Moja pierwsza rada dla polityków: nie odpowiadać na pytania dziennikarzy, mówić swoje. Złudzeniem jest przekonanie, że dziennikarze wypowiadają się w imieniu opinii publicznej. Dziennikarze, tak jak większość mediów, mają swoje sympatie polityczne. W najlepszym wypadku są neutralni wobec nas, ale najczęściej są naszymi zagorzałymi wrogami lub przyjaciółmi naszych nieprzyjaciół, co wychodzi na to samo. Złudzeniem jest także przekonanie, że dziennikarze chcą się czegoś od nas dowiedzieć. Podpowiadam politykom: jak przychodzicie do mediów panowie, jak chcecie kształtować swój wizerunek, to nie ulegajcie temu złudzeniu, że przychodzicie na debatę merytoryczną. Pytania będą dla was niewygodne; będą musiały was pokazać w jakimś świetle, np. walk personalnych, nie w rozważaniach merytorycznych. Sposoby ustawiania są bardzo proste i opisane w każdym podręczniku socjotechniki, więc nie będę tego powtarzał. Pierwsza rada: nie odpowiadać na pytania, tylko mówić swoje, przychodzić z tym, co się chce powiedzieć, mówić to według zasad też klasycznych. Powiedzieć w pierwszych trzech zdaniach istotę, później kilka zdań rozluźniających i w puencie powtórzyć istotę z dwóch, trzech pierwszych zdań. Wbijając w głowę słuchaczowi, mówić nie do dziennikarza, tylko do słuchacza, widza, czytelnika.

Druga rada: nie przychodzić na posiedzenia gromadne, dlatego że mamy zaledwie po kilka minut i nie bardzo właściwie możemy powiedzieć to, co chcemy powiedzieć, gubimy się w ogólnie sformułowanym temacie, szukamy własnych nisz w tym temacie. Każdy będzie zatem mówił o czymś innym, od odbiorcy zależy, jaki obraz pozostanie mu w głowie.

Trzecia rada: nie dyskutować spraw swoich ugrupowań w mediach, a zwłaszcza spraw personalnych. Nie dać się w ogóle w to „wpuścić”, że media chcą nam pomóc w demokratycznym przedyskutowaniu spraw, które są wewnętrznymi naszych ugrupowań. Nie wierzyć w to, że wyciągają do nas pomocną dłoń. Wiedzieć, że sprawy te załatwia się wewnątrz ugrupowań, nawet jeśli media twierdzą, że to jest zadanie opinii publicznej i będą żądały jawności. Nie należy ulegać tej presji. Cały czas należy pamiętać, że media nie są opinią publiczną. W Polsce mamy jedynie opinię medialną, natomiast instytucji opinii publicznej w Polsce prawie nie ma. Media uzurpują sobie występowanie w imieniu opinii publicznej. Sugerują, że to, co one mówią, mówi opinia publiczna.

Kolejna rada: jeżeli przychodzimy na spotkania z mediami, to tylko na spotkania merytoryczne – poświęcone konkretnemu problemowi, np. problemowi służby zdrowia, problemom podatkowym i nie dajmy dziennikarzom uciec w inne tematy. Zwracamy się do odbiorcy, widza, słuchacza czy czytelnika, a nie do dziennikarza. Odbiorca chce się czegoś dowiedzieć o problemie, a nie tego, co dziennikarz sądzi na przykład o naszej partii.

Podsumowując jednym zdaniem: Nie dajmy się ubrać w nie swoje kalosze.

Wiemy już – oczywiście, od strony negatywnej – czego polityk nie powinien robić w stosunkach z mediami. Od strony pozytywnej można powiedzieć, że jest parę zabiegów najprostszych, znanych z różnych podręczników. Należy dopuszczać do konfidencji, robić przecieki kontrolowane, mówić o tym, że się zdradza tajemnice, zaprzyjaźniać się. To są takie różne zabiegi, które tworzą ogólną sympatyczną atmosferę między dziennikarzem a politykiem. Nie zawsze to skutkuje, ale warto nad tym pracować.

Można też – chociaż to jest zapewne najtrudniejsze dla polityka – pójść inną drogą: mieć program dla kraju, mieć coś do zaproponowania obywatelom, udowodnić, że się potrafi to zrobić, przekonać do tego obywateli, przekonać dziennikarzy i wtedy – nie jest wykluczone, że uzyska się dobrą opinię w mediach.

B. TV I POLITYKA

1

PUBLICZNA NICZYM DZIEWKA

(październik 1996 r.)

Na naszych oczach następuje właśnie agonია telewizji publicznej. Prezydent Kwaśniewski zechciał pochwalić prezesa Miazka za jego trud. „Chłop żywemu nie przepuści...” – chciałoby się zacytować stary przebój Grześkowiaka, gdyby nie było bardziej do płaczu niż do śmiechu.

Prezes Miazek – po szczęśliwej rozprawie z niezależnością jako taką – wymyślił właśnie, że telewizja publiczna winna być kierowana przez jednoosobowy zarząd (po co te uzgodnienia i zmienne sojusze?) i stanowić wielki holding, w którym ośrodki regionalne byłyby w pełni, poprzez sposób finansowania, podporządkowane temuż zarządowi (w postaci jednego Miazka?).

Nie mam jednak pretensji do nowego prezesa telewizji. nie on wymyślił podporządkowanie tego medium władzy, nie on stworzył odpowiedni po temu system prawny i organizacyjny. Miazek jest zaledwie chłop(c)em na posyłki. Zrobi swoje i odejdzie tam, gdzie jego miejsce, czyli do izby złej pamięci polskiego dziennikarstwa.

Wcześniej jednak swoje zrobili ludzie o pięknych kartach demokratycznej opozycji. To oni właśnie, będąc siłą wiodącą w ówczesnym parlamencie, a także demokratyczny prezydent Wałęsa, skonstruowali mechanizm stałej dominacji polityków nad mediami, głównie publicznymi, ale nie tylko. Mechanizm ten ustroili w piękne słowa o niezależności mediów, „czwartej władzy”, o misji telewizji i radiofonii publicznej, ale jak to bywa zwykle u polityków, słowa miały przysłonić myśli i zamiary. Sądząc po ówczesnych publikacjach na temat ustawy o telewizji i radiofonii publicznej (uchwalonej 29 grudnia 1992 r.), manewr ten przyniósł politykom powodzenie. Większość mass-mediów chwaliła wprowadzane zmiany; mało kto widział niebezpieczeństwa.

Nie żeby się chwalić, ale dla porządku, jak również, żeby nie wyjść na mądrego po szkodzie, przypomnę, że krytykowałem wówczas ustawę o radiofonii i telewizji i przestrzegałem przed jej skutkami. Niestety, choć bardzo tego pragnąłem, nie pomyliłem się. Władza polityków, w myśl tej ustawy, wynika po pierwsze z zasady corocznego głosowania w parlamencie nad sprawozdaniem Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji i zatwierdzania tego sprawozdania przez prezydenta. Oznacza to, że członkowie Rady bez przerwy muszą zabiegać o poparcie partii politycznych, a zwłaszcza większości rządowej. Po drugie, sama Rada została dobrana, a później uzupełniana, według klucza partyjnego (choć były chwalebne wyjątki, np. Macieja Iłowiecki). Do Rady zostali delegowani działacze partyjni, żeby pilnować nie tyle spraw ogólnych, ile interesów tych partii. I to przesądziło – gdyż musiało przesądzić – o tym, że Rada w rychłym czasie uległa destrukcji i skompromitowała się. Teraz jest tylko instytucją formalną, bez żadnego autorytetu społecznego. Jest zatem nader wygodnym narzędziem dla polityków.

Ale oprócz grzechu pierworodnego, czyli złej ustawy i oprócz fałszywych – i przez to szybko zdemaskowanych publicznie – strażników pieczęci niezależności telewizji i radia, czyli Krajowej Rady, do upadku telewizji przyczyniły się błędy ekipy Walendziaka i jego samego oraz degeneracja dziennikarzy telewizyjnych i ich szefów.

Walendziak, jak sądzę, zbyt wolno i kunktatorsko zmieniał program telewizyjny. Stało się zatem tak, że wystarczyło jedno zarządzenie w sprawie producentów zewnętrznych i usunięcie jednego programu własnego telewizji, żeby tv wróciła do przedwalendziakowej normy.

Telewizja publiczna miała oznaczać nowy fakt kulturowy. W tym kontekście – jakby to nie brzmiało cynicznie – nie było istotne, co stanie się z jej finansami (państwo nie da zbankrutować kopalniom, nie da też telewizji), czy z jej strukturą organizacyjną. Najważniejsi byli nowi ludzie, nowe programy, nowa jakość. Ale tego właśnie zabrakło. Zwiększyła się siła bezwładu i oporu materii, bylejąkość znana od lat na Woronicza, w rodzaju miernych rzemieślniczo „Wiadomości”. Jeden „Puls dnia” nie mógł stanowić przełomu w telewizyjnej informacji i publicystyce, choć niewątpliwie był najlepszą polityczną audycją telewizyjną w historii istnienia tej instytucji.

Walendziakowi zabrakło odwagi albo ludzi i pomysłów. Ten pomysł zaś który miał, żeby szukać poparcia u polityków, uważam za jeden z grubszych błędów byłego prezesa tv. Krajowa Rada nie musiała wprowadzać polityków do gmachu na Woronicza, zrobił to sam Walendziak.

W praktyce oznaczało to m. in., paranoiczną w publicystyce, zasadę, że w audycjach muszą być reprezentowane różne opcje partyjne.

Pamiętam rozmowę z dyrektorem Pawlickim, który tłumacząc mi dlaczego kierownictwo I programu tv kilkakrotnie zabroniło swoim podwładnym zaproszenia mnie do audycji, powiedział z rozbijającą szczerością: zapraszamy według klucza partyjnego – dziennikarz X powie zgodnie ze stanowiskiem partii X, dziennikarz Y zgodnie ze stanowiskiem partii Y, a pan to nigdy nie wiadomo, co powie. I mimo, że był to dla mnie wielki komplement, byłem zaszokowany prostactwem tego wywodu. Publicystyka w służbie, publicysta w propagandzie, publicysta w misji najsluszniejszej partii – to śmierć naszego fachu.

Politycy rzeczywiście sądzą, że świat dzieli się na partie, ale na szczęście tak nie jest, życie ma wiele interesujących kolorów i nie warto zubażać myśli do formułek partyjnych. Zostawmy politykom ich własnym ograniczeniom i kompleksom. Naszym, jako dziennikarzy, zadaniem jest zachęcać ludzi do samodzielnego myślenia. Przez podawanie im możliwie najpełniejszej i najrzetelniejszej informacji o świecie oraz przez publikowanie sądów oryginalnych, przełamujących stereotypy.

W telewizji taki przełom w myśleniu nie nastąpił, choć wiele dobrych rzeczy – acz jak się okazało, łatwych do zniszczenia – zaistniało.

Ale największym grzechem zacnego prezesa Walendziaka była jego dymisja. Wprawdzie skłoniły go do tego żenujące rozgrywki ludzi uważających się za demokratów (związanych z Unią Wolności), zmierzających w sojuszu z SLD do przejęcia telewizji, ale przecież od człowieka, który podjął się misji stworzenia telewizji publicznej można było wymagać silniejszych nerwów. Liberalowie i demokraci z Unii Wolności obudzili się, jak zwykle, z „ręką w”, a telewizja znalazła się na równi pochyłej. Po tej równi spychają ją teraz również różni tzw. profesjonalści, którzy – jak to mówią – zęby zjedli na telewizji. Zjedli, to ładnie, a teraz niech już idą grzecznie do domu. Niestety, nie poszli, są nadal na Woronicza. I na przykład, cieszą się – jak w oświadczeniu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich tv – że wyrzucono producentów zewnętrznych (więcej pieniędzy dla „naszych”! Swoją drogą, cóż za degrengolada tegoż SDP!), albo tworzą teatr pozorów o nazwie komisja etyki. O jakiej etyce może być mowa, skoro szanowna komisja milczy o tym, co wyprawiają jej telewizyjni przełożeni? „Profesjonalści” z Woronicza ustawiają się jak trzeba, sądząc widocznie, że publiczna oznacza najstarszy zawód świata.

Czy w tej sytuacji można się dziwić, że „Teleexpress” bankietował z gangsterami, a sprawę – po ujawnieniu przez gazety – „wyjaśnił” facet

w nią zamieszany (i jednocześnie, o zgrozo, szef informacji całej telewizji?). Sędzia we własnej sprawie, brak jakichkolwiek zasad, toż to przecież reguły żywcem przyjęte ze świata polityki. I tak oto ideał niezależnej telewizji publicznej sięgnął dna. Na razie, gdyż już słuchać pukanie od spodu. To puka następca prezesa Miazka, ten, który będzie wprowadzał w życie jednoosobowy zarząd. Zarząd nad służebną i chętną, czyli publiczną inaczej.

2

TO CAŁE MEDIALNE ZŁO

(października 2003 r.)

Przesłanie tego tekstu może szokować. Ale tylko tych, którzy zamiast rzeczywistości wolą fasady. Telewizja i radio publiczne powinny być jak najszybciej sprzedane w prywatne ręce, podobnie jak gazety (co z tą „Rzeczpospolitą”, na Boga?!), banki i liczne inne firmy państwowe. Jednocześnie państwo powinno zamawiać w przetargach publicznych tzw. programy misyjne u nadawców i producentów prywatnych. Obywatele bowiem mogą zgodzić się na płacenie podatku, jeśli służy on dobru wspólnemu. Nie ma zaś żadnych racji, żeby nasze pieniądze służyły urzędnikom państwowym do uporczywego ograniczania wolności słowa, szkodenia mediom prywatnym, korupcji politycznej i budowania wpływów partyjnych w świecie mass mediów.

Garb niedawnej przeszłości

Władztwo polityków nad mediami elektronicznymi, które słusznie wywołuje dziś oburzenie opinii publicznej, zostało wprowadzone blisko 10 lat temu Ustawą o radiofonii i telewizji. Patronem tej ustawy był prezydent Wałęsa, a merytorycznie wspomagali go między innymi niezależni dziennikarze o prawicowych sympatiach. Pierwszym spektakularnym efektem wprowadzenia Ustawy było powołanie Wiesława Walendziaka na prezesa TVP i przejęcie rządów na Woronicza przez ludzi, którzy deklarowali chęć realizowania misji publicznej telewizji. Niestety, nad czym bardzo ubolewam, była to tylko kolejna odsłona z cyklu: dziś TVP należy do prawicy, jutro do lewicy lub odwrotnie. Chodzi tu głównie o bezpośrednią podległość ludzi mediów ludziom polityki. Kariera polityczna Wiesława Walendziaka w wyniku prezesury TVP

i prezesura TVP dla Roberta Kwiatkowskiego osiągnięta dzięki karierze politycznej, udowadniają, że niezależność mediów publicznych jest mrzonką. Niezależnie od sympatii politycznych i osiągnięć dziennikarskich kolejnych kierownictw radiofonii i telewizji.

Zasadniczą bowiem wadą Ustawy o mediach elektronicznych jest wpisany w nią na stałe mechanizm ciągłej politycznej kontroli. Przejawia się on przede wszystkim w trzech obszarach:

- dorocznego zatwierdzania sprawozdania Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji przez parlament i prezydenta,
- partyjnego klucza przy powoływaniu członków Krajowej Rady, a w konsekwencji takiego samego systemu przy powoływaniu rad nadzorczych i zarządów rozgłośni radiowych i telewizyjnych,
- uznaniowego przyznawania przez Krajową Radę koncesji i częstotliwości prywatnym nadawcom radiowym i telewizyjnym oraz równie uznaniowego przedłużania lub nie tych koncesji i częstotliwości.

Nowe, ale stare

Takie właśnie władztwo i obfite korzystanie z jego prerogatyw przez SLD-owską grupę trzymającą władzę budzi, na szczęście, zasadniczy i powszechny sprzeciw opinii publicznej. Wywołuje też niefortunne propozycje polityków opozycyjnych podziału telewizji i radia na program rządowy i program opozycyjny, ale politykom tym – o czym warto pamiętać, gdy się ich krytykuje jak uczynił to np. Tomasz Lis („Rzeczpospolita” nr 225 z 26 września br.) – chodzi przecież o to, żeby jak najszybciej ograniczyć monopol SLD w telewizji i radiu państwowym (uzurpatorsko zwanym publicznym). Jest istotna różnica między zasadą monopolu, której broni SLD, a propozycją zróżnicowania, jaką wysuwa PiS. Przecież władztwo SLD nad mediami państwowymi i znaczny wpływ tego ugrupowania na media prywatne są w sensie prawnym zagwarantowane co najmniej do 2009 r., kiedy to wreszcie zmieni się personalnie skład Krajowej Rady. Zmiany personalne z kolei są zależne od wyników najbliższych wyborów parlamentarnych i prezydenckich. Nie dziwi mnie zatem, że politycy sprzeciwiający się monopolowi SLD w mediach państwowych próbują coś doraźnie poprawić. Jednak wizja docelowa musi być inna. Dlatego jest oczywiste, że bez generalnej i jak najszybszej zmiany prawa medialnego w Polsce, nie ma mowy o spełnianiu publicznej misji radia i telewizji. Podkreślam, chodzi o misję, a nie o instytucję!

Kolejne, drastyczne, wydarzenie świadczące dowodnie, że niezbędna jest jak najszybsza prywatyzacja mediów państwowych, stanowi rozpisany właśnie konkurs na obsadę zarządu TVP. Przy całym sztafażu pięknych słów i szlachetnych intencji, regulamin tego konkursu utrzymuje zasadę naczelną zapisaną w Ustawie o radiofonii i telewizji, że politycy wybierają swoich ludzi do Krajowej Rady, ci wybierają kolejnych swojaków do rad nadzorczych radia i telewizji, a następnie te rady za zasłoną konkursu lub bez niego wybierają kolejnych swojaków do zarządów. I inaczej być nie może. W instytucji państwowej zawsze najczęściej do powiedzenia będzie miał rząd i partie rządzące. Owszem, trzeba powołać nowy zarząd TVP. Po to jednak, żeby przygotował telewizję do prywatyzacji, a głównie wymyślił sposoby jak ocalić w nowych warunkach i za pieniądze podatników to, co jest wartościowego w tej telewizji. Czyli jak te programy przenieść do nowej rzeczywistości, w której misja byłaby spełniana na wolnym rynku mass mediów.

Kto, co, jak?

Jak jednak doprowadzić do nowego ładu medialnego, a właściwie do wolnego rynku mass mediów, gdy politycy mają inne interesy niż czytająca, słuchająca i oglądająca klientela? Politycy przecież podejmują decyzje i stanowią prawa. Przekonywać? Tak, cierpliwie przekonywać do racji szerszych niż partyjne! Przekonywać i opozycję, i rządzących, i prezydenta. Ale do czego konkretnie? Co postulować? Co i jak trzeba zrobić, żeby nie pozostać tylko kolejnym szlachetnym głosem wołającym na puszczy?

Jest obecnie wiele grup i środowisk, które debatują nad sposobami naprawy III RP. Namawiałbym te grupy, partie polityczne i stowarzyszenia twórcze – nie tylko dziennikarskie, gdyż misja publiczna radia i telewizji to coś o wiele szerszego niż obiektywizm polityczny, to przede wszystkim misja kulturowa – do przygotowania projektu nowej Ustawy o ładzie medialnym. Ta Ustawa, moim zdaniem, powinna przede wszystkim otworzyć drogę do prywatyzacji mediów publicznych oraz wykluczyć jakąkolwiek dowolność w udzielaniu koncesji i w przyznawaniu częstotliwości.

Nie ma żadnego racjonalnego powodu do istnienia państwowej telewizji i państwowego radia. Są tylko powody czysto polityczne. Są za to ważne powody, żeby misja publiczna była kontynuowana przez media elektroniczne i gazety. To przecież bardzo istotny obszar debaty publicz-

nej, kształtowania się opinii obywatelskiej i dostarczania najistotniejszych informacji.

Nie powinno być mowy o instytucji przedłużania umowy koncesyjnej, byłaby ona wieczysta i podlegała normalnym regułom obrotu gospodarczego, czyli mówiąc po ludzku można by nią handlować. Podlegałaby wypowiedzeniu tylko, gdyby sąd stwierdził w prawomocnym wyroku łamanie ustanowionych przez Ustawodawcę reguł medialnych. Częstotliwości z kolei sprzedawałby mediom prywatnym, na zasadzie przetargu publicznego, odpowiedni resort czy jego agenda. One (częstotliwości) też podlegałyby regułom obrotu gospodarczego.

Krajowa Rada nadal by istniała, ale jej rola zostałaby sprowadzona do monitorowania przestrzegania prawa medialnego i zamawiania w przetargach publicznych programów misyjnych u producentów i telewizji prywatnych. Pieniądze na to byłyby uchwalane przez parlament, w budżecie, podobnie jak teraz np. na naukę i zdrowie. Nie byłyby jednak przejadane przez straszliwego molocha mediów państwowych, gdzie zawsze są synekury, pociotkowie i przekręty. Pieniądze podatników służyłyby zatem realizacji programów misyjnych, a nie biurokracji.

Członkowie Rady byłiby nie odwoływalni w czasie swojej kadencji, chyba, że zostaliby prawomocnie skazani za przestępstwo umyślne. Kadencja członków Rady mogłaby być 7-letnia, tak, jak sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Nie podlegałaby przedłużeniu. Rada miałaby prawo i obowiązek wszczynać procedury, prowadzące do sądowego unieważnienia koncesji lub innych przewidzianych prawem kar w wypadku łamania Ustawy medialnej. Rada powinna pochodzić z konkursu, przeprowadzonego na przykład przez Sąd Najwyższy lub Trybunał Konstytucyjny, według kryteriów sformułowanych przez stowarzyszenia twórcze, partie polityczne, inne organizacje obywatelskie. Kryteria te, podobnie jak cała proponowana Ustawa, musiałyby być przegłosowane przez parlament i podpisane przez prezydenta. W momencie wejścia Ustawy w życie automatycznie kończyłaby się kadencja wszelkich władz telewizyjnych i radiowych.

Nierealne a jednak...

W obecnym parlamencie jest to niemożliwe, ponieważ SLD ma w swoich rękach całość spraw medialnych i nie chce się z nikim dzielić. Opozycja będzie, oczywiście, namawiać władzę do podziału w mass mediach, ale to jest zwykła rola opozycji, żeby wmawiać rządzącym, że

dla ich własnego dobra powinni podzielić się z opozycją tym czy tam-tym. Rząd się nie podzieli. Wyborcy zaś w przyszłych wyborach parlamentarnych mogliby przyjrzeć się uważnie, co dana partia proponuje w sferze mass mediów. Jeśli zdanie obywateli będzie tutaj jasne, to partie opozycyjne nie ośmielą się iść do wyborów z propozycją podziału radia i telewizji, a partie rządzące z tezą, że dobrze jest jak jest.

Nie chcę wyjść na kompletnego naiwniaka. Oczywiście, zmiana prawa nie zmieni od razu sytuacji w mediach. Jest też jasne, że ustanawianie nowego prawa medialnego odbywać się będzie głównie w świecie politycznym, w partiach i grupach zainteresowanych układem władzy w państwie. Ale gdyby opinia publiczna zdołała również przez swoje namolne gadanie o tym w radiu, telewizji i pisaniu w gazetach narzucić politykom reguły nie do naruszenia, to za parę lat mamy szansę na w miarę niezależne i mniej osaczane przez władzę media prywatne. Mamy też szansę na programy misyjne. Skończyłoby się niczym nie uzasadnione władztwo urzędników nad prywatnymi nadawcami. Lew Rywin nie mógłby przyjść do Adama Michnika z propozycją korupcyjną w imieniu grupy trzymającej władzę, gdyby w Polsce rządziło prawo medialne, a nie Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, śmietanka śmietanki świata politycznego (niezależnie od jego barwy partyjnej).

3

BÓJ O KASĘ

(styczeń 2004 r.)

Być może, za kilka dni zostanie wybrany nowy prezes TVP. Zwraca uwagę zaciekłość boju o tę funkcję, jakby była ona ważniejsza od wielu posad ministerialnych. Bo i w istocie jest ważniejsza.

Kiedyś TVP była głównym orężem propagandowym władzy, monopolistą w przekazywaniu – a właściwie cenzurowaniu i selekcji – informacji. Dziś ta funkcja nieco uwiędła, ale przecież nadal można wpływać na opinię publiczną za pomocą m.in. „przecieków sterowanych”, „audycji na zamówienie”, „nie zauważania osób lub zdarzeń” albo wręcz przeciwnie „nad zauważania”. SLD przy pomocy telewizji nie wygra wyborów, ale na pewno będzie Sojuszowi łatwiej odpierać ataki przeciwników.

Ale jest i inny powód tak zacieklej obrony TVP przed zakusami reformatorów. Tym powodem są kolosalne pieniądze z abonamentu i z reklam. Za te pieniądze TVP kupuje programy, filmy i wiele innych produktów. Te pieniądze mogą trafić do firm, które wytwarzają coś wartościowego dla widza, ale mogą też trafić do firm, które są „zaprzyjaźnione”. Idę o każdy zakład, że TVP, podobnie jak każda inna duża firma państwowa, najbardziej jest dziś zaprzyjaźniona z zapleczem gospodarczym lewicy. Zresztą, pieniądze zawsze lubiły się przyjaźnić z władzą.

Pieniądze z TVP są łatwe i miłe w użyciu. Są to pieniądze publiczne, a mogą służyć celom prywatnym i partyjnym. Dlatego większość polityków nie tyle myśli o radykalnej reformie TVP, ile o przejęciu władzy nad tą instytucją.

Tak było przed laty, gdy prawica z obozu prezydenta Wałęsy, wyznaczyła prawne reguły, rządzące mediami publicznymi. Zapisano w tych

regułach stały nadzór polityczny nad mediami, w postaci corocznie przyjmowanych przez parlament i prezydenta sprawozdań Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji (skądinąd, ciała stricte partyjnego). I tak, jak kiedyś dominowały w Krajowej Radzie partie z centrum i prawicy, tak teraz z lewicy. Zasady nie uległy zmianie, zmienili się ludzie.

Oczywiście, pojawiają się pomysły jak można by odpartyjnić TVP. Kontrolę nad mediami publicznymi mieliby sprawować rektorzy wyższych uczelni, albo przedstawiciele stowarzyszeń twórczych, albo inni zacni obywatele. Takie pomysły mają prawie same zalety i jedną wadę: są mało realne, albowiem postulowane reguły musieliby uchwalić politycy, abdykując w ten sposób ze swojego medialnego panowania. Takich altruistów to ja w naszym parlamencie dziś nie widzę!

A szkoda, gdyż media publiczne mają nieco inne zadania niż sprawianie przyjemności władzy. Ich rola misyjna w dzisiejszej sytuacji Polski mogłaby być ważna.

Co mam na myśli? Edukacja kulturalna, debata publiczna. W tych sferach przydałyby się media, którymi nie kierują pieniądze, ani partie. Po to, na przykład, żebyśmy mogli obejrzeć wartościowe przedstawienie teatralne, albo film bez bijatyki i pornografii, albo programy dla dzieci, w których nie używa się slangu. Również po to, żebyśmy mogli poznać opinie ekspertów i komentatorów niezależnych na tematy polityczne, a nie być skazanym na ciągłe oglądanie i wysłuchiwanie polityków z różnych partii, którzy chwają siebie i ganią rywali. Gdy w radiu i telewizji przypada dziesięciu polityków na sekundę audycji, debata publiczna zamienia się w farsę.

Czy można jakoś wybrnąć z tej fatalnej sytuacji, w jakiej znalazły się media publiczne? Kto wie, czy nie najlepszym rozwiązaniem byłaby sprzedaż tych mediów nadawcom prywatnym? Tzw. misję można by realizować przez zakup za pieniądze z budżetu państwa, metodą przetargów, programów telewizyjnych i radiowych u producentów prywatnych i ich emisję w mediach prywatnych. Zbyt radykalnie? Ale lepsze niż obecna degrengolada mediów publicznych. I tańsze dla podatnika. Państwo też by zarobiło.

Rzecz jasna jednak, politycy takiej prywatyzacji na pewno nie uchwalą. Prędzej sprytniejszy parlament, co – o ile mnie oczy nie mylą – już chyba następuje?

4

MOJA BYĆ DOBRA, CZYLI PRECZ Z POLITYKAMI

(marzec 2004 r.)

Oczekuje się, że nowy prezes TVP Jan Dworak dokona ważnych zmian personalnych w tej instytucji. Mass media prześcigają się w podawaniu plotek, kto zostanie szefem „Wiadomości”, kto będzie prowadził codzienne wywiady, kto audycje publicystyczne. Wbrew pozorom, zadanie nowego prezesa nie jest trudne. Zamiana Piotra Gembarowskiego czy Danuty Cholewickiej na kogoś lepszego nie wymaga zatrudnienia firmy „łowców głów”. Problem w tym, że taka zamiana nie rozwiąże problemu. Nawet Monika Olejnik do spółki z Tomaszem Lisem niewiele zmienią w telewizji, w której codziennie goszczą politycy. Nie wiadomo, dlaczego uznano powszechnie, że misja telewizji publicznej polega na transmisji partyjnego mentorstwa do mas widzów. Stąd codziennie po kilka razy możemy oglądać i słuchać liderów różnych partii, jak chwalać siebie samych, a ganiać swoich rywali. Choćby ich nie wiem jak przyciskała dociekliwa Monika O., nie uzyska nic więcej. „Moja być dobra” – mówią do nas politycy – „nie moja nie być dobra”. Mamy im wierzyć na słowo.

Pluralizm i demokracja w szerzeniu tak pojętej misji telewizji publicznej spełnia się najdoskonalej w zapraszaniu możliwie wszystkich liderów wszystkich istniejących partii i partyjek. Żeby wszyscy mogli równo głądzić. A przecież obywatele wybrali polityków do parlamentu, a nie do telewizji. Niech sobie gadają do woli, ale na Wiejskiej, na spotkaniach w okręgach wyborczych czy do biedaków, którzy zajrzeli na ich dyżur poselski.

W telewizji powinni gadać eksperci, przedstawiciele rozmaitych środowisk, dziennikarze. Politycy coś wyszykowali w parlamencie albo rządzie, więc w telewizji zaraz zaczynają pyszczyć różne mądrale: czy to

korzystne dla kraju, czy nie, a dla kogo korzystne itd., itd. Z nimi to rozmawiają dziennikarze, a im lepsi, tym lepiej dla widza; bo eksperta też trzeba zachęcić do mówienia z sensem. Tylko w ten sposób może powstać – choćby rachityczna, ale zawsze – opinia publiczna.

Nie wystarczy zatem zaprosić dobrych dziennikarzy. Trzeba jeszcze wyprosić z telewizji polityków. W codziennym komentowaniu spraw publicznych niech pojawią się ludzie, którzy coś wiedzą i nie mają żadnych interesów partyjnych. Ludzie, którzy mogą nam, widzom, pomóc w zrozumieniu biegu spraw. Dla propagandy partyjnej, rządowej czy prezydenckiej jest miejsce w skansenie biuletynów organizacyjnych i zebrań politycznych. Warunkiem spełnienia misji przez telewizję publiczną jest wyproszenie polityków nie tylko z zarządu telewizji, ale również z codziennych programów komentatorsko-publicystycznych.

C. NASZE NAJLEPSZE IMIĘ

NASZE NAJLEPSZE IMIĘ

(październik 2003 r.)

Amerykański Instytut Public Relations podał, że spośród państw przyjmowanych do Unii Europejskiej to w Polsce, niestety, panują warunki, sprzyjające największej korupcji dziennikarzy. Kierownictwo Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich: Krystyna Mokrosińska, Stefan Bratkowski, Andrzej Krajewski – i prezes polskiego oddziału Transparency International, Julia Pitera, stwierdzili w odpowiedzi, że to narusza dobre imię naszego zawodu. W związku z tym chciałbym jeszcze bardziej naruszyć nasze dobre imię.

Co do tego, że państwo, polityka i prawo w Polsce sprzyjają korupcji, sporu, jak rozumiem, nie ma? Przecież to właśnie dziennikarze codziennie alarmują opinię publiczną opisami patologii ogarniającej III RP. Ale jednocześnie to samo środowisko zawodowe, które uparcie próbuje piórem przeciwdziałać złu i wspierać sanację naszego państwa, przykładą swoją rękę (już innych dziennikarzy) do szerzenia fatalnych zjawisk. Wymienię dla przykładu, to o czym mam tzw. wiedzę operacyjną, choć, niestety, nie procesową:

- można kupić u dziennikarzy kampanię promującą dowolny towar, instytucję, partię lub osobę,
- można kupić kampanię zniesławiającą,
- można używać dziennikarzy do tzw. przecieków kontrolowanych,
- można kupować dziennikarzy (robią to służby specjalne, duże firmy),
- można zatrudniać w mass mediach współpracowników i oficerów kadrowych tajnych służb.

Osobnym, ale bardzo ważnym, problemem jest korupcja samych mass mediów. Polega ona głównie na tym, że właściciele lub dysponenci gazet, stacji radiowych i telewizyjnych używają ich do własnych gier

biznesowych lub politycznych. Jest to o tyle groźne, że przy słabości instytucji opinii publicznej w Polsce mass media mają wielki wpływ na kształtowanie się tejże opinii.

Zjawiska te są widoczne gołym okiem. A wystarczy porządnie przeprowadzony „biały wywiad”, aby zdobyć wiele szokujących informacji o korupcji wśród dziennikarzy i w mass mediach. Czy jednak któraś z gazet, stacji radiowych i telewizyjnych zdecydowałaby się na tzw. śledztwo dziennikarskie we własnych sprawach?

INDEKS

- Albright Madeleine 29
Anders Władysław 114
Arendarski Andrzej 75
- Balcerowicz Leszek 28, 96, 99, 100,
102, 116, 128, 169, 181
Bartnicki Krzysztof 173
Bartoszewski Władysław 19
Belka Marek 7, 8, 64, 68, 69, 70, 74,
78, 104, 107, 114, 115, 117, 118,
120, 123, 125, 126, 135, 136,
137, 138, 139
Bielecki Jan Krzysztof 119, 128
Boniek Zbigniew 173, 174
Borowski Marek 8, 30, 64, 136
Borusewicz Bogdan 30
Bratkowski Stefan 160, 217
Brezniew Leonid 19
Brzeziński Zbigniew 35, 36
Bugaj Ryszard 169
Bush George 69, 70, 77, 121
Buzek Jerzy 94, 95, 96, 100, 101,
134, 136
- Carré John Le 109
Celiński Andrzej 6, 136
Chasbulatow Ruslan 25
Cher 162
- Chirac Jacques 121, 138
Chmielowski Benedykt 40
Cholewicka Danuta 212
Cieśliński Piotr 168
Cimoszewicz Włodzimierz 25, 27,
28, 76, 90, 125, 147, 148
Citko Marek 164
Clinton Bill 27, 77, 98, 188, 190
Cytrycki Sławomir 115, 117
Czabański Krzysztof 38
- Daukszewicz Krzysztof 176
Diatlik Jerzy 181
Dohnal Marek 136
Domagalik Małgorzata 191, 192, 193
Dostojewski Fiodor 122
Dowbor Katarzyna 178
Drawicz Andrzej 19, 21
Dukaczewski Marek 117
Dworak Jan 212
- Falzmann Michał 83, 128
Fidel Castro 190
Figurska Małgorzata 195
Fredro Andrzej Maksymilian 45, 53
Fulbraight William 132
- Gawronik Aleksander 110, 128

Gembarowski Piotr 212
 Geremek Bronisław 6, 66, 155
 Ghali Butroz 165
 Giedroyc Jerzy 147, 148
 Gierek Edward 106
 Giertych Roman 9, 54, 70, 118
 Gilowska Zyta 118
 Głowala Piotr 128
 Gocławski Tadeusz 90
 Gołota Andrzej 184
 Gomułka Władysław 59
 Gorbaczow Michaił Siergiejewicz 25
 Goryszewski Henryk 84
 Grauso Nicola 160
 Grześkowiak Stanisław 201

 Haszczyński Jerzy 184
 Hausner Jerzy 59, 105
 Hannelowa Józefa 178
 Herkules 50
 Herling-Grudziński Gustaw 176
 Hood Robin 53
 Howzan Artur 169, 170
 Huebner Danuta 60, 62
 Husajn Saddam 70

 Ibisz Krzysztof 191
 Iłowiecki Maciej 202

 Jagieliński Roman 179, 180
 Jakubowska Aleksandra 170, 171
 Janajew Giennadij 25
 Janik Krzysztof 8
 Jankowski Jan Ignacy 45
 Janukowycz Wiktor 78
 Jaroszyński Krzysztof 176
 Jaruga-Nowacka Izabela 136
 Jaruzelski Wojciech 22, 23, 69, 88,
 89, 90, 92, 115, 116
 Jaskiernia Jerzy 22
 Jaworowicz Elżbieta 155, 156
 Jelcyzna Borys 19, 22, 25, 26, 27

 Juszczenko Wiktor 77, 137

 Kabila Laurent-Desire 175
 Kaczmarek Wiesław 8, 30, 133
 Kaczyńscy 6, 9, 15, 78, 127, 136,
 137, 138
 Kaczyński Jarosław 21, 39, 41, 90,
 99, 118, 119, 135, 194
 Kaczyński Lech 38, 127, 129
 Kalwas Andrzej 123, 128
 Kamiński Sławomir 180
 Karp Marek 128
 Kawalerowicz Jerzy 168
 Kempski Marek 100
 Kiszczak Czesław 23, 88, 89, 115,
 116
 Klaus Vaclav 163
 Kohl Helmut 163
 Konieczny Jerzy 21
 Korwin-Mikke Janusz 23
 Kostrzewa-Zorbas Grzegorz 38
 Krajewski Andrzej 217
 Kraško Tadeusz 179
 Krzaklewski Marian 27, 28, 94, 95,
 96, 99, 134, 169, 182, 183
 Kublik Agnieszka 177
 Kuczma Leonid 78
 Kukliński Ryszard 35, 36, 69, 112
 Kulczyk Jan 133
 Kuroń Jacek 6
 Kwaśniewscy 122
 Kwaśniewska Jolanta 118
 Kwaśniewski Aleksander 7, 8, 21,
 27, 28, 31, 32, 33, 59, 62, 65, 66,
 69, 70, 74, 75, 89, 90, 93, 94, 95,
 96, 97, 99, 100, 104, 107, 114,
 117, 118, 119, 123, 135, 136,
 137, 138, 139, 150, 151, 161,
 168, 185, 194, 201
 Kwiatkowski Robert 206
 Kwieciński Jacek 157

Labuda Barbara 21
Lampedusa Tomasi di 119
Lem Stanisław 157, 167, 168
Lepper Andrzej 54, 59, 104, 118,
129
Lewandowski Janusz 113, 128
Lewis Lennox 184
Lis Tomasz 136, 191, 206, 212
Ludlum Robert 5
Lutomski Jacek 164

Łętowski Maciej 94
Łukaszka Aleksander 31, 42, 44, 88

Macierewicz Antoni 27
Marshall George Catlett 63, 105,
115
Marszałek Anna 30
Mazowiecki Tadeusz 6, 19, 21, 41,
89, 99, 116, 138
Miazek Ryszard 150, 201, 204
Michalkiewicz Stanisław 157
Michnik Adam 27, 28, 167, 209
Mieciugow Grzegorz 191
Milczanowski Andrzej 30
Milewski Mirosław 21
Miller Leszek 8, 27, 30, 33, 59, 62,
65, 68, 69, 71, 74, 89, 90, 93, 96,
97, 112, 115, 121, 125, 169, 170
Miodowicz Konstanty 113
Miszczak Edward 187, 191
Młynarski Wojciech 176
Mobutu Seko 175
Moczulski Leszek 23
Mokrosińska Krystyna 217
Mołotow Władimir 34
Monteskiusz Charles Louis 11
Moore Demi 162
Mrozek Sławomir 157, 173, 174

Najder Zdzisław 38
Najstut Piotr 153

Nałęcz Tomasz 136
Napoleon Bonaparte 31
Nowak-Jeziorański Jan 34, 35

Ogórek Michał 157, 176
Okoński Michał 178
Olbiński Rafał 188
Olechowski Andrzej 71, 90, 119
Olejnik Monika 191, 192, 193, 212
Oleksy Józef 8, 28, 29, 30, 69, 89,
90, 118, 150, 161, 162
Olszewski Jan 18, 21, 23, 27, 28,
30, 89, 90, 99, 136

Pacewicz Piotr 172
Passent Daniel 171
Pawlak Waldemar 100, 151, 156
Pawlicki Maciej 203
Pieńkowska Jolanta 149
Pilch Jerzy 157
Pitera Julia 217
Podkański Zdzisław 147, 148, 165
Putin Władimir 8, 10, 42, 70, 76, 77,
78, 114, 121, 122, 133, 137, 138

Radziszewski Piotr 192, 193
Reagan Ronald 53
Religa Zbigniew 118, 124, 138
Ribbentrop Joachim von 34
Rokita Jan Maria 9, 69, 71, 78, 118,
119, 124, 137, 138
Rosenberg Tina 184
Rosner Andrzej 148, 168
Rossati Dariusz 84
Rydzik Tadeusz 54, 70
Rywin Lew 5, 133, 209

Sadowski Marek 123
Schroeder Gerhard 121, 138
Sekula Ireneusz 110, 128
Siemiątkowski Zbigniew 29, 30, 32,
33, 133, 147

Siwek Sławomir 38
Siwicki Florian 116
Skubiszewski Krzysztof 38
Smolar Eugeniusz 193
Snopkiewicz Jacek 170, 171, 174,
179
Solorz Zygmunt 192
Sroczyński Andrzej 177
Sroczyński Grzegorz 177
Stalin Józef Wissarionowicz 18
Staniszki Jadwiga 9, 10, 94, 157
Steinhoff Janusz 134
Suchocka Hanna 84, 133
Szmajdziński Jerzy 30, 74

Talko Leszek K. 167
Tomaszewski Janusz 102
Tusk Donald 9, 118, 119, 124
Tym Stanisław 123
Tymiński Stan 129

Urban Jerzy 69, 168

Walendziak Wiesław 94, 95, 100,
102, 150, 202, 203, 205
Walter Mariusz 191
Wałęsa Lech 15, 20, 23, 24, 28, 29,
30, 32, 41, 89, 92, 95, 98, 116,
133, 136, 155, 201, 205, 210
Warakomska Dorota 190
Wasserman Zbigniew 113
Wiernikowska Maria 178, 179
Wierzbicki Piotr 157
Wildstein Bronisław 9, 11
Wilk Ewa 185
Woy-Wojciechowski Jerzy 167
Wrzodak Zygmunt 27, 28, 30

Zaremba Piotr 167
Ziółkowska Wiesława 193
Zwiefka Tadeusz 178
Zych Józef 159

Żakowski Jacek 153
Żmijewski Krzysztof 129

SUPLEMENT NA WYBORY

ALFABET POLITYCZNY

z rozwinięciem najważniejszego hasła

A – AROGANCJA

U polityków występuje równie często jak u obywateli. Zapewnia to łączność narodu z władzą.

A – AŻYWIŚCIE

Wzajemne przyrzeczenie złożone przez decydentów i obywateli, gdy umawiają się na zrobienie czegokolwiek. Efekty takich umów są adekwatne do artykulacji.

B – BEZNADZIEJA

Słowo nadużywane w rozmowach o polityce i politykach. Ci, którzy się nim chętnie posługują, mają z reguły bardzo dobre zdanie o sobie samych.

C – CZAS

Dobro, o którym zwykło się mówić, że jest deficytowe. Po wyborach okazuje się, że czasu brakuje opozycji, za to rządzącym z niczym się nie spieszy.

Ć – ĆWOK

Powszechna opinia jednego Polaka o drugim, środowiska polityków nie wyłączając.

D – DOMOKRAŻCA

Odmiana partyjnego propagandzisty. W przeciwieństwie do niego, ma jednak coś konkretnego do zaferowania.

E - ESBECJA

Komunistyczna policja polityczna. Matecznik prowadzący wielu obecnych karier parlamentarnych, medialnych i biznesowych.

Ę - ĘSI

Według słownika języka polskiego PWN, okrzyk dziecka, oznajmiający potrzebę naturalną. Nie musi mieć charakteru politycznego.

F - FASZYZM

Opinia szczerych demokratów o sytuacji, gdy naród nie poprze ich w głosowaniu.

G - GRANICA

Na przykład, dobrego smaku. Nie ma takiej, której nie przekroczyli by politycy i obywatele we wspólnym trudzie i pod sztandarem dobra publicznego.

H - HAKI

Instrument polityki personalnej w państwie. Na kogo nie ma haków, nie awansuje. Może się bowiem wymknąć spod kontroli establishmentu.

I - INTENCJE

Dobre. Deklarują je sobie wzajemnie obywatele i politycy. I wszyscy są zawiedzeni.

J - JASNOWIDZ

Ten, kto nie spodziewa się niczego dobrego. Osobnik źle widziany w kampanii wyborczej. Po kampanii – podpora opozycji.

K - KORPORACJA

Związek ludzi, broniących jedynie swoich interesów, najczęściej kosztem dobra wspólnego. Ulubiona forma zrzeszania się obywateli, którzy jednocześnie bardzo wyrzekają na polityków, że ci stanowią korporację.

L - LICZBA

Teoretycznie, w kolejności liczby uzyskanych głosów obywateli, kandydaci powinni uzyskiwać mandaty. Politycy wymyślili jednak różne systemy wyborcze i metody przeliczania głosów, dzięki którym udaje im się omiąć tę zasadę. Wyborcy i matematyka nie mogą przecież rządzić polityką.

Ł – ŁOŁ!

Okrzyk wydawany w telewizji przez obywateli, gdy dowiadują się, jaka jest odpowiedź na pytanie, które było dla nich zbyt trudne, np. ile jest dwa razy dwa. Bardzo często słyszalny. Politycy też oglądają telewizję i muszą z tej obywatelskiej wiedzy wyciągać wnioski.

M – MŁODZIEŻ

Nadzieja i przyszłość Polski. Nie interesują się nią politycy i elity. (Patrz rozwinięcie tego hasła na końcu słownika).

N – NASZE

Po wygranych wyborach - wszystko.

O – OBYWATEL

Patrz litera „l”, hasło: ło!

Ó – ÓWDZIE

Nie u nas, gdzie indziej. Słowo poręczne dla wszystkich ludzi, polityków nie wyłączając. Podstawa harmonii społecznej i dobrego samopoczucia Polaków.

P – POSEŁ

Polityk wybierany przez obywateli w głosowaniu tajnym i powszechnym. Obywatele mają taką samą swobodę wyboru posła, jak poseł wyboru narodu.

Q – QUIZ

Gra, w której ktoś musi wygrać. W przeciwieństwie do wyborów, trudno przewidzieć kto.

R – ROSJA

Odwiecznie tak gościnna dla Polaków, że za nic nie chce wypuścić ich ze swojego domu.

S – STANY

Zjednoczone Ameryki Północnej. Największy przyjaciel Polski. Utrzymują wizy, gdyż inaczej wszyscy do nich wyjedziemy. A przecież nie mogą tego zrobić Rosji.

Ś – ŚWIADKOWIE

Funkcjonariusze służb specjalnych (tajni lub oficjalni). Obecni we wszystkich aferach III RP. Stanowią teraz przytłaczającą (choć nadal skrytą) większość wśród osób wezwanych przez sejmowe komisje śledcze na świadków.

T – TELEWIZJA

Współcześnie najpotężniejsze medium. Może służyć dobru i złemu. Nie decyduje o wynikach wyborów, choć ma wpływ na sondaże. Nasze telewizje (publiczna i komercyjne) zaszczepiają umysłowość disco polo w kulturze i życiu publicznym. Podobnie jak większość prasy (tabloidy, prasa kobieca i tzw. tygodniki kolorowe).

U – UWIELBIENIE

Samo. Stan emocjonalny wszechobecny w życiu politycznym i medialnym. Dotyczy częściej aktorów, niż widzów.

V – VERTE

Słowo łacińskie używane w książkach. Ulubione przez opozycję, bo oznaczające szybki (na następnej stronie) ciąg dalszy. Zaczyna się na literę, której nie ma w polskim alfabecie, na co zwrócił uwagę pewien generał, wprowadzając stan wojenny. Dzięki niemu, „v” stało się królową polskich liter.

W – WYBORY

Obecnie w Polsce forma quizu, w którym wszystko jest znane z góry: pytania, odpowiedzi i zwycięzcy.

X – X

Ktoś nam nieznan. Urzędnicy państwowi i samorządowi spotykają się tylko z X-ami. Załatwiają z nimi sprawy, które są dla nas równie tajemnicze jak X-owie. Obywatele są jednak podobnie małomówni, gdy rzecz dotyczy ich własnych interesów.

Y – YETI

Legendarny człowiek z krainy wiecznych śniegów. Nikt go nie widział, wszyscy o nim mówią. Jak w III RP o mężu stanu.

Z – ZŁO

Zawsze obecne, często atrakcyjne. Odwołuje się do mrocznej strony człowieka: gnuśności, chciwości, zawiści, prostactwa. Podobnie czyni wielu polityków, niekoniecznie tylko populistów. Wiedzą, że to fundament ich panowania nad innymi.

Ż – ŻDZBŁO

Obiekt w cudzym oku. Jeśli wierzyć politykom, żdźbło jest w istocie stosem belek, a stos belek jest żdźbłem, w zależności od tego u kogo i kiedy występuje. Językoznawcy nie chcą jeszcze uznać, że żdźbło i belka są synonimami.

Ż – ŻYZNY

Mógłby być nasz kraj, III RP. Skoro nie jest, wnioski powinni wyciągnąć politycy. Nie wyciągają, przychodzi kolej na obywateli. Myślę jednak, że to wreszcie młodzież powie polskiemu establishmentowi: spadajcie na drzewo (emerytalne). Oby jak najszybciej.

MŁODZIEŻ

To jedyna grupa naprawdę zainteresowana zmianami na lepsze w Polsce. Partie polityczne bowiem dbają głównie o swój stan posiadania, podobnie establishment państwowy, samorządowy, polityczny, biznesowy, medialny i kulturalny. Młodzież jest dotknięta plagą bezrobocia, drogi awansu zawodowego i społecznego są dla niej zablokowane. Dobrze to widać na przykładzie sekcji młodzieżowych przy partiach politycznych. Obowiązują tam takie same reguły, jak w aparacie partyjnym – reguły dworskie. Sprzyja to selekcji negatywnej. Im ktoś mniej wartościowy, tym pewniej i szybciej awansuje. Tak skonstruowane partie polityczne nie mogą stać się promotorem korzystnych przemian w III RP. Są one elementem „zamykania” społeczeństwa, a nie „otwierania”.

Szansą życiową dla młodzieży jest zbudowanie państwa na elementarnych wartościach, tak by hasło o dobru publicznym przestało być parawanem, skrywającym prywatę i szalbierstwo. Wówczas przestanie dominować wszechobecny dziś w życiu publicznym i zawodowym mechanizm selekcji negatywnej. Droga życiowa młodych ludzi zacznie

być zależna od ich zdolności, pracy, charakteru i moralności, a nie od powiązań rodzinnych, „układów”, przekupstwa, usłużności politycznej czy innej. Tylko to może wyzwolić potężną, pozytywną energię społeczną.

Młodzież poprze każdego, kto potrafi wiarygodnie zaprezentować wizję takiego państwa. Jeśli nikt taki się nie znajdzie, młodzież zaprotestuje przeciw III RP. Jakie mogą być skutki takiego protestu, nie umiem przewidzieć. To, że młodzież jest w stanie spontanicznie się zorganizować, pokazały dowodnie tzw. białe marsze po śmierci papieża. Pokazały one również, że młodzież ceni wartości moralne, zależy jej na życiu w godności i prawdzie. Jest głęboko ideowa, a nie cyniczna, jak wielu młodych działaczy rozmaitych partii z lewa i prawa.

W dotychczasowej debacie publicznej padają hasła o konieczności odnowy moralnej, o sanacji życia publicznego (PO, PiS, LPR, ruch na rzecz jedno mandatowych okręgów wyborczych tzw. JOW). Są to, myślę, hasła słuszne, gdyż odnowa państwa polskiego może otworzyć przed nami drogę szybkiego rozwoju cywilizacyjnego, możliwego przecież dzięki naszej przynależności do świata zachodniego. Bez odnowy państwa, jesteśmy jako kraj skazani na wegetację, a młodzież na szukanie swoich szans życiowych na emigracji. Niestety, żadna partia, jak do tej pory, nie potrafiła w swoim programie wyborczym powiązać sanacji państwowej z perspektywami społecznymi i zawodowymi dla młodych Polaków. Obawiam się, że nie wynika to z braku umiejętności, lecz z braku wyobraźni. Jest to również efekt myślenia partyjnego, czyli partykularnego. Nawet jeżeli liderzy partyjni, co nie zawsze jest regułą, starają się myśleć w kategoriach ogólniejszych, dobra wspólnego, państwa, to i tak są po wygranych wyborach zakładnikami aparatu, aktywu i zaplecza własnej partii, czyli chciwego tłumu stojącego u tronu.

To wszystko może spowodować, że najbliższe wybory nie otworzą dobrych perspektyw przed młodzieżą i będą w dużej mierze stratą czasu. Za to, niestety, wielce prawdopodobne zaniedbanie polskich elit politycznych przyjdzie nam, jako państwu i obywatelom, zapłacić w najbliższych latach wysoką cenę.

To źle wróży na przyszłość.

Kwiecień 2005 r.